



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Źnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

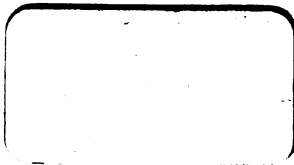
Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



Slav 7/23, 10.22



**HARVARD  
COLLEGE  
LIBRARY**











7457  
21-2

2

KILKA RYSÓW  
Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA

OD ROKU 1848—1858

PRZEZ

LUCJANA SIEMIŃSKIEGO.

*Siemiński*

**Tom II.**

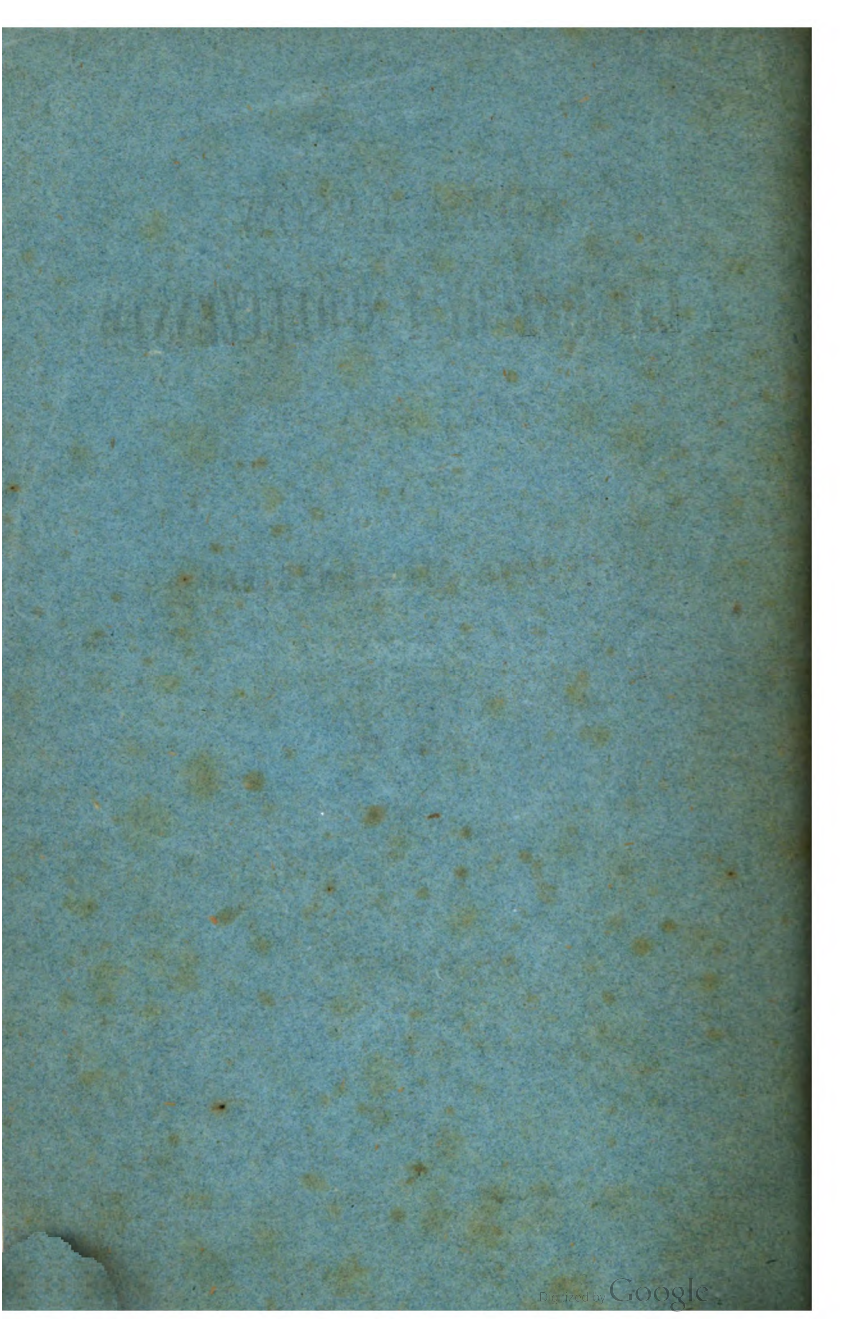
WARSZAWA.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GUSTAWA GEBETHNER I SPÓŁKI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 17.

—  
1859.





KILKA RYSÓW

**Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA.**



**KILKA RYSÓW**  
**Z LITERATURY I SPOŁECZEŃSTWA**

**OD ROKU 1848 — 1858.**

**PRZEZ**

**LUCJANA SIEMIĘSKIEGO.**

**TOM II.**

**WARSZAWA.**

**NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GUSTAWA GEBETHNERA I SPOŁKI.**

**Krakowskie Przedmieście Nr. 17.**

**1859.**

Slaw 7123.10.22 (2)



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 19 (31) Sierpnia 1858 r.

Cenzor, *Antoni Funkenstein.*

*Druk J. Ungra.*

## I.

### BOHATYRSTWO I GMINNOŚĆ.

---

Rok, to nie żadna zaokrąglona całość, która by się zaczynała z pierwszym styczniem, a z ostatnim grudniem kończyła; jest to raczej ogniwo wielkiego łańcucha zdarzeń, przypadków, zjawisk, narodzeń i śmierci, nakreślone tą niezmienną koleją, jaką życie natury przebiega. Podziałka ta, której się dobrowolnie myśl nasza poddaje, nie wpływa na żadne sprawy, ani biegowi rzeczy ludzkich przeszkadza; jest ona jakby przecinkiem w długim okresie, ażeby czytelnik mógł spocząć i łatwiej objąć, co przeczytał.

Dla mnie rok upłyniony wydaje się jak ta gościnnna ustron, na którą podróżny jeszcze raz obraca się, nim ją straci z oka na zawsze, a w skarbnicy wspomnień swoich na zawsze umieści; bo tam niejedno budziło w nim sympatyę, zaczarowało chwilę, zajęło wyobraźnię, oświeciło umysł, jak i niejedno nabawiło niesmakiem, ścisnęło smutkiem, a nawet sprowadziło ziewające nudy.

Tak samo zwracam się do ubiegłego roku i pytam co przyniósł, czém nas wzbogacił, co zapowiada, czy obietnice jego są szczerze, i czy sam się nie łudzi?

Bieżąca krytyka nie zawsze jest w stanie obrachować postęp literatury; raz, że sama cząstkę literatury składa, a więc nie może stać się poza jej obrębem; podrugie, że skalę postępu tworzą pewne warstwy wyobrażeń, które dopiero wtedy dają się ocenić, gdy wyczerpały swój fundusz, a w dążnościach swych pokazały się błogiem lub zgubnemi. Wszakże w stosunku do skończonych już okresów łatwiej jest wskazywać różnice, mianowicie te, co się liczebnie dają obrachować, lub co uderzające kontrasty tworzą.

Toż i obecna chwila literatury naszej w stó-

sunku do minionych, odznacza się nie pospolitym ruchem piśmiennym. Ruch to najwybitniejsze znamie dzisiejszej epoki, bo się objawia we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej, czy materyalnej, czy umysłowej — nie mógłbym powiedzieć, że jest wypadkiem jakiegoś myśli zaziemskiej, jakiegoś nieodgadnionego instynktu jak ten, który ludy pędził na Rzym Cezarów, lub na odzyskanie grobu świętego lub na odszukanie nieznanomych światów... Tam zawsze był cel wysoki, który wszystkich porwał i wiódł, było słowo upajające co rodziło poświęcenia się... kiedy dziś, sprawcą i celem ruchu jest kapitał więcej jeszcze fikcyjny jak rzeczywisty.

*O cives, cives, quaerenda pecunia primum!  
Virtus post nummos.*

To jeszcze w swoim czasie powiedział Horacy, a musiał na prawdziwą ranę palec położyć, kiedy od tej pory Rzym nie rósł, ale coraz malał i nikczemniał. Jeżeli ten charakter przybiera społeczeństwo dzisiejsze, nie dziw, że ruchliwe drgania muszą się również pojawiać w jego umysłowych płodach rzadko przynoszących z sobą co nowego, tylko utrzy-



mujących się kosztem dawnych myślicieli i twórców; bo więcej lub mniej zręczne przyrządzenie wystarcza na pokarmienie rzesz łaknących, chociaż i to ich łaknienie bardziej jest materialne niż duchowe.

Na piszących, czyli tak zwanych kapłanów myśli, nie można zawsze zwać winy. — Jeżeli ich wpływom na społeczeństwo dano przesadzone rozmiary, to z drugiej strony, za mało przyznano wpływu społeczeństwa na piszących, którzy bezwzględnie są od niego zawisli. — Autor, mówię tu o masie piszących w przecięciu, jak ryba bez wody, nie może się obejść, nie już bez sławy, bo tej społeczność najczęściej nie daje, ale bez wziętości, a rośnie w nią coraz więcej, im więcej umie dogadzać panującemu smakowi. — W ujemnej stronie społeczeństwa, tkwi ujemna strona dzisiejszej literatury. Publiczność obok innych wygódek i wykwinłów życia, potrzebuje jeszcze przyjemnej umysłowej rozrywki w chwilach wypoczynku od zabaw, lub od gonitw za złotym cielcem; dlatego ten jój najwięcej dogadza, kto ją najlepiej rozerwać umie. — A rodzaj rozrywki bywa w różnych epokach różny. — W Atenach publiczność tak się bawiła wszy-

stkiem, czy to swoimi politykami, czy hetmanami, czy poetami, czy filozofami, a nawet bogami, że aż władza musiała się w to wmieszać i tamę położyć temu szalowi przedrzwiania wszystkiego. W Rzymie za panowania Augusta podczas przedstawień poważnych komedyi Plauta lub Terencyusza wołali widowie: dajcie nam uczonego niedźwiedzia lub skoczka! Kiedy Francya szalała i rozpustowała najwyższém zepsuciem, bawiono się płacziwym dramatem. Otóż więc jak wtedy tak dziś, tak zawsze zabawa przybiera różny charakter: czasem pusty śmiech oddziaływa na zbytek purytańskiego świętoszkostwa, to znowu łzy sentymentalne płyną nad listami dwójga kochanków, lub tkliwym dramatem, kiedy na placu publicznym poklaskiwało się spadającym głowom. — W dzisiejsz ej chwili społeczeństwo nasze rozlubowało się nadzwyczaj w obrazach wiejskiej prostoty, a tymczasem całemi tłumami garnie się do miasta i zmienia swój patryarchalny tryb życia, otaczając się wygódkami i wymysłami wcale niezgodnemi z tą wynoszoną pod nieba doskonałością człowieka natury. — Że taki smak przeważa, najoczywistszy dowód w tém mnóstwie pro-

dukcyj opiewających przedmioty sielskie, zawsze prawie w przeciwstawieniu do klas wyższych, ma się rozumieć zepsutych do gruntu. Wszystko to bawi widać i zajmuje, kiedy jest rozrywane przez publiczność; to tylko nie-szczęście, że nauki tak piękne jakoś w las idą; bo choć autorowie przeciwne wskazują drogi, i nie szczędzą duchowego obroku, społeczeństwo pędzi swoim torem: giełdy, koleje żelazne, przedsiębiorstwa olbrzymie, wprawiają je w taką gorączkę, jeżeli się tylko sposobność nadarzy, jakiej nigdy nie sprawił jeszcze żaden z naszych poematów lub romansów.

Takim jest świat, takim społeczeństwo w stosunku do piszących. Możemy mu radzić, prostować jego pochód, ale zatrzymać na pochyłościach nie zawsze podobna. Ztąd, jak już natraściłem, wpływ piszących na obecne momenta, zawsze bywał przesadzony; przynajmniej autorowie, którzy wzięli się do pióra w tém przeświadczeniu czy zarozumieniu, że każde ich słowo musi się zaraz stać ciałem, albo co naginają i naciągają każde zdarzenie do planu ich reformy społecznej, autorowie tacy nietylko nie osiągają celu, ale tworom swoim odejmują tę żywość naturalną, tę pra-

wdę życia, która nie może się żadnym sposobem rozwinąć pod naciskiem pretensjonalnej dążności, choćby ta miała cel wcale zba wienny.

Zdaje mi się że ta pretensya dzisiejszych pisarzy urodziła się głównie z filozoficznych poglądów na dzieje umysłowości pisanych wtenczas, kiedy wpływy takiego Homera, Platona, Danta, Szekspira dopełniły się w sferach obejmujących kilka lub kilkanaście pokoleń. Ten i ów widząc jaką cześć oddawano jeniuszowi, pomyślał sobie: muszę i ja być wpływającym; kto wie, może na mnie spoczywa palec boży, i stanę się odrazu apostołem ludów! Tymczasem, żeby wpływ był wpływającym, potrzeba mieć nie pospolity skarb ducha do rozdania; same kombinacye sztuki, to jak papiery z przymusowym kursem.

Jestto w ogóle choroba dzisiejszego piśmiennictwa, nietylko u nas, lecz wszędzie, wszakże z tą różnicą, że swobodniejsze umysły gdzieindziej otrząsają się z tego prędzój; kiedy u nas grzęzną dłużej, a za nimi ogon krytyków, zazwyczaj obracający się w tém samém kółku co i pisarze. — O inicjatywę w pojęciach i poglądach, o zmianę frontu,

o przerzucenie zużytych stanowisk na świeższe jakieś i nie tak wydeptane pola, nie pytać naszych pseudo-estetyków.

Stronniczość można sobie wytłumaczyć namiętnością, przywiązaniem do swojej idei, lub mrzonki; lecz nieumiejętny sąd ma tylko za wymówkę głupstwo i zarozumiałość, zawsze najczynniej reprezentowane, gdzie o to idzie, aby jak najwięcej papieru zadrukować.

Kiedy przebiegam myślą płody fantazyi i serca w upłynionym roku puszczone w świat, które powiedzmy nawiasem są tylko dalszym ciągiem tego, co się w poprzednich latach rodziło — uderzają mię wyłączne dwie myśli, a raczej dwa temata, około których krążyła niemal cała rzesza piszących.

Pierwszym tematem jest świat Soplicowski, zaściankowy, sięgający jak wiadomo ostatnich godzin Rzeczypospolitej, co ożywiona duchem Barskiego związku buchnęła raz jeszcze płomieniem konającej lampy i ukazała przesuwające się w jój blasku charaktery i postacie bohaterkie. Kopalnia ta, godna historycznego romansu odrazu prawie wyczerpaną została talentem, który pierwszy stworzył jój głębię, co jednak nie przeszkadzało, żeby ten i ów

nie zaglądał do niej i mniej więcej szczęśliwie wypełniał te luki, jakie talent zostawił. Lecz gdy malować bohaterów i pełne charaktery nie każdemu dano, rzucano się w zaściankowe życie, powszednie przygody, zaprawne mocno węgryzmem, którego tyle wytoczono, żeby w nich skąpał wszystkich bohaterów romansów i powieści, co rozlało taką monotonię na one kompozycje, że się czytelnikom na prawdę głowa zaczęła kręcić od tych ustawnych libacyi. — Dla urozmaicenia jednakże przedmiotu próbowano jeszcze jednej kombinacyi, to jest zestawienia zaścianka z pałacem magnata. Ta odwieczna sprężyna zawiści klas między sobą nasuwała bijące kontrasty, z których umiano wyciągnąć co się tylko dało. — Wiadomo, że pomiędzy warstwami towarzyskimi gra nieustająca zawiść, dlatego że się nie znają. Gdyby się lepiej poznały, umiałyby sprawiedliwszemi być względem siebie, ale w takim razie dla pisarzy romansów, kome-dyj, dramatów, upadłaby jedna sprężyna, bez której możeby nie tak łatwo poruszali światem swojej kreacyi.

Drugi temat, kiedy malowanie zaścianków szlacheckich przejadło się cokolwiek, znalazł

się w życiu *wioskowém*; samo wprowadzenie tego wyrazu na tytułach książek miało oznaczać nowy rodzaj. — Na nieszczęście w rodzaju tym nie znalazł się jeszcze tak górujący talent, aby zaspokoił potrzebę wtajemniczenia nas w ten świat odmalowany pędzlem poezyi maczanym w prawdziwych kolorach, z czego urodziła się pierwsza maniera ckliwsza może niż klassyczna idylla, bo tamta przenosiła nas myślą w złoty wiek stosownie do Owidyusowego podziału, a dzisiejsza ma pretensyę stawiać nas pośród rzeczywistości na jaką codzien patrzemy. Za główną sprężynę wzięto i tu kontrasty podług powyższej formuły wszakże mogę to przyznać daleko ostrożniej, przynajmniej u pisarzy pojmujących lepiej ducha epoki, co jednak nie powiada, żeby studia wioskowe nie pozostawiały nic do życzenia, szczególnie w utworach poetycznych, które jeszcze nie trafiły na właściwy żywioł poezyi ludu; bo jakkolwiek mogą się znaleźć nie wierzący w poezyę pod słomianym dachem i w siermiędze, to jeżeli przypuszczamy i w prostym człowieku czucie, wiarę, cierpienie, łyzy święte i szlachetne natchnienie, te źródła żywej poezyi, to zawsze przypuścić można, że

prawdziwy poeta znajdzie tam obfite żniwo. I rzeczywiście mam przekonanie, iż na wioskową nutę długo jeszcze brząkać będą lutnie, wioskowe sceny obrabiać powieścio-pisarze, albowiem jestto panujący dziś smak w całej niemal literaturze i sztuce europejskiej.

Że to nie żadne urojone przypuszczenie, powtórzę com znalazł w uwagach jakiegoś niemieckiego krytyka, co uderzony zwrotem osobliwym w całej bieżącej literaturze, tak powiada: „Historya wioskowa i pozioma rzeczywistość nawet i w malarstwie, rozsiadły się tak szeroko, że idealno-romantyczne i historyczne przedmioty nie mają nawet kącika, toż i u publiczności na odrobinę wziętości rachować nie mogą. Dawniejszy Siegfrid przystał za parobka u bawarskiego piwowara; Hebe roznosi kufle z piwem; Muza tragiczna krząta się z widłami około nawozu; Mojżesz i Daniel handlują starzyzną, a o proroków to i nie pytaj. Cały interes skupił się w życiu domowém; potomek Germanów tylko za piecem umie się rozpalić; dlatego wielkie historyczne przedmioty nie grzeją go wcale.“

„Czyśmy rzeczywiście tak nisko spadli — zapytuje dalej ów krytyk — że już nie możemy



czuć zarazem i prawdziwie i szlachetnie? Czy wzniosłość stała się nam zupełnie obcą? Czy to prawda, żeśmy się wykreślili z listy heroicznie-czynnych narodów, i pobieramy emerytalną pensyjkę i żyjemy w kółku domowym, gdzie nas portretują nasi malarze i poeci?

Tyle przynajmniej pewna, że ludzie naszego wieku pozbawieni są heroicznego rzutu i patetycznej treści; a jeżeli nareszcie publiczność przechyla się czasami do historycznych przedmiotów, to pragnie, aby je oprawiono w małe ramki i zredukowano do drobnych rozmiarów obrazka z potocznego życia. Publiczność widzi chętnie na scenie historyczne postacie, ale w roli ojców rodziny, a najwięcej w roli mrukliwych despotów domowych—żony zaś bohaterów i ich córki w charakterze kapryśnych lub wzdychających kochanek. W ogóle sielankowość przemaga wszędzie, a żelazne figury i charaktery nie budzą sympatii. — Jeżeli tak pójdzie dalej, to tragedia nie będzie śmiała oczu pokazać na deskach teatralnych....

„Wielokrotnie też przekonywaliśmy się, że wszystkie patetyczne sceny umierania na teatrze, sprawiają odrazę w widzach, co na-

prowadzi na wniosek, że nadchodzi okres  
 albo najczystszej ludzkości i wykształcenia,  
 albo zupełnej zniewieściałości, bojącej się jak  
 ognia wszelkich katastrof tragicznych, czy  
 w rzeczywistości, czy w zmyśleniu. Że ku  
 temu idzie, to aż nadto widoczne. Drobne wy-  
 rafinowane udręczenia jeszcze jako tako ucho-  
 dzą na scenie, byle tylko prowadziły do spo-  
 kojnego, a wcale niekrwawego rozwiązania.  
 Codziennie doświadczamy tego, że im się bar-  
 dziej człowiek starzeje, im więcej smutnych  
 zdarzeń był świadkiem, im bliżej stał się z rze-  
 czywistością — tém myśl śmierci częściej mu  
 się nawija, i ażeby to natrętne widmo odpędzić  
 od siebie, szuka rozweselających wrażeń,  
 a przeto w dziedzinie sztuki, gdzie może, od  
 tragicznych przedmiotów ucieka. Zastosowa-  
 nie téj prawdy od całych narodów niepotrze-  
 buje wielkiego naciągania. — To pewno, że  
 w naszym wieku bardzo mało jest ludzi tak  
 silnego odlewu i tak głębokiego stępla, ażeby  
 tragiczny los ujęty w ten sposób, jak go wy-  
 stawiali starzy Grecy lub Szekspir, mógł być  
 dla nich źródłem wzniesienia się nad siebie  
 samych i bodźcem do niezłomnych zapasów  
 z własnymi losami.“

Z powyższych trafnych bardzo postrzeżeń widzimy, że nie sami piszący wpływem swoim sprowadzili ten stan, ile społeczeństwo upomniało się u nich, aby je bawiono w tym duchu, na co radzi nieradzi musieli przystać; duch bowiem społeczeństwa potrzebuje odzwierciedlać się w utworach wyobraźni i uczucia; inaczéj utwory artystów przechodziłyby bez wrażenia, a więc zabijałyby zawód autorski ciągnący siłę, życie i zapal z wrażeń, jakie na ogóle sprawić może.

Chcąc być sprawiedliwym w sądzie, nie należy kłaść łąsztem wszystkich win na autora, a nie na społeczność, wpośród której żyje i wpływów doświadcza. Ma się rozumieć, że tu nie mówię o tych rzadkich geniuszach, co wybiegłszy nad swoją epokę, unoszą z sobą ogół czujący i myślący na te szlaki, o których mglisto roił, a oni oświecili płomieńmi życiodawczego słowa, i wytknęli szeroko ogarniającym rozumem—o tych nie mówię—ale o tój rzeczypospolitej piszących, co to przynosi codzienny umysłowy pokarm lub rozrywkę, i co różnemi drogami przyczynia się do objawu myśli i uczuć krążących w ciele społeczném. .

Na początku zwróciłem uwagę na większy ruch literacki u nas, niż był kiedykolwiek i dałem mu pewien związek uboczny z ruchem kapitałów, wyprawiającym dziś cuda po świecie. Nic naturalniejszego; społeczność ubezwładniona na gruncie szerszej, żywotniejszej rzeczywistości, szuka dla siebie powietrza i przestrzeni, gdzieby mogła sobie powiedzieć: jestem, bo myślę i działam. Z tego wynikło, że w świecie literackim musiała powstać czynność, o jakiej nie słyszeliśmy nawet w najlepszych chwilach złotego wieku; coraz nowe powstają pióra, tworzą się kombinacje edytorskie na obszerną skalę; książka książkę goni, sława spycha sławę, i koniec końców obliczywszy się: z wielkiej chmury, mały deszcz, wiele hałasu i okazałości, rzetelnego pożytku mało! Ta bowiem ruchliwa obfitość, jest jak woda wylana ze szklanki, która wprawdzie nie przestaje być wodą, ale już spragnionego nie napoi..... Forma powieści, w którą wszystko zmieścić się może, stała się zdawkową monetą, krąży z rąk do rąk, ale nikt jej nie chowa, bo tylko ma konwencyonalną wartość, zaspokaja ledwo codzienny wydatek, a za-

tem nie obraca się w kapitał, któryby prawdziwą zamożność stanowił. Toż i duchowego kapitału wyroby te nie przynoszą, jak nie przyniosły żadnemu narodowi, choć ich liczył na krocie, i lepszych niż nasze.

Nie mówię tego bynajmniej, aby przymawiać tym, co nas zasilają podobnym rodzajem literatury; służy im bowiem obronny argument: a dlaczegóż nas czytają tak skwapliwie, dlaczego dopiero czytać zaczęto, odkąd obrałiśmy tę drogę? — Zapewne argument mocny, lecz jeszcze nie zwycięzki; wlec się bowiem za efemerycznym smakiem massy czytającej, jedno jest co zajmować stanowisko, na jakim massa stoi — a cóż się zrobi z tém powtarzaniem co chwila kapłaństwem myśli, z tém posłannictwem duchowym, do jakiego każdy piszący rości sobie pretensyą, jeżeli tu i owdzie pomiędzy sceny brudne i płaskie, z rzeczywistości niby wzięte, rzuci obrok duchowny, kusy jaki morał, co nie chłodzi, nie grzeje? — Powiadają, że przy nich dopiero prawdziwy postęp, odkąd zaczęli w wiernych rysach malować rzeczywistość; przyznają, że rysy pochwycone są z rzeczywistości tu i owdzie,

a pochwycone aż do drobiazgów; lecz czyliż wyżsi pisarze nasi nie robili tego samego? Kto więcej rzeczywistości umiał pochwyć, jak Mickiewicz w Panu Tadeuszu, Brodziński w Wiesławie, Goszczyński w Zamku Kanio-wskim? ależ dlatego każdy z nich czuł się w obowiązku napełnić tę rzeczywistość taką potęgą ducha, że te ich kreacye mają wszystkie przymioty prawdziwej kreacyi — to jest idealność. Dziś trudno się spotkać z czém podobnym, bo że tak powiem, głównie materialna strona najczęściej bywa uwzględniana; a materialne strony są: rozlechtanie oiekawości przez użycie zręcznych kombinacyj zawikłujących rzecz i wyszukiwanie scen rażących jaskrawością kolorytu i ruchliwością jarmarcznią; spisywanie w inwentarz garderoby i mebli; a nareszcie postrzeżenia powierzchownych drobnostek, na które codzien patrzymy — zgoła cały ten przybór składa się na utwór i tyle w nim miejsca zabiera, że już to co ma wyjść z ducha, nie ma się gdzie podziać; dla téj przy-czyni pozorne życie działających figur i pozorna rzeczywistości prawda, mogą zabawić, zainteresować, póki książka w ręku, póki czas

czemeś zabić pótrzeba—lecz gdy ta zbytkowa uciecha minie, książka nie otwiera się więcej a pustki jak były tak zostają w głowie i sercu czytelnika.

Ten kierunek nadany dzisiejszemu naszemu piśmiennictwu, wszczął się z téj ślizkiej a przyjętej przez wielu prawdziwie utalentowanych autorów metody, popularyzowania wszelkich wyobrażeń, przez podanie ich w najprzystępniejszej i najbardziej łatwej formie powieści. Usłużność ta odbyła się jednak kosztem wysokiego nastroju, w jakim prawdziwy kunsztmistrz powinien trzymać swoją kompozycję; tymczasem rzecz dowiedziona, iż popularność nie leży w spłaszczeniu się, gdy największe utwory takimi nie są, a dlatego przystępnymi być nie przestają. — Malczeskiego lub Mickiewicza czyta i czuje wielka liczba, a jednak ton ich zawsze wysoki, podnosi drugich, siebie nie zniża. Pogardzono też wyborną przyprawą, mogącą prawdziwie łaknących nasycić, a zajęto się rozdawaniem zupy rumfordzkiej, która nie dozwala zaiste z głodu umierać, ale też nie tuczy. Filantropia ta tak w ekonomii politycznej jak w literaturze, bardzo

może być chwalebna, ale mniemam, że zawsze tam lepiej, gdzie się bez niej obejść można.

Tak oto, weszliśmy w okres więcej fabryczny jak twórczy; zręczność zastąpiła natchnienie, słowo z ducha poczęte, krwią serca pisane, poszło na posługę nowego zastępu pisarzy co do gotowego przyszli, a swego nic prawie nie przynieśli. Krom pewnej mechanicznej wprawy, co maskując brak pracy wewnętrznej, téj pracy, która jedna jest w stanie dać ton gorący, i rozlać owe światło niebieskie, jakie żadnym efektem wywołanym przez użycie najczarniejszego cienia zastąpić się nie da.

Daleki jestem od myśli rzucania winy na kogokolwiek, a jeszcze mniej powstawania na tę obfitość płodów piśmiennych, wychodzących zpod pras drukarskich — bo mam to przekonanie, że jak z gór lecącego potoku nikt nie wstrzyma, tak i téj fazy w piśmiennictwie nie odwróci, dopóki przez wyczerpanie się i zużycie, swego nie domierzy kresu. Powinnością jest wszakże krytyki, jeżeli chce здаwać sprawę z każdój rozleglejszój sytuacji, odnosić ją do prawd wiekami uznanych, słowem porównywać; a porównywając wykazywać



niedostatki, ostrzegać o niebezpieczeństwach, zwłaszcza jeżeli żywe słowo, to jedyne narzędzie, jakim się duch nasz objawia, pójdzie na posługę wewnętrznej czczości, i tak zużyte stanie się pustym tylko brzmieniem.

Bez pracy ducha, sama zewnętrzna sztuka jest tylko pobielanym grobem; pismo święte zastosowało to do tych, co mieli wszystkie formy cnót i świętości, a istoty ich nie mieli. Toż i piśmiennictwo piękne ma dzisiaj to wszystko, co ludzi, co się chwilowo podoba, co rozrywa, dziwi nawet, ale niema tego co przeistacza, podnosi, uszlachetnia, i rozbudza świat myśli nieopuszczających człowieka, póki je w czyn nie zamieni.

Być może, nie każda chwila sprzyja rozwinięciu tej potęgi ducha twórczego; obecna należyć może do tego rzędu zbankrutowanych chwil jakiegoś przejścia do czegoś — a temu nie winni ani poeci ani romansiści. Ale w takim położeniu niechżeby ten był mniej podniosły i mniejsze uroszczenia, a większe poszanowanie i pamięć tego, co w wyższej sferze panuje udzielnie. Bo to pewna, iż takie upojenie się bogactwem produkcyi, wpływającym tylko

z pochopności do piór, jak wiara we wziętość  
dzienną, roztrąbianą po pismach czasowych,  
rodzi pewne zadowolenie z siebie, które jeśli  
kogo, to sztukmistrza gubi, wpisując go w ko-  
ło, z którego wyjść nie może, aż do zupełnego  
wyczerpania funduszu, tém bardziej, jeżeli ten  
fundusz ciągnie się z samego zewnętrznego  
świata, a nie z tego, co wszystkie największe  
dzieła stworzył na ziemi.

---

## II.

TRADYCYE SZTUKI. — TRAGEDYA I TRAGICZNOŚĆ. —  
ZNACZENIE ODPRAWY POSŁÓW  
*Kochanowskiego.*

---

Rzecz godna zastanowienia, że w narodzie, co przechodził przez tak liczne a tak gwałtowne koleje i przeobrażenia polityczne, jak naród francuzki, co towarzyski swój porządek po tylekroć zmieniał i przerabiał, co niszczył zwyczaje i przywileje, a tradycye z pamięci i z pomników ścierał — że w narodzie tak ruchliwym przechowały się po dziś dzień tradycye ducha literatury, atoli nie w tém dogmatyczném skośnieniu, któreby utrzymywało się jak szacowny zabytek przeszłości, lecz pełne znaczących wpływów,

umiejętnie rozumnych kierunków powściąga-  
jących wybryki piór. unoszonych namiętno-  
ścią, lub poślubionych jakiej paradoxalnej za-  
sadzie.

Akademia francuzka, aczkolwiek obrzu-  
cano ją śmiesznością i targano powagę, ostała  
się i wśród burz politycznych i niebezpieczniej-  
szych jeszcze, burz literackich, a to z prostej  
przyczyny, że czterdzieści jej krzeseł zapełnia  
się od czasu do czasu członkami górującymi  
w narodzie, bez względu do jakiej szkoły na-  
leżą. Tym sposobem ciało jej, lubo nie prze-  
staje być reprezentantem myśli, uczuć i wyo-  
brażeń ogółu, jednakowoż stojąc na straży tra-  
dycyi literackiej, umie głos podnieść w imię  
nieśmiertelnych zasad piękności, języka i stylu,  
i nie hamując w niczem swobody piszących,  
ostrzegać ich przed grzechem nadużycia; jak  
z drugiej strony, utrzymywać sąd w publi-  
czności wyższy i wytrawniejszy, a przytém  
tyle silny, że ani prądy mody, ani kupne okla-  
ski, ani wszelkiego rodzaju szarlatanizmy, nie  
zdołają takiej nabrać przewagi, żeby nikt nie  
śmiał już ust otworzyć i zaprotestować.

W największym tryumfie romantyczno-  
szalonej szkoły francuzkiej, zawsze znalazła

się tam część publiczności ukształconej, której smak, wyobrażenia i uczucia, obrażały się nadużyciami onęj, a choć niekiedy zbytńia w tych kołach panowała wyłączność, niemniej jednak szkoła ta przeminęła, a uczucie prawdziwój artystycznój i moralnój pięknoty zostało.

Gdzie jest zatem taka tradycyjna literacka powaga, jak w Akademii francuzkiój, można być pewnym, że piśmiennictwo zawsze będzie miało stronę wyższą i niełatwo zejdzie na tój drodze trywialnój płaskości i moralnój nędzy, na jaką schodzą literatury, kiedy je za narzędzie użyje sofizm lub namiętność stronnictw, czy sekciarskich, czy politycznych, czy socyalnych.

Nie więc dziwnego, że głos członków tejże Akademii, traktujący wyłącznie jakie literackie pytanie, miewa znaczenie nietylko dla samej Francyi, ale i dla reszty literackiego świata, który, choćby i nie stosował tych zdań i pojęć do swojój narodowój potrzeby, jednakowoż uderzony być musi wagą słowa, co płynąc z łona tój najwyższój instytucyi umysłowój, mającój za sobą i doświadczenie wieków i górującą pozycyę talentów, nasuwa mnóstwo

pytań i do zastanowienia się nad niemi pobudza.

Przed niewielką dniami przyniosły nam dzienniki paryzkie mowę Ponsarda, wstępującego do Akademii i odpowiedź Nisarda. Pierwszy, jako poeta tragiczny wszczął rzecz o tragedyi, gdzie zdziwił mię szereg jego dowodów: jako rodzaj tragiczny, czyli po prostu tragedia istnieje i nigdy nie przestała istnieć. Przyznam się, że o istnieniu tego rodzaju literatury nigdy nie wątpił, a jednak czytając co mówił z takim naciskiem, mogłem się łatwo domyślić, że znaleźli się jacyś nowatorowie; zapewne literaci *Hugonoci*, którzy zrobili zamach na tragedję.

Posłuchajmy tego ustępu Ponsarda, przemawiającego w obronie tragedyi:

„Zgodzicie się na to szanowni panowie, że żaden rodzaj literatury nie może skończyć, jeżeli odpowiada ciągłej i ogólnej potrzebie umysłu ludzkiego. Przyznajcież ażali niektóre postacie historyczne nie wzbudzają w nas większego, niż inne zajęcia? Jakże nam miło, kiedy kto ożywi osoby górujące nad pospolitym tłumem, kiedy ożyją tacy prawodawcy, zdobywcy, monarchowie, trybuny, zgoła wielcy

ludzie wszelkiego rodzaju skupiający w sobie pewne momenta cywilizacyi, tacy bohaterowie lub mędracy, co wywierali wpływ na losy narodów i na pochod myśli. Ani wątpić, że ich mowy i czyny, będące w związku z wielkimi kolejami narodów i z głęboką nauką dla świata, większe robią na nas wrażenia, niż czynności prostego człeka w domowém kółku. Historyk maluje te postacie, ale wielkimi pociągami pędzła, chwyta tylko ich życie publiczne w stosunku z całością historyi; poeta zaś dramatyczny wraca im słowo, odsłania przed nami ich żywot wewnętrzny, robi świadkami walk tajemnych, wahań się i postanowień, od których przyszłość państw zawisła. Nieszczęścia jakiego kupca mogą mi łzy wycisnąć, nie przeczę temu, ależ i tego mi nikt nie zaprzeczy, iż August deliberujący w obecności Maxyma i Cynny, lub Agryppina w rozmowie z Neronem obudzają w duszy widzów coś, co do wyższego rzędu wzruszeń należy.

„Krom uwagi, jaką wznieczają sławne imiona, mamy jeszcze uczucie i miłość do tego, co piękne. Jeżeli nam pokażą na scenie zawiązaną jakąś przygodę, zręcznie utkaną, zawiązującą się i rozwiązującą niespodziankami,

możemy doznać zdziwienia, wzruszeń, i ciekawość naszą wyteńczyć. Nie przeczę, iż taka biegłość w utrzymaniu intrygi wymaga dużo talentu i nielada jaką znajomość sceny; lecz to wszystko nie wzbudzi w nas uczucia pięknoty, gdy przeciwnie uczucie to podniesie się do najwyższego stopnia na widok charakterów potężnie narysowanych, uczuć trafnie rozwiniętych, w obec głębokich badań serca ludzkiego, i walk namiętnych, mówiących właściwym sobie językiem. Zdarzenia mają tu podrzędną tylko ważność, przeciwnie w pierwszym systemacie wszystko im bywa poświęcone; tutaj perypecey rodzą się z przeciwieństwa charakterów, a tam z okoliczności całkiem przypadkowych. Poeta zajęty rozwinięciem uczuć i charakterów, nie chce ani może wikłać tysiące nitki jakiej intrygi; toż i mało znajdzie się takich widzów, coby śmieli przenosić najzuchwalszy *coup de théâtre* nad stałość starego Horacyusza, nad uniesienia Fedry, i nad rozpacz Hermiony! Mówią jednak, że to nie bawi — jak gdyby celem sztuki była zabawa? — tymczasem to się zowie pięknem, i zaspokaja jeden z przymiotów i potrzeb duszy, to jest podziw!“



Ponsard zdefiniował w tym ustępie starą tragedję i nowożytny dramat robiąc bardzo trafną uwagę, że jeżeli dramat ma przyczynę swego istnienia, ma go niemniej tragedia, która dopóty istnieć będzie, dopóki ludzie zachodzący będą przyjemność w nauce dziejów i w wierném malowidle namiętności.

Z takiem zastrzeżeniem niepodobna przypuścić, aby ten rodzaj miał zagać jak mamut lub mastodont, ani zasługuje ten na miano reakcyonisty, kto się upomina o zaszczyty przeszłości swego narodu, tém mniej, jeśli te odpowiadały warunkom wzniosłej piękności. Dziwno mi przeto, że Ponsard rozwinąwszy swoją doktrynę o tragedji, mógł dodać w końcu te trwożliwe słowa: „kto wie, może mię pomówią o dążność reakcyjną.“ Pochwycił to w odpowiedzi swojej Nisard, i upewnił go, że rozwinięte przez niego myśli nietylko nie są w duchu reakcyjnym, ale owszem najliberalniejszym. — „Jeżeli to prawda, mówił dalej, że każda epoka narzuca poematowi dramatycznemu swoje zwyczaje, przesady, krój myśli, a właściwiej swój język — ażaliż ten nie jest wolnomysłnym człowiekiem, który chce bronić poetę przeciw temu niewolnictwu i usiłuje

podnieść poemat dramatyczny nad wszelkie przemijające wymogi przyzwoitości, kroju, mody i chwili?—Również jeżeli zawikłana intryga dramatu, przypadki, niespodzianki, uderzenia teatralne, nie zostawiwszy w poemacie dramatycznym ani jednego kącika dla rozwinięcia się charakterów i odmalowania namiętności, obiorą go tém samym z wszelkich żywiołów pięknoty, i z wszelkiej siły wiersza, czyliż wolnomyślnym nie będzie ten, który doradzi poecie szukać efektu na wielkiem polu pięknoty, i tworzyć wiersze, mogące pozostać na zawsze?“

Obrałem umyślnie za punkt wyjścia do moich uwag nad tragedją te postrzeżenia dwóch akademików francuzkich, ażeby pokazać, jak niezbędną jest rzeczą przypominać autorom ich tradycye, w chwilach, kiedy się zapędzą na drogi ubliżające wielkościom przeznaczeń literatury, kiedy w zarozumiałej zaciętości swojej gotowi są zagrzebać jaki rodzaj dlatego tylko, że wiąże się z takimi wymaganiem, jakimby sprostać nie byli w stanie.

Dramat nowożytny i intrygowy, który się urodził właściwie pod koniec 16 stulecia, aczkolwiek odpowiada formą swoją i żywiołami

składającymi go, skłonnościom nowszych epok, nie powinien przecież wykluczać tragedyi, mającej tak nieśmiertelną przeszłość, a niemniej i wszystkie warunki, pod któremi mogłaby istnieć w każdej epoce, byle ta miała uczucie i cześć dla piękna i charakteru.

Odkąd romantyzm rozsadził klassyczne formy, rzucono się na oślep w dramat, dlatego że najwięcej dawał swobody, ale takiej swobody co przestawała być sztuką, co się prędko wyuzdała w potworności i niedorzeczności, mogące wywołać najmocniejsze efekta, nigdy jednak wprawić umysł i serce widza w to upojenie jakiego doznawał, gdy przed nim rozwijała się głęboka gra uczuć wewnętrznych, przesuwaly charaktery olbrzymie, z jednej sztuki granitu, a odpowiedni postaciom język, grzmiał ze sceny i jak strzałami wrażał się w pamięć, każda zaś postać jak pieczęć odgniatała się w sercu, zostawując w niem uczucie i pojęcie ideału.

W pomieszaniu dzisiejszém wyobrażeń, wcale nie na korzyść sztuki wypadającym, ośmielam się rzucić kilka postrzeżeń o tragedyi, suchych może, bo teoretycznych, lecz zawsze będących na dobie, kiedy mogli w téj

materyi rozprawiać członkowie akademii francuzkiej tak głośno, że ich świat słyszy; kiedy przytém mam przed sobą parę naszych utworów dramatycznych tylko co w obieg puszczo-nych. I jedno i drugie nasuwa więc potrzebę mówienia o tragedyi w ściśłym znaczeniu, a zatém odrębnie od tegoczesnego dramatu.

Niech mi wolno będzie i to jeszcze dorzucić, że myśli które pragnę rozwinąć, potrącone zostały mową Ponsarda, w której chociaż wymownie bronił praw tragedyi, przecież nie ujął pytania tam, gdzie właściwie było do ujęcia, to jest w zasadzie tragedyi, tak jak ją pojmowali Grecy. Tam jest ona w swoim źródle i dlatego najczystsza.

Cóż więc jest tragiczność, co tragedia?

Zazwyczaj przeciw stawiamy tragiczność z koniecznością, jak łzy ze śmiechem, i z tego przeciwieństwa tworzymy sobie najpospolitsze pojęcie obu rodzajów. Lecz gdy nie wszystko co łzy wyciska bywa tragiczném, jak nie wszystko co do śmiechu pobudza, komiczném, tak i właściwa tragiczność tkwi w czémś in-szém, wyższém; zwłaszcza że najpodnioślejszy stopień uczucia objawia się najczęściej milczeniem, a najtragiczniejsza scena nie zwilża oka.

Starożytność najobfitsza w skończone tragiczne motywa, czyż niema sióstr Faetona płaczących na jego grobie, którym gdy łez nie stało, zamieniły się w wierzby płaczące? Czyż Niobe po stracie synów i córek nie zamienia się w marmur? a w chwili zamordowania Ifigenii na ołtarzu ofiarnym, czyż Agamemnon płaszczem nie zasłania sobie głowy? Łza przynosi wewnętrzną ulgę i jest już znamieniem upadającego uczucia, a nie jego piętrzącej się siły.

Rozczulenie do łez to nie tragiczność — to rzecz dzisiejszego dramatu, który żelazną konieczność tragedyi zastąpił drobném chceniem.

Właściwa tragiczność w ścisłym pojęciu, leży gdzieindziej. Starożytni widzieli ją w tym nieszczęśliwym losie pognębiającym, który acz zasłużony przez winę, jednakowoż na skali ludzkiego uczucia nie wydawał się odpowiednym w stosunku do winy. Ztąd budzi się w nas litość dla dotkniętych ręką losu, budzi się oraz i trwoga przed karzącą potęgą, ale nie trwoga zwyczajna, upadająca, tylko inna, głębsza, pełna pokajania, a oraz podnosząca nas duchowie, aż do nabrania téj świadomości, że na szali boskich wyroków bezwzględnie

sprawiedliwych, kara musi być odpowiednią zbrodni.

Tragiczność w proch ściera nasze człowiecze uczucie, lecz na to, aby je podnieść tém wyżej, kiedy zarazem daje przeświadczenie wewnętrzne o sprawiedliwości i nieomyślności sądów opatrznych. Niewolnicze poddanie się niezrozumiałemu przeznaczeniu, byłoby zawsze hańbiącym; dobrowolne zaś przejrzanie planów sprawiedliwości boskiej i zgodzenie się z niemi—przynosi najwyższy zaszczyt i ulgę.

Z tego pojęcia wychodząc największe okropieństwa nie stanowią jeszcze tragiczności. Okropność obudza tylko strach przed jakąś nieznaną potęgą, gdy tragiczność zmusza byśmy schylili czoło przed uznanym opatrzny porządkiem świata.

Z powyższych określeń tragiczności, wynika, że tragedia nietylko powinna budzić trwogę i litość, ale jeszcze oba te uczucia ozłacać i uszlachetniać promieniami dobrowolnego poddania się widokom najwyższej woli. Arystoteles tak często cytowany gdzie nie potrzeba, właśnie myśl tę najtrafniej wyłożył: „Tragedya -- powiada on — jest naśladowaniem

działania, które za pomocą litości i trwogi oczyszcza każdą namiętność.“

Jedno to zdanie Arystotelesa jak mieczem przecina starożytną tragedję, od dzisiejszego dramatu, który podszywając się pod wielkie imie, pragnie w nas wmówić, że jest dalszym ciągiem rozwoju, tragedją w postępie, gdy tymczasem nie oczyszczenie, nie zidealizowanie namiętności ma on na celu, ale raczej ubóstwienie jęj i najpospolitsze oddanie w formie, w jakiej się przedstawia w życiu codzienném. Naturalnie, że tu mówię o dramacie intrygowym, efektowym, awanturnicznym bez ideału i pięknoty.

Ależ co nam do starożytnych, co do klasyków! Kalderon i Szekspir moi ojcowie! odpowie dramat dzisiejszy.

Zapewne Szekspir i Kalderon, to ojcowie nowożytnęj sztuki dramatycznęj—inne wpływy, inne otoczenie, inny duch towarzyszył tworzeniu się ich dramatów — ale zawsze jak jeden, tak drugi rozrządzał wielkimi żywiołami tragiczności, jak jeden, tak drugi trafiał w myśl Arystotelesa: *oczyszczał każdą namiętność..*

Kalderon rycerski i religijny, ma ideał ho-

noru, górujący nad wszystkie inne powinności. Święte powołanie rycerza nie znosi na sobie żadnej skazy, podobnie jak czystość wiary grzechu na sobie nie znosi; z czystotą zatem wiary, nienaruszoność honoru stała się zasadą życia Hiszpana. Osiągnąć ten wzniosły cel mogło tylko poświęcenie się. Jak Fenix sam palący się na stosie, aby odrodzonym w niebo ulecieć, Hiszpan idzie ochoczo na nędzę i śmierć w nadziei, że duch jego wywinie się ku niebu promienny jak anioł.

Geniusz Szekspira szedł drogą więcej ludzką, chłodniejszą, rozumową, wyzwolony zarówno z pod władzy ciemnego fatum greckiego, jak z pod wielkiej myśli ofiary chrześcijańskiej. U Kalderona Bóg zabija zbrodniarza — u Szekspira grzesznik z dopuszczenia bożego sam się gubi. Szekspir choć może nie znał tragedyi starożytniej, ale mimo tego geniuszem swoim podniósł się do wysokości helleńskiego ducha, jego bowiem tragedia jest także tragedją losu ciemnego, nieuniknionego, krwawego i sprawiedliwego, tylko w inny sposób jak u starożytnych. Ten los u Szekspira jest raczej podobny do zagadki dawno rozwiązanej, jasny jak śmiertelna koszula, którą po-



tępieniec sam na siebie wdziewa. Kiedy w greckiej tragedyi gra niewidoma ręka i sieć demoniczną rzuciwszy na głowę winowajcy pędzi go przed sobą, tedy Szekspirowski grzesznik z głębi własnej piersi wysnuwa powrozy, któremi się mota. Samodzielność charakterów téj u niego siły, że kierują akcją i stanowią o jój wypadku, z nich rodzą się wszystkie sytuacje, gdy w starożytnéj tragedyi sytuacja rodziła charakter. Sąto tylko historyczne różnice—ale wysokość jednaka.

W antyku gra idzie o sytuacje, w modernizmie o charaktery. Grek lubił malować tragiczne położenie; ojciec nowożytnéj tragedyi pokazuje jak się człowiek obraca w tém położeniu — pierwszy rozwiązywał zagadki losu, drugi zagadki psychologiczne.

Wszystko to zrównoważone, bo jedno i drugie — wielkie i prawdziwe — podnoszące i pocieszające.

Bijąc czołem przed Eschilesem i Sofoklem, nie można nie uniżyć go przed Szekspirem i Kalderonem, ale wolno znachodzić w jednych więcej mistrzostwa niż w drugich.

Naśladownictwo, jak zwykle podejmujące strony najsłabsze mistrzów, bo tylko do tych

jest w stanie dostąpić, popsuło nam tak starożytnie jak nowożytnie wzory — z czego znowu nie wynika, żeby te wzory uznać za ułomne. Pięknota prawdziwa ma to do siebie, że się zawsze do niej wracamy, inaczej nie byłaby nieśmiertelną; ma i to jeszcze, że ogrzewa i zapłodnia, jak ogrzała i zapłodniła epokę odrodzenia.

Sztuka musi mieć swoją wielką tradycję w literaturze; samorodne geniusze nawet, ujęte w jej karby, nieprzystałyby tém być, czém są, a zostałyby nadto wzorami doskonałości, wysokiego smaku, skończonej pięknoty.

Romantyzm świeżej daty, podnosząc rewolucję przeciw tradycyi, pogruchotał pojęcia i formy przekazane od starożytnych, rozbijał się, stracił miarę i wagę, pogrążył w codzienności, ale jeszcze sobie właściwych form i praw nie ustanowił.

Dotąd szedł drogą oddziaływania i dlatego nie wypowiedział jeszcze swego słowa o nowożytném przeznaczeniu sztuki; uwieszony na Szekspirze, przyznaje się do wielkiego ojca i chce geniusz po nim dziedziczyć, a zabiera tylko o jego rupiecie.

Kto żyje jak my w epoce nie mającej ani

żywiółów, ani ducha twórczości, bo w epoce rozkładowej i filozofującej, powinien mieć więcej na baczeniu tradycję sztuki, niż ubieganiem się za szukaniem nowych niby dróg, które w tej zadymce wyobrażeń najsprzecznijszych to mają do siebie, że po niedługiem kołowaniu wracają znów do punktu wyjścia. W prawdziwej epoce estetyzmu, niechże już będą przynajmniej artyści, a to mianowicie w sztuce dramatycznej, która potrzebuje wyrobić się, wygładzić ścieszki, aby gdy przyjdzie szczęśliwa chwila, dramatyczny geniusz narodu miał poczem stąpać swobodnie.

Gdy przyjdzie chwila — powiedziałem — zapewne! czyż historia nie uczy, że najprzywilejowańsze narody, jedną tylko miały chwilę w wielowiekowym życiu, w której najszczytniejszy kwiat poezji—dramat, odmykał się i wonią swoją nietylko upajał współczesnych, ale ją późnym przekazywał pokoleniom. Chwila ta nigdy nie była przypadkową, ani zawisłą od woli poety — wszystko przysposabiał zbieg okoliczności szczęśliwych. Zwycięstwo pod Salaminą, gdzie garstka Greków tryumf odniosła nad émą barbarzyńców, była szczytem historii greckiej, a oraz i tryumfem

poezyi nad duchami — imiona trzech największych tragiców starożytności zbiegają się w tym punkcie. — W nowym świecie potęga Hiszpanii stoi w pełni kwiatu, lecz już się dają postrzegać znaki wędnienia i Kalderon się zjawia. — Anglia wznosić się zaczyna, ta królowa mórz flotami opasująca ziemię — i Szekspir opasuje ziemię swoim geniuszem; jak na morzu, tak w dramacie odbija się władztwo jęj nad światem. — W krwawęj swawoli Fron dy rośnie człowiek, mający pierwszy obdarzyć Francyę tém, czego najbardziej potrzebowała, to jest: surową jednią, dającą jęj siłę i sławę. Królewskość, to zmysłowe uosobienie ludu, była natenczas jedyną formą, w jakiej naród mógł się przejrzeć i zrozumieć. Francya pewna siebie, spokojnie patrzyła w swoje słońce, gdzie się zbiegały jęj opinie, smak, dążności — i powstał Kornel z Rasynem, lecz nie jako odbicie się wykwiętnych obyczajów dworu, bo to nie nadawałoby im tego znaczenia, jakie im świat przyznał — ale jako wyraz uczuć chrześciańskich rozlanych w narodzie, co zanurzając się w sobie pod okiem Boga sprawiedliwego i zazdrosnego, skupiały się i badały wewnątrznie. Ztąd taka w tra-

gikach francuzkich znajomość namiętności, taka głęboka analiza serca, i taka tkliwość ustawnie walczona i tłumiona, a więc burzliwa i potężna. Dodajmy do tego odżywioną starożytność grecko - rzymską, którą duch narodu przyswoił sobie o tyle, o ile przyjąć mogła jego natura; jakoż wziął z niej harmonijną regularność, zdrowy rozsądek i smak wytworony. Z tych żywiołów utworzyła się literatura jednolita, w której na pierwszy rzut oka, po jasności i prostocie, misterném a szczelném spojeniu części, i doborze trwałego materiału, poznasz, że tędy przesunęła się starożytna tradycja. — Najpóźniejsza tragedia w Niemczech urodziła się tam równocześnie z filozoficznemi zacieki — książkowi ludzie wydumali ją. Wyrosłszy na filozoficznym gruncie, sama jest filozoficzną; nie gra w niej zagadka losu jak w Sofoklu, ani psychologiczna jak w Szekspirze; ani walczy namiętność z powinnościami jak w Rasynie; ale ścierają się idee i pryncypia, a charaktery i sytuacje są tylko środkiem, nie celem. Jestto dowodzenie tego lub owego założenia zapomocą osób, którym zbywa na prawdzie życia; najczęściej ludzie mali, lecz

obciążeni ogromem idei, zupełnie jak ogół Niemiec.

A teraz przebiegłszy tak wielkie momenta tragedyi, spytajmy się, czy w dziejach naszej literatury niema żadnej analogii, któraby jeźli nie na jednej linii, to przynajmniej z boku przyczepić się nie dała do tych szczęśliwych chwil, w których narody zdobywały się na dramaty?

Rzecz osobliwa, iż kiedy z powstaniem naszej literatury nie zanosilo się na dramat, choć dwór obu Zygmunatów mógł sprzyjać temu rodzajowi, początki panowania Batorego zaraz takowy wydały. Silnie ustalona władza, bezpieczeństwo granic, upojenie zwycięstwami, rozrost swobody życia, i spokój umysłów, pochodzący z otuchy w długie trwanie pomyślności obywatelskiej, zaraz wywołują dramat na scenę. Zjawisko to powtarza się od początku dziejów wszystkich literatur. Kochanowski z swoją *Odprawą posłów greckich* rozpoczyna i kończy zawód dramatu, który utworzony pośród najżywszych wpływów grecko-rzymskiej starożytności, popularniejszej wtedy w świecie ukształconym, niż własnego narodu dzieje i postacie, nosi najwybitniejszy

jój charakter i krojem i mową. Aczkolwiek był to czysto literacki utwór, nie mający nic odpowiedniego w owych misteryach czyli grach jaselkowych, ścielących zazwyczaj drogę dla dramatu — jednakowoż nie musiał on przejść bez wrażenia; ówczesni widzowie co nietylko swoje pojęcia, ale i instytucje obywatelskie formułowali na krój starożytny, umieli zapewne poznać się na tej woni czysto hellenickiej. Bądź jak bądź *Odprawa posłów* była takim początkiem, jakiego nie pokaże żaden z nowożytnych narodów; była zakrojem na coś olbrzymiego, nie dającego się nawet obrachować podług tej skali, która służy zazwyczaj na obrachowanie wpływów, towarzyszących zjawieniu się jakiego ogromnego talentu lub geniuszu. Że się skończyło na początku — że się nie nie wywiązało, przeczuł może wieszcz, kiedy wołał ustami Kassandry:

Czujcie stróże: noc idzie, noc podejrzana,  
 Wielki ogień ma powstać: tak wielki ogień,  
 Że wszystko, jako w biały dzień, widać będzie:  
 Ale nazajutrz zaś nic widać nie będzie.  
 Wtenczas, ojcze, ani już Bogom swym dufaj,  
 Ani się poświęconych ołtarzów łapaj:  
 Okrutnego lwa szczenię za tobą bieży,  
 Które cię paznokciami przejmie ostremi,

A krwią swoją swe gardło głodne nasycl.  
 Syny wszystkię pobiją, dziewczki w niewolą  
 Zabiorą: drugie kwoli trupom umarłym  
 Na ich grobie bić będą. — Matko ty dziątek  
 Swoich płakać nie będziesz, ale wyć będziesz \*).

W epoce późniejszej usiłowano uchwycić nie jakiej dramatycznej tradycyi, ale już nie umiano trafić do niej, natomiast trafiono do postaci z własnych dziejów, co było wielkim krokiem, tylko, że zbyt niewolniczy sposób przykrawywania scen i figur do znanych patronów robił je martwemi podług wymagań sztuki, pełnemi zaś życia, gdy je weźmiemy ze strony uczuciowej. Postacie te ogrzane świętym ogniem lepiej znane są narodowi niż figury wszystkich trajedyi i dramatów pisanych po dziś dzień. Barbara, Gliński, Warneńczyk mogą niestać głębokością charakterów, psychologicznemi studyami, ale stoją tém szlachetném uniesieniem, co i w kalderońskiej trajedyi połowę jęj wartości znaczy. W Hiszpanii stykał się wschód z zachodem, pogański islamizm z prawowiernymi synami kościoła, u nas czyż nie tak samo? walka o wiarę i o do-

\*) Ailuzya do Hekuby zamienionęj w sukę.



mowe ogrńska czyż nie była najgłówniejszym żywiołem w naszym życiu? a gdzie jest walka tam musi być i miłość wyższa nad inne względy.

Com tu wtrącił o naszym dramacie, to aby wskazać na rozpierzchłe materyały, drgania ku życiu, ale nie życie w pełni i jawie. — To ostatnie nie zawisło od poety, traika, ale on zawisł od niego, a jak zawisł? zdaje mi się, że choć przelotnie wskazałem zatrzymując się na tych momentach najwyższego wzrostu szczęśliwych narodów, co pewne swojej wygranej w zapasach z losami, musiały mieć i czarodzieja coby im przed oczy stawiał własny ich obraz skoncentrowany w myśli opatrnej...

Bez tego warunku nie wierzę w dramat inny jak książkowy, literacki — jak znowu z temi warunkami da się tłumaczyć wszystko, nawet zjawisko jak Szekspir, który tak dalece jest ideałem wszechmądrogo swego narodu, że wszystko zeń wziął, jak ktoś humorystycznie wyraził się, aż do otwartych zawsze ust, będących symbolem wolności słowa.

My cośmy jeszcze tak ubodzy w literaturę dramatyczną, pielęgnujmy dobre tradycye sztuki, czyli takie co najwięcej odpowiadają

naszemu duchowi, a w któreby najsmadniej wcielić się mogła myśl ogółu, jeśli tenże ze stróżem zamku Atrydów przestanie powtarzać:... *βοῦς ἐπὶ γλώσση μέγας βέβηκεν.*

Wieszcz Czarnolaski lubił rozmawiać z je-niuszem Grecyi: prosta słowiańska dusza przyłgnęła do tego pokoju, do téj czystości konturu, powagi bohaterskiej, pełności charakterów, i do tych traicznych sytuacji, które są dziełem losu, a nie skutkiem wikłającej intrygi, co się dziś tak wszechwładnie rozparła na scenie... Kto wie, czy wieszczy duch Kochanowskiego nie wytknął w swojej *Odprawie posłów* toru, jakim pójść winna przyszła nasza trajedyja, jeżeli słowa Kassandry przeminą i niebędą miały

u ludzi więcej

Wiary, nad baśni próżne, i sny znikome.

---

Powyższe uwagi nasunęły mi się w części, jak już wspomniałem, świeżymi utworami dramatycznymi: *Anna Oświęcimówna*, — *Zborowski* i *Jadwiga*. Mówię o nich samych wy-

Dzieje hist.

łącznie — nie zdało mi się z téj przyczyny, że szczegółowy rozbiór, zaplątałby mię w inne koło wyobrażeń mających, że tak powiem materialną część sztuki na celu, przyczem choćby się otwarło szerokie pole do drobiazgowych spostrzeżeń co do układu scen, przeprowadzenia akcji, utrzymania interesu dramatycznego, wreszcie co do dykcji, a nawet samej gramatyki — jednakowoż mniej zostawiałyby swobody w ogarnięciu trajedyi w całym jej obszarze. Zresztą mam to przekonanie, może mylne, iż podnosić te lub owe usterki dostępne oku każdego czytelnika umięjącego myśleć i zastanawiać się, jedno jest, co dla tyralierki zaniechać walnej bitwy. Niech wszakże porównanie to nie naprowadza na wniosek, żebym godził walnym bojem na te dramatyczne utwory — bynajmniej — jam tylko bojem nazwał moją pogadankę w teoretycznym świecie dramatu, gdzie szło o większe, niż o wyrokowanie, czy się temu lub owemu autorowi udał lub nie udał pomysł dramatu lub trajedyi.

Z tém wszystkiém pomówmy naprzód o poemacie dramatycznym Mikołaja Antoniewicza: *Anna Oświęcimówna*. A więc to nie dramat

w ścisłym znaczeniu? Niestety! — Wpływ romantyzmu wprowadził to mieszane obywatelstwo w dziedzinę sztuki, że już wolno we dwóch rodzajach literatury naraz siedzieć, a właściwie nie należeć do żadnego. Lepszy był dawny zwyczaj kiedy utworom nadawano ściśle granice jednego rodzaju; przynajmniej krytyk miał prawo powoływać przed właściwy sąd, a tak mogą go odsyłać od Anasza do Kaifasza.

Pomysł Anny Oświęcimówny wziął autor z podania przywiązanego do grobów rodu Oświęcimów w Krośnieńskim kościele. Podanie mówi o namiętnej a grzesznej miłości siostry i brata, i o nagłej śmierci tej siostry, gdy kochając bez nadziei połączenia się na ziemi, ujrzała brata przywożącego z Rzymu dyspensę!... Nie może być przedmiot szczęśliwszy i traiczniejszy jak to uczucie miłości w walce z uczuciem występku przeciw prawom naturalnym i boskim. Poeta miał tu precudne pole rozwinąć traiczny talent, gdyby się był ograniczył, że tak powiem na dwóch głównych osobach, i działaniu nadał jedność; tymczasem rozstrzelił interes akcji przez wprowadzenie drugiej pary także kochającej się, lecz

mającą trudności pobrania się z powodu nierówności urodzenia; zepsuł niezużyte jeszcze motywum, zużytemi aż do przesytu scenami melodramatycznymi i nie historycznymi, jak: napad szlachty na zamek; jakby to szlachta napadała u nas na zamki za to, że kto bierze ślub z bliską krewną i to za dyspensą z Rzymu? Wprawdzie złożył to na bojaźń kary niebios mogącej okolicę dosięgnąć za spełnić się mający grzech kazirodztwa — obawa, aby grady nie wytlukły łąnów, pomorek nie wybił bydła, wiodła tę szlachtę z mieczem i głownią na gniazdo zakochanej pary — a więc fanatyzm? Przyznam się, że mimo całej gorliwości religijnej naszych przodków, nigdy nie zdarzyło mi się czytać, aby podobny powód wzbudził w nich zemstę na równym sobie obywatelu używającym jednych praw i przywilejów... Ale nie idzie mi o strony ujemne, raczej pragnąłbym pokazać, jak autor dopiero przy końcu piątego aktu schwycił tę myśl, która powinna mu być od samego początku przyświecać. Kiedy Anna umiera pustelnik powiada:

Radość zabiła — to twój wyrok Boże!

## STANISŁAW.

Ó nie bluźń starcze! to wyrok szatana!  
 Bóg sprawiedliwy — nie karze bez winy!...

## PUSTELNIK.

Możemy grzeszyć myślą, mową, czyny,  
 A sądów Bożych nam droga nie znana.  
 Tyś zgrzeszył myślą, a w sądzie przedwiecznym.  
 Na każdy grzech nam karaznaczona.  
 Chociaż jój ojciec był twemu stryjecznym,  
*Myśl była grzeszną — kochałeś rodziną.*

Poeta idąc tylko za tą myślą od początku, byłby nie potrzebował ani tego Łaszcza, ani burdy szlacheckiej, ani tych wszystkich romansów. Walka namiętności z powinnościami byłaby wystarczyła nietylko do zapełnienia aktów, ale i uproszczenia akcji, a nade wszystko przez skoncentrowanie całej potęgi dramatycznej na główne osoby, interes byłby się o sto procent podniósł, a one, jak wielkie charaktery traiczne, nie zestarzałyby się nigdy na naszej scenie... Nie wchodząc w tyle innych rzeczy jakie ten dramat nastrecza, mogę tylko dodać, że kto przedmiot ów podjął i wyprowadził na scenę, już tém samém miał niepo-

spolite poczucie prawdziwej i głębokiej tragiczności.

Samuel Zborowski i Jadwiga, dwie trzy aktowe trajedye wydane bezimiennie, a napisane wierszem białym i z choram, mogą posłużyć za dowód, że przez formę, a w części i ducha jakim tchną, zaczyna przezierać myśl będąca jakby zapowiednią dramatu, co z żywiołów narodowych ma się urodzić. Język w nich zbyt może archaiczny, aby mógł być słyszany na scenie, nadaje im przeciw pewną starożytną barwę, szorstką, czasami ciemną, lecz pełną jędrności, co w nas sprawia złudzenie jakbyśmy słyszeli rozmawiające ze sobą te staroświeckie figury 16 i 15 wieku. Autor zapewne miał na myśli dać nam tylko próbę swych dramatycznych usiłowań, bo wszędzie spotykamy szkic charakteru, a nie przeprowadzenie charakterów przez wszystkie perypecey dramatu, jestto raczej zdramatyzowany obraz historyczny, niż właściwa trajedia, co wszakże nie przeszkadza, żeby nie znalazły się miejsca bardzo szczęśliwie pomyślane, jak między innymi to, gdy Włodkowa przypisuje Samuelowi prywatę w tej jego zawziętości na króla i na Zamojskiego.

Wymownych miejsc możnaby wiele przytoczyć i w Zborowskim i w Jadwidze, szczególnie Zborowski, jako motywum wyborne do trajedyi nastrećzał sytuacje nadzwyczaj dramatyczne, jak to widzenie się Zamojskiego z Samuelem w więzieniu; tém bardziej, że pamiętniki owoczesne, których autentyczności podejrzывать nie można bez dowodu, samém prostém zaprzeczeniem — pełne są gotowych już dramatycznych sytuacji robiących i na dzisiejszym czytelniku mocne wrażenie. To n. p. trzykrotne wołanie kanclerza stojącego w drzwiach Katedry gdy Samuela prowadzono na ścęcie: „Samku odpuść mi w Imię Boże!“, nietylko jest dramatycznie efektywém, ale nawet i szczytném... Szkoda, że autor nie chciał z tego materiału korzystać.

Jadwiga; przedmiot tyle razy obrabiany u nas, a tyle razy nieszczęśliwie; choć bowiem w niniejszej trajedyi przychodzi nowa kombinacja oryginalnie pierwsz raz użyta: że Jadwiga poślubiona Wilhelmowi musi go porzucić, aby z woli narodu pójść za Jagiełkę — wszelako te kanoniczne zawady mogą nastrećzać wiele kłopotu, ale dlatego peryperyi traicznych nie tworzą.



Otóż trajedyja którą mam przed sobą jest także historycznym obrazkiem jak Zborowski, a o tyle ma w sobie żywiołu dramatycznego, o ile wola narodu jest tém nieubłaganém factum, o które się musiało rozbić uczucie żony i kochanki, zwłaszcza, że sama powiada jak pojnowała to polityczne poświęcenie się:

Lecz nie bójcie się — Jadwiga wiedziała  
 I co jój godne i to, czemu sprosta —  
 Nieda się ubiedz córce Krakusowej.  
 Co tamta rzuca się z koniem do Wisły  
 To ja gdzie w cięższe od śmierci objęcie  
 Oddając rękę obcemu książęciu,  
 Czynię od Wandy nierównie rzecz większą.

Winienem jednak zrobić uwagę co do słów w przypisku (str. 144), gdzie autor powiada: „Wyobrażenia o cnocie i wielkości są po dziś dzień pod urokiem szkoły pogańskiej“ — a dalej — „dramat ma być cnotliwy i to surowej cnoty, aby nie psuł narodu.“ Nic sprawiedliwszego, tylko że nie potrzebowalibyśmy wtenczas chodzić do kościoła na kazania, tylko do teatru, a cały starożytny teatr wraz z bardzo chrześcijańskim Kalderonem i głęboko ludzkim Szekspirem, wypadłoby skazać na spalenie. —

Zdaje mi się, że autor zapominał na chwilę, iż w każdej akcji, którą poeta przeprowadza przed naszymi oczyma powinien nam wlać to przekonanie, że indywidua działające, inaczej nie mogły działać tylko odpowiednio swojej istocie, bo zkadżeby się wzięły *charaktery*? Dlatego nie należy dramatycznego charakteru mieszać z moralnym. Szekspirowski Rychard trzeci największy łotr, jakiego nosiły deski teatralne, jest mimo tego największém arcydziełem pod względem charakteru. Nie oto idzie czy on zły czy dobry, lecz że działa jak go natura zmusza, przeto się staje dramatycznym charakterem. A główny grzech popełnia pisarz, nie przez to, że złych wystawia, lecz, że swoim osobom każe robić coś takiego, czego one robić nie mogą wbrew swojej naturze.

Co do powyższych dwóch trajedyi *Samuela* i *Jadwigi*, to mogę jeszcze dołożyć: że niewytrzymują żadnej krytyki, tak są ogołoczone ze wszelkich pojęć o sztuce — a mimo tego, nie rzadko trafiają się o nich niespodziewanej oryginalności pomysły i bardzo szczęśliwe wyrażenia się, które w steku słów niegramatycznie

i nielicznie powiązanych z sobą, pływają jak złote oczka oliwy na wodzie... Utwory te napisane w epoce Reja z Nagłowic byłyby miały znaczenie w historii piśmiennictwa — dziś nie mogą mieć żadnego...

---

### III.

#### HUMORYSTYKA I POEZYJE FELICYANA.

---

Może mi kto zarzuci, że zbyt często zajmuję się płodami poezyi z uszczerbkiem innych rodzajów literatury, że nadto wielkie miejsce daję poezyi, co może gniewać ludzi bardzo poważnych, nie mieć powabu dla umysłów lekkich, wstrętem nabawiać dusze pospolite, a tylko zajmować szczupłe kółko wybranych czytelników.

Jednakowoż kto zważy niesprawiedliwą nierówność w kolejach literackiego powołania, kto się zastanowi nad niedorzecznością moralną dająca nieraz skandaliczną lub głu-

pięć powieści stokroć więcej rozgłosu, sławy i dochodu, niż jakiemu szlachetnie i czysto poetycznemu tomikowi poezyi — ten przyjdzie jak mi nie mam, do tego przekonania i wniosku: że sumienie nakazuje, a uczucie słuszności wymaga, aby znalazło się gdzieś schronienie dla tych królów bez królestw, którzy wolą unieść swoje czyste godła, niżeli je kalać bezrozumnym oklaskiem. Mimo tego bynajmniej nie mam na celu przywracać zwichnioną równowagę i wynagradzać mojem wspomnieniem te wydziedziczone istoty; chcę tylko okazać sympatyę i wdzięczność tym rzadkim pisarzom co mi pozwalają oddychać świeżem powietrzem naszych pól i lasów a nie zepsutem wyziewem społeczeństwa odzwierciadlanego z najsmutniejszej strony; którym wreszcie winienem tę szczytną i wykwinną rozkosz czytania pięknych wierszy, wyrażających piękne myśli, malujących pełne życia i ruchu obrazy i postacie.

Nie mogę i tej drugiej pominąć rozkoszy doznanej przy czytaniu tych poetów, a ta jest, że mi dowiedli, iż nasze powątpiewania o przyszłości poezyi, żale nad jej upadkiem, jej wyczerpaniem się i zmęczeniem, były może przed-

wczesnemi wróżbami, bo jakkolwiek świat rzuci się w odmęt realizmu, jakkolwiek powywiejsza sztandary przemysłowego postępu i w pysze spanoszonego giełdowca, lub szczęśliwego spekulanta z góry spoglądać będzie na płody czucia i fantazyi nie notowane na giełdzie, jakkolwiek znajdą się ludzie usiłujący nas przekonać, że niema zacniejszego ani wyższego celu, jak osiągnięcie materyalnych wygod, z których mają się dopiero wyrodzić zdobycze umysłowych i duchowych bogactw — z tém wszystkiém prąd poetyczny jakby rozbudzony przeciwnościami tego kierunku mającego już swoje organa, rwie się coraz żywiej, odzywa z różnych stron i oplatając gałązkami bluszczu upadłe serca, odmładza je swoją świeżością.

Są więc poeci i będą długo poeci — bo na téj drodze współzawodnictwo nie jest straszniém, przeciwnie na innéj wskazywanéj przez niebaczných doradców, których gruby zmysł olśnił od materyalnych zdobyczy i wygódek cielesnych, zawsze będziemy nisko stali, jako pozbawieni warunków sprzyjających rozwijaniu się swobodnemu i samodzielnemu przemysłu lub handlu, jako wreszcie najmłodszy

w téj grze tak różnej od rolniczego i gospodarczego zawodu sięgającego najdawniejszych wspomnień plemiennych.

Nie idzie zatem, com powiedział, aby wyrzec się całkiem postępu i ulepszeń materialnych, stanowiących bogactwo krajowe, bo to byłoby skazaniem się na nierozumną beczyność; ale radbym żeby i ta praca płynęła z wyższej potrzeby moralnej, była jednym z warunków, ale nie celem życia, dowodem czynności umysłowej rozpościerającej się wszechstronnie, a nie nikczemną służbą u złotego cielca, któremu składanoby ofiary ducha: enotę, sumienie i szlachetniejsze uczucia i przekonania.

Przepraszam za odstąpienie od materji; lecz przywykłyśmy uważać każdy fakt czy moralny czy fizyczny, w związku z wszystkimi fenomenami społeczeńskiego życia, nie mógłem mówić o poezji i poetach oderwanym sposobem, czyli nie dając im za tło najświeższego rysu epoki.

Wracając tedy do przedmiotu, pragnę pomówić o tomiku poezji, wydanym w ciągu bieżącego roku, pod napisem: *Kwiaty i Kolce* przez Felicyana. Jestto jak widzimy nowy

anonim, czy pseudonim, ogłaszający prace swoje w Warszawie, gdzie dotąd mniej bywało pseudonimów niż na Litwie i Ukrainie. Takie schowanie się pod przybrane miano, lubo niezmiernego kłopotu nabawia naszych bibliografów, którzy będą zmuszeni stworzyć nową rubrykę dla anonimów przezroczystych, za co ich nie żałuję; dowodzi dwojga rzeczy: albo nieśmiałości młodzieńczej tak łatwo dającej się uniewinnić przy pierwszym wystąpieniu, albo téż co pewniejsza, trwogi przed chłostą dzienników, zwykle próbujących swych sił na słabszych i nieśmiałych, a zwłaszcza debiutantach.— Autor Kwiatów i Kolców przeczuwając widocznie, że mu nie ujdzie płazem nuta cokolwiek odmienna od téj, na jaką nastrojona większa część dzisiejszych gęśli, nie położył swego nazwiska, i obawę miał słuszną, bo jeżeli go nie starto na miazgę, to nieprzepuszczono usterkom stylu, słabym wierszem, nie zbyt szczęśliwém wyrażeniem, a nade wszystko pewnej pretensjonalności zakrawającej na manierę, co się zdarza u młodych jeszcze niewytrawnych pisarzy, a co zwykle się przebacza, zwłaszcza tam, gdzie niespodzie-



wane piękności traktowano w odmienny sposób spotykają się dość gęsto.

Wziąwszy go tedy ze słabszej strony, a więc z niedoskonałości dostępnych oku nie tylko krytyków, ale i prostego czytelnika, niedoskonałości, z których się tak łatwo poprawić, kiedy jest fundusz na lepsze, wbito *kolce w kwiaty*, i dziwiono się czemu wiedniały?!

Nie pojmuję, przyznam się, jak się to stało, że w pewnym względzie nowy tok poezji Felicyana, pełność i obfitość natchnienia, bogactwo porównań i obrazów, a nadewszystko rączy lot liryczny i niezrównana artystyczność w plastycznym rysunku figur, zgoła te przymioty prawdziwego poetycznego talentu, niewiem jakim sposobem uszły wzroku pisarzy dających sąd o nich po dziennikach. — O zawisć lub niechęć bynajmniej pomawiać nie myślę, bo podobny domysł przypuszczałby niesumienność i nieszczerłość ze strony krytyków, którzy nie wątpię, szli za najszczerszym przekonaniem. Prędzej dorozumiewałbym się że mimowolnie wciągnięni w pewne kółko wyobrażeń będących na dobie, wsłuchani w jedną nutę, którą brzmią dzisiejsze bardo-

ny — nie zadali sobie pracy ocenić te utwory z innych żywiołów złożone i innym oddane krojem. Nie spodziewano się zapewne w płodach pierwszy raz występującego pieśniarza, znaleźć coś, coby sięgało wyżej nad pospoliczość. Słuszne poniekąd uprzedzenie do wszelkich pierwiosnków Muzy, czyni krytyków niedowierzającymi. Tym jednak razem, można było z uprzedzeń zrobić wyjątek.

Poeta przewidywał może wieszczem przecuciem, jaka dola spotka jego pieśni, kiedy we wstępnych zwrotkach takie postawił pytanie:

Jeżeli świeże przynęci was kwiecie  
 Cierń z nich skorzystać wam wzbroni;  
 Jeżeli dla kolców tknąć ich nie zechcecie,  
 To niezaznacie ich woni.

I zgadł! — bo się tak przerażono kolców, tak widziano li tylko kolce, że o wóń mało kto pytał, i jeżeli coś o niej wspomniano to zdaleka, niby z domysłu, że gdzie są kolce mogą być i wonne kwiaty.

Co się mnie tycze, wzięwszy ten tomik do ręki napadłem za otwarciem książki na jakąś wonną strofkę, którą mię zupełnie ujęła dla

jój autora, tak dalece, że kiedym przystąpił do porządnego czytania, nie zraziłem się kolcami, poczytując je za zwykły wyskok młodzieńczości lubiącej się spowiadać ze swoich dziejów serdecznych, niestety! bardzo powszednich. Zazwyczaj bywa to rzewna elegia po stracie kochanki, pełna tęsknoty, rozpaczy nadziei; to znowu strofy ognisto namiętne wyrażające szal i upojenie miłości; jakieś reminiscencye z Mickiewiczowskiego *Żeglarza*, *Rezygnacyi* Szyllera, lub *Snu* Byrona — a wszystko gwałtowne, ciemne, niepewne, chaotyczne jak burza miotająca sercem co mogło pragnąć, a nie osiągnęło celu pragnień i wzdychań, lub osiągnąwszy, straciło bezpowrotnie! Rodzaj ten poezyi egotycznych, tych zwierzeń się z doznanych cierpień i uniesień przed światem, aczkolwiek nie podejrzewam ich autentyczności, niezmiernie bywa śliski i niebezpieczny, bo najczęściej do wypowiedzenia swoich tajemnic (sercowych) używa języka tych mistrzów, którzy niewiem, czy szczęśliwiej kochali, czy gwałtowniej cierpieli, ale to pewna, że najszczęśliwiej musieli odmalować co przeszło przez ich serce i głowę. Reminiscencye mają tu ważny wpływ i udział. Z téj

przyczyny w zbioru poezji Felicyana, wszystkie te strzeliste rymy, mógłbym policzyć do kolców, lecz wcale nieobrażających bo tak jest wszystko trzymane w tonie jaskrawym, i w ry-  
sach niepewnych, a pomysł tak pokruszony dytyrambowemi podskoki, że trudno sobie ja-  
kąś całość ułożyć, a jeszcze trudniej silić się na rozwiązanie zagadek, kiedy główna zagad-  
ka od razu zostaje rozwiązana: młodzieniec się kochał i cóż w tém dziwnego?

Wszakże i to zdanie da się złagodzić w zby-  
tniej surowości, albowiem między temi ero-  
tykami znajduje się kilka bardzo ładnych pio-  
senczek zalecających się prostotą i najszcze-  
śliwiej związaną całością. Właśnie to misterne  
ujęcie całości, w której nic dodać, nic odrzu-  
cić, daleko wyżej cenię, niż najświetniejsze  
strofki i obrazki słabo zlepione ze sobą. Mię-  
dzy innemi piosnka: *Rozmaryn* nosi cechę  
skończonego. artystostwa:

Miała sukienkę białą, gdym do niej  
Z pożegnalnemi wszedł słowy,  
W pasie błękitną wstążkę, u skroni  
Wianeczek rozmarynowy.

— Czym ładna tobie? spyta nieśmiało,  
 — Och! co ty mówisz dziewczyno.  
 Gdyby inaczej kiedy być miało,  
 Niech z łez mi oczy wypłyną!

Ona jak bluszcz, gdy drzewo obwinie  
 Splotem swych rąk mię obwija,  
 — Albo ja będę twoją jedynie,  
 Albo nie będę niczyja.

W świat mię iść pchnęło. Wtém nagle zmiana,  
 W powrót mię pędzi myśl tkliwa,  
 Wracam — dziewczyna moja wybrana  
 W chłodnej trumience spoczywa.

W sukience białej, jak mieć ją chciałem,  
 W przepasce z modrych wstążeczek;  
 W świątłych jój włosach, nad czołem białém  
 Rozmarynowy wianeczek.

Złożyłem na jój piersi dziewczęcój  
 W krzyż obie rączki łabędzie:  
 Nie będzie ona moją już więcój,  
 Lecz i niczyją niebędzie — ..

I znów poszedłem, gdzie wzrok poniesie,  
 Idę przez ciernie i znóje,  
 I znów mi spieszno stanąć przy kresie —  
 Dziewcze bo czeka mię moje.

Czegóż trzeba więcej! Cała ta smutna historia zamknięta w niewielu strofkach, a jest jakby długim romansem. Felicjan, znać to, kształcił się na dobrych wzorach, bo umie do wagi i harmonii przyprowadzać części i tym sposobem tworzyć jakby z jednego odlewu swoje obrazki i posążki.

Szkoda, że miłośne te rymy nie są oddzielone w osobnej księdze, tylko pomieszane z innymi poezjami zupełnie odrębnej natury; sąsiedztwo to szkodzi i jednemu i drugiemu; gdyby bowiem stały osobno, utworzyłyby może jakąś całość i obudziły dla siebie interes...

Najbardziej, zdaniem mojem udatne kawałki, nacechowane niepospolitym artyzmem, są te, które Felicjan złożył w uniesieniu dla świętych wspomnień starożytniej Hellady. Nieliczą je bynajmniej do rzędu tych wysileni rymotwórców erudytów, co to dzisiaj chcą pisać jak Sofokl, Pindar lub Anakreon i przybierają ich rytm i wyrażenia się, porównania, koloryt, spokój nawet, aby w nas chyba wmówić, że jeśliby im Pan Bóg pozwoliłby urodzić się w Peryklesowym wieku, to i oni potrafiliby tak samo pisać i tak samo unieśmier-

telnić się, wszystko to być może, tymczasem owoc spłodzony z książkowej mozoły, jest tém w stosunku do płodu żywego natchnienia, co woskowa brzoskwinia do świeżo zerwanéj z drzewa.

W poezjach z motywów greckich jak i naszych słowiańskich, podziwiam w kwiatach i kolcach nadzwyczajną żywość w obrazowaniu i niepospolity talent plastycznego uobecnienia nam każdej postaci. Są to rysy tak szczęśliwe, tak mocne i dobitne, że czytelnikowi od razu wrażają się w pamięć, lubo częstokroć ku końcowi humorystyczny zwrot psuje poważny efekt początku.

Jakże to piękny, jak skończony obrazek: *Zwycięzca Hippodromu!* Poeta stawia się w osobie szermierza w gonitwach wozowych i jakby wyprzedzając polot kół warczących, z szalonym pędem lirycznym chwytą wszystkie uczucia i wrażenia, jakie mogły przejść przez serce i głowę takiemu szermierzowi, co pędzi na złamanie szyi, aby tylko zyskał wieniec i mógł go u stóp kochanki złożyć... Wszystko tu jest objęte, zupełne, ściśnione i nagłe, a tak uobecnione, że jakbyśmy gołem okiem patrzyli na

ten sprzęg wichrowy lecący w tumanie ku-  
rzawy, i druzgocący się u mety.

Niech sam czytelnik osądzi:

Pędzim. Pył mglisty zrywa się w krąg świata,  
Jak dym, gdy buchnął wiatr w zgliszczu, —  
Tunika wzdęta furcząc w tył ulata,  
W rozwianych włosach wiatr świszczu.

Ha! lecę pierwszy — inni — w błysk pioruna  
Tuż za mną, szal mnie pochwyca...  
W drżącej się dłoni pręży lejc, jak struna,  
Bicz śmiga jak błyskawica.

W oczach się mroczy, w uszach szum. O moje  
Wichrokopyte bieguny!  
Feba słoneczny owies wam! wod zdroje  
*Płynące srebrem w blask Luny!*

Pięć wołów w cześć twą, jak stanę przy kresie  
Herkulu możny półboże!  
Dziesięć! Dwadzieścia! Dwieście! Herkulesie  
Spiesz, bo za późno być może!...

O! tam, w tunice z śniegu, czarnobrywa,  
Ściga mię wzrokiem Neera.  
Zarumieniona, rąbkiem z mgły powiewa,  
Serce jój w piersi zamiera.



O słodka Wenus! Bogi wielowładne!  
 Och! wy mię wspomódz zechcecie!  
 O Ceusie! Ceusie! niechaj trupem padnę,  
 Bylebym upadł przy mecie!

Och! ten — tuż za mną — pędzi znakomicie,  
 On mię dosięgnie — przeniesie...  
 O wichry moje! toż w miejscu stoicie?  
 O Ceusie! o Herkulesie!

Dopędza — w równi prawie już... o Bogi!  
 Toż wy mię odstępujecie?  
 Stój! Stój! Zawadzi... Trzask! Och! cios był srogi,  
 Ha! alem upadł przy mecie!...

O! wstać nie mogę... krew — ból... Sprzęg wichrowy!  
 Ostatki wozu w dal miota...  
 Gońcie je — w winie skapać je! Podkowy  
 Z szczerego ulać im złota!

Ha! co? jam pierwszy — prawda! Śmiech mię szczyry  
 Gdy w tył pamięcią pogonię...  
 Co? tylko żebra? — Co? i tylko cztery?  
 Dawajcie wieniec na skronie..

O piękna moja! wstrzymaj łzy niewieście,  
 To co na skroni méj było,  
 To może spocząć u twych stóp, a wreszcie  
 Choćby nad moją mogiłą.

Prócz tych *wód płynących w blasku Luny*, które są zbyt poetyczną *zachętą* dla wiatropopytych biegunów, prócz wyrażenia: *pędź znakomicie*, nic niemalującego — wszystko z resztą wyborne w tym kawałku.

Równie pełny życia obrazek, jakby zdjęty z tych freskowych malowideł dawnego Rzymu i ożywiony nowém tchnieniem, jest *Tancerka Herkulanu*, którą poeta humorystycznie zlał z dzisiejszą baletnicą.

*Bój-Zabawa*, inny kawałek w tonie całkiem przeciwnym, maluje najście Persów na Grecyą; mąż wysłany na podsłuch donosi królowi, że widział Greków bawiących się rzuca-  
niem kręgu, wyścigami i szermierką. — Dziwny lud, bo swoi walczą swoich! — Król mu na to, że pewnie dla bogatej nagrody idą w zapasy? — Wysłaniec zaprzecza, bo tylko o prosty wieniec lauru tak się dobijają. — Natenczas powstanie wódz jeden w narodzie i zawoła:

Cóżś zrobił Mardonie!

Śmiercią jest niechybioną z ludem takim spotkanie,

Nie nam zwalczyć lud ów — zgon nam mocny nasz Panie,

Marnie w obcej gdzieś stronie...

Liczba — moc to słaba. Wierście jako wam prawie:  
 Tym co w bój się bawia, walczyć — równo zabawie,  
 Zginać tym, co ich sięgą.

Byłaby to prześliczna kompozycya, bo pomysł śliczny, gdyby ją nie psuła dykcya ciemna cokolwiek i wymuszona. Poeta pragnie być zwięzłym, lecz czasami miasto zwięzłości staje się zawiłym, ciężkim i ciemnym.

Do szczęśliwych pomysłem utworów liczę wiersz: *Sprawa o Królownę*. Król Młot ma córkę o którą stara się trzech młodzieńców. Komu ją dać oto temu, powiada król Młot, kto mię na rękę przemoże. Występują do walki: lecz z królem młotem trudna sprawa! bo oto pierwszego powalił, a po nim i drugi leży na ziemi; gdy przyszła kolej na trzeciego, oświadcza, że nie myśli walczyć z ojcem téj, o którą prosi w zameńcie, bo i ta dłoń uschnęłaby  
 która wiekowi czci dać nie umie.

Zastanowiło to króla, pomyślał i uznał, że kto umiał uczyć wiek, ten go najlepiej zwalczył — oddał mu więc córkę, która również poznała się na wartości młodzieńca:

Tamci bo z siebie, niż mnie, zbyt hardzi,  
 Ten mnie, niż siebie, miłuje bardziej.

W ogóle mogę powiedzieć, że wszystkie te powiastki trzymane są w tonie epickim; ogromny w nich ruch i życie, plastyka figur nakreślonych częstokroć kilką potężnymi rysami, daje dobrą wróżbę, że śpiewak kwiatów i kolców umiałby podołać i poematowi większych rozmiarów, w którymby postaci występowały samodzielnie, a nie jak teraz zwyczaj, w rozwlekłych pogawędach, gdzie się wszystko opisuje lub opowiada przeplatane częstokroć reflexyami, dość prozaicznymi a zawsze dydaktycznymi opowiadającego. Poroncze to dziecko epepei tak się ma zupełnie do swojej matki, jak nasza zapieckowa epoka do epok bohatyrskich. — Wszakże nie mogę ani chcę utrzymywać, żeby utwory Felicyana stały już na téj wysokości, która nic do życzenia nie pozostawia; przeciwnie grzeszy on często ciemnością wysłowienia się, mglistością rysów, a to szczególnie w tych kawałkach, gdzie usiłuje być filozoficznym, a jest tylko niezrozumiałym; gdzie miał wolę napisania, a nie natchnienie woli. Uważam także, że ma pociąg do kakofonicznych wierszy, jak między innymi w téj pieśni mroźnej o *gorącej miłości*, którą zaczął takim wierszem:

O kraje ludów bez miodu i mleka!

Serce krającej kry, kraje!

Jestto zapewne igraszka dowcipu; ale nawet tam, gdzie nie igra w ten sposób sili się na styl twardy i szorstki, zapewne, żeby rzuć rękawicę tym wymuskany mierszopisom, co to oklepane rzeczy wypowiadają miodopłynnymi słowy. Wyszukiwanie zaś wyrazów twardo-grzmiących i nie zwyczajnych wcale nie dodaje mocy poetycznym wyrażeniom, albowiem siła właściwa tkwi nietyle w słowie, jak w umiejętnym i trafnym użyciu onegoż, a nadewszystko w sposobie oddania myśli, silnej samej przez się.

Tyle, co do dobrych i ujemnych stron kwiatów i kolców — teraz przychodzi mi pomówić słówko o najgłówniejszej rzeczy, bo o charakterze tych poezyi w ogóle.

Wspomniałem już, że dostawszy je pierwszy raz do rąk, zastanowiłem się jakby na widok niespodziewanego zjawiska. — Nietylko w stylu ale i w obrobieniu pomysłów, a nadewszystko w zwrotach jakie poeta swoim pomysłem nadawał, nietrudno mi było odgadnąć humorystę, który do obrazów i scen

wziętych z najpoważniejszej strony, przymieszewa sarkazm lub ironię najczęściej ku sobie samemu zwróconą, a zatem nie bolesną dla nikogo, a pokazującą przytém jakby dwa oblicza każdój rzeczy na tym znikomym padole wielkości, pragnień i marzeń...

Dziwiło mnie dla czego krytyka nie podniosła zalet tych humorystycznych piosnek rozsianych tak obficie w kwiatkach i kolcach, czy ten rodzaj uważała zbyt lekki, lub niezna czący dla swoich szczytnych poglądów i stanowisk. Co więcj, przesłała nawet autorowi pobożną przestrożę, aby nie wpadł w to, czém zgrzeszył Henryk Heine. Ależ jak sądzę, przestrzeń dzieląca Felicyana od autora *Romance-ro*, tak jest szeroka, że jeszcze niema obawy. Tymczasem ta mieszanina tkliwości i ironii, lekkości i filozoficznej głębi, miękkości i siły, tworząca naturę humorysty, zawsze należec będzie do niezwykłych zjawisk w naszej poezyi, która niekiedy przestrajając się w chmurną powagę arcykapłańską, jakby dźwigała losy i przeszłość całej ludzkości, potrzebowała by; żeby jój ukazano prawdę w mniejszém zwierciadelku.

W humorystycznych poezyach Felicyana

można znaleźć tę żywą, swobodną, nieobrażającą nikogo żartobliwość, w połączeniu z tą poetyczną sympatią, co umie czuć, wszystko zrozumieć i wyrazić. Myśl ciągle czujna, kapryśna śmiała, z jednego ciągu wyobrażeń i przedmiotu rzuca się w drugi, aby jaką tajemnicę serca wyświecić, jaką sprzeczność natury odsłonić, jaką prawdę rozdętą jak balon przekłuć i do właściwej objętości sprowadzić. Dlatego też uśmiech, wesołość, polotność, towarzyszą kapryśnej i wałęsającej się wyobraźni, lecz ta niefrasobliwość, niedbająca niby o cały świat, jest li tylko pokrywką dla cichego smutku lub łez. Właśnie owa nagłość wrażeń, owe sprzeczności coraz nowe, są treścią i tajemnicą humorysty, który umie ogarniać naraz dwie strony życia, dzielić się między łązy i wesołość, i niezmordowaną fantazyą ożywiać przedmioty brane z najwyższych i najniższych sfer.

Mogę powiedzieć, że właśnie ta strona humorystyczna jest u Felicyana najoryginalniejszą, co jeszcze nie znaczy, aby już nic nie zostawiała do życzenia, owszem, w wielu strofkach spotyka się pewne wymuszenie — dowcip naciągnięty, a o trywialność czasem tak

blisko trąci, że prawie staje się płaskim. Kto ma przymioty humorysty, nie potrzebuje go-  
nić za dowcipem — sam on przychodzi. —  
Dla tego nie wszystkie piosnki są równej war-  
tości. Do szczęśliwszych bo nieznac u nich  
wysilenia, a mieszczących pomysł głębszy i  
trafnie ujęty jest: *Narcyz* :

Ile Nimf tylko, wszystkie są w rozpacz  
W łzach mokrych, brudnej żalobie ;  
Bo Narcyz żadnej kochać z nich nie raczy —  
Tylko się kocha sam w sobie.

I jak się począł miłować zajadle,  
Tak aż zdarzeniem dość rzadkiem,  
Razu jednego spostrzegł się w zwierciadle,  
Nie już człowiekiem, lecz kwiatkiem.

Chłopiec ten więcej głupcem był, niż głazem.  
Ja bo w podobnej potrzebie,  
Mógłbym się kochać w wszystkich Nimfach razem  
A zawsze kochałbym siebie.

Egoizm miłości wybornie zcharakteryzo-  
wany w tym obrazku, któremu nic dodać nic  
ująć nie można, bo znać, że go artysta kreślił.  
Uczucie téż artystyczne w wysokim stopniu



wyrobione prowadzi rękę Felicyanowi kiedy pisze swoje poezye.

Mam niepełną nadzieję, że w następnych płodach, jakie ogłosi, pójdzie jeszcze dalej — i pewnie przepisywać siebie nie będzie, ani trzymać się Heinego.

---

## IV.

### LITERATURY PÓLNOCNE.

*Eichhoff, Maciejowski i P. Pruszkowa.*

---

Literatura każdego narodu, gdy stanie na wyższym stopniu samodzielnego rozwinięcia się, gdy się we własnych poczuje siłach, zmuszoną jest szukać poza obrębem swoim, nowych że tak powiem sprzymierzeńców, wchodzić w stosunki międzynarodowe — aby tym sposobem wywalczyć sobie stanowisko światowe, powszechne, humanitarne.

Nie dzieje się to skutkiem postanowienia wziętego z góry, ale naturalnym pociągiem do łączenia sił drobniejszych z siłami ogromniejszemi, przez co wywiązuje się pewna wza-

jemność skłaniająca do uznawania zasług położonych na polu kultury powszechnej.

Czynność ta przechodzi, jak wszystko, przez pewne koleje. Z razu coś się ludzie dowiadują o słynniejszym autorze, prawią ogólniki nie wiele oświecające i to najczęściej nie z pierwszego źródła brane, potem zaczyna się zbliżanie do źródła, wychodzą wierniejsze przekłady, ale punkta wielkich styczności jednych literatur między drugimi, są jeszcze ciemne, niebadane. W ostatecznym dopiero końcu następuje blizkie poznanie się z literaturą całego narodu, wielu narodów w połączeniu z ich historycznym życiem; a tak i literatura własna, splątana z historią, która w odosobnieniu także niewiele znaczy, zyskuje sobie miejsce, z którego jej nic wyrugować nie zdoła, bo w tej powszechniej sieci wszystko się trzyma ze sobą, wzajemnie objaśnia i dopełnia, jak i o cząstkę swojej dopomina się zasługi.

Godzi się ze wszech miar twierdzić, że i literatura nasza bliższą jest, niż dalszą tej ostatniej kolei. Narody przodkujące piśmiennictwem i oświatą, zaczynają zajmować się i więcej i rzetelniej płodami naszych pisarzy, niż

dawniej, rozpatrują się w ich duchu, śledzą charakterystyczne różnice, szukają świeżości natchnień, formy uczuć, i nieraz mimowolnie podziwiać muszą te przymioty, jakie znachodzić się zwykły tylko w plemionach powołanych do odgrywania wielkiej historycznej roli. Żeby już nic innego, to ta jedna uwaga: jakim sposobem rzeczywistość tak mała, prawie żadna, zdolną jest do tak żywotnej produkcji? może więcej objaśnić, niż wszelkie wywody i upominania się z jednej, a wytykanie materialnej nicości z drugiej strony. Bo cóż bardziej miesza owe, nibyto historyczne pomniki, o narodach co żyją jak ludzie i umierają jak oni, o kończeniu się pewnych posłannictw, o nowym porządku społecznym, zgoła wszystkie te materialne widoki — kiedy siła produkcji duchowej nietylko nie zgasła z niemi razem, ale owszem pali się „jak lampa w rzymskim grobie.“ Ileżto musiało być żywotności organicznej w tém co już przeszło, co nie istnieje w świecie widomym, dotykalnym, kiedy z tych szczątków duchownych, poprylepianych do ruin, wieje taka świeżość poranku, takie ciepło południa?... Osobliwy ten fenomen usiłował ktoś tłumaczyć przez analogię

z literaturą rzymską, długo utrzymującą się na powierzchni i to nawet z pozorami kwitnienia, chociaż siła wiary chrześcijańskiej podkopała państwo w najgłębszych fundamentach. Tę analogii dostrzedz trudno — bo nie widzę ani starych pogan, ani nowego ducha chrześcijaństwa przynajmniej w tych, co by przeciw mniemanym występowali poganom. Został tylko szpetny paradox, tém dotkliwszy, że miał być bronią skuteczniejszą, niż zwykły miecz, którym się jak na Kaulbacha kartonie sieką Hunnowie z cieniami rzymskich legionów.

Z tego widzimy, ile trudnościami podlega uznanie jakiej literatury w świecie powszechnym i przez obcych, jeżeli własny autor nie waha się zwrócić przeciw niej ostrza paradoksalnego dowcipu, nie już w celu potrzebnej często przestrogi lub nagany, ale z chęcią zaprzeczenia jej warunków istnienia.

To nas też powinno pobudzać do zaznajomienia się z dziejami innych literatur świata, abyśmy poznali, na jakim punkcie stoimy, w jakim zostajemy stosunku do tych utworów, co zyskały powszechne obywatelstwo, i mocą których to warunków uzyskuje się takowe.

Wszakże w nauce literatur powszechnych nie można poprzestawać na samém li rozpatrywaniu się w arcydziełach, należących do chwil złotych kultury, bo niemniej ważnym jest poznanie nawet tych epok, co poprzedzały wszelkie piśmienne objawy naszej umysłowości; — jest to bowiem wątek tradycyjnie snujący się, którego nie można pominąć bez wsnucia weń swojej nitki.

Jeżeli więc jaka, to ogólna literatura wieków średnich, była u nas najmniej znaną, i jest nią dotychczas. Wszędzie nawet w literaturach bardzo wysoko stojących, nie spieszono się zazierać w tę mgłami zasutą przeszłość ochrzczoneą mianem barbarzyństwa i nieuctwa. Zazwyczaj wieki przejścia moralnego i politycznego to mają do siebie, że zacierają się w pamięci epok następnych, nie chcących się nawet przyznać, że miały z nimi co wspólnego, lub że dużo im winny. Lepiej to pojmujący nowocześni historycy, niezmordowani w dochodzeniu wszelkich początków, zapuścili się w badaniach nad formą społeczeństwa, jego instytucji, zwyczajów, wysledzili walki staczane o godność i niepodległość myśli człowieczej wtenczas, kiedy się zdawało, że tylko

zwierzęcość króluje i tak po kłębkach doszli w odległą starożytność, tracając o lepij znaną przeszłość Rzymu lub Grecji. Oprócz zaspokojenia potrzeb badawczego ducha inne jeszcze otworzyły się widoki. Wszyscy jak jesteśmy, narody nowożytne, wykluwamy się ze średnich wieków. Tam tkwią korzenie naszego języka, naszych praw, instytucyj, obyczajów, wiary. Zaznajomić się z niemi, jedno jest co lepij poznawać siebie, co nasze myśli, nasze dzisiejsze wyobrażenia, ujrzeć w pierwszym zawiązku i początkowym kształcie. Dlatego też na wieki średnie zwrócił się dziś kierunek badań, zajęto się niemi z gorącym zamiłowaniem, jakby chciano wynagrodzić kilkowiekowe względem nich uprzedzenie, i zapełnić tę przerwę w naturalnym toku zdarzeń i pojęć, jaką w dziejach ludzkości i kultury zrzędziła epoka reformy.

Bo czémże rzeczywiście są wieki średnie, jeżeli nie zarodem naszego czasu? Jak dziś, tak i wtedy ten sam niepokój w głowach i sercach także samo rzucanie się na wszystko co tworzy węzły społeczne, także pragnienie wiary, i także lekceważenie jęj; i dziś, jak wtedy, ogrom umiejętności wyczekuje dla sie-

bie jutra, które przeczuwa, lecz nie wie jak się objawi. Tego to rodzaju powinowactwem da się wytłumaczyć entuzjazm dla średnio-wieczności w naszym przejściowym pokole- niu, znoszącym cegielki na gmach, którego końca pewno nie ujrzy, którego nie zna ani w ogólnym zarysie, ani w harmonijnej cało- ści, z téj prostej przyczyny, że mu brakuje średniowiecznego cymentu — żywój wiary.

Gdyby i nie ten wyższy wzgląd, to zawsze wieki średnie górują własną wartością; niema jednej gałęzi w umiejętnościach i sztukach pięknych, żeby w nich nie zostawiły wspania- łych pomników. Przez długi czas obiegało to przekonanie, teraz poznajemy jak mylne, że umysł ludzki bezpłodnością zaklęty, w ugor przez 10 wieków puszczony, dopiero ocknął się nagle w szesnastym wieku, i wyskoczył z gotową mądrością. Tymczasem wiemy, co o tém trzymać. W dziedzinie umysłowej po- podobnie jak w cielesnej wszystko musi iść sta- łym, porządnym trybem—toż i pomysły mają kolej swego rozwijania się i dojrzenia. Duch ludzki pracuje często w cichości, w za- pomnieniu, nikt go nie widzi, nie otrębuje — ale przeto praca wciąż idzie. Podobnie i wieki



średnie— powierzchownie widziane, zdają się być głuchą i jałową puszcza zarosłą chwastem. W istocie zaś były bujniejsze, niż wysławiona terażniejszość, bo tworzyły, bo umiały tworzyć z natchnienia. Tak zwany wiek odrodzenia zastosował tylko do powszechnego i praktycznego użytku to, co się kryło w celach klasztorów, co śpiewał włóczący się po drogach i odpustach żongler lub dziad, co zgubiony w stowarzyszeniu cechowym rzemieślnik bez pretensyi wyrabiał.

Ponieważ dzieje oświaty naszej głęboko wrzynają się w wieki średnie, oczywista więc nasuwa się konieczność poznania tych epok i ich ducha, który, że był silny i głęboki, wybitne téż piętno i głęboki charakter, na wszystkich prawie indywidualnościach narodów wycisnął, co się najwierniej odbiło w licznych zabytkach piśmiennych, tém twardszych i dzikszych, im mniej je promień chrześcijaństwa przenikał.

W całym obszarze dziejów średniowiecznych, poczynających się od zamętu, jaki nastąpił po upadku państwa Rzymskiego, świat ówczesny dwojaką ma fizyonomię: ludy południowe i zachodnie, dzielące się resztkami

rzymskiej cywilizacji, noszą charakter więcéj łagodny i towarzyski — północne zaś niema-  
jące nic wspólnego z temi wyobrażeniami,  
przynoszą z sobą inne pojęcia religijne, inny  
język; u tamtych szczątki ogłady, tradycye,  
język nawet wzięty w spuściznie od Rzymu;  
u tych wszystko inne, połączone z nieubła-  
ganą krwi żądzą, powołaną na zgładzenie na-  
wet cienia upadłej Romy.

Obraz literatury południowych ludów skre-  
śliło dla Francuzów wyborne pióro Villemaina.  
Z otwarciem swoich odczytów wręcz on  
oświadczył, że nie rozumiejąc ani znając lu-  
dów północnych, odstępuje połowę przedmio-  
tu, aby zająć się drugą częścią, której był pa-  
nem.—Tę właśnie drugą część niezapełnioną,  
obrobił p. Eichhoff. O niej więc powiem słów  
kilka z powodu, że książka jego ukazała się  
w przekładzie pani Seweryny z Żochowskich  
Pruszkowej pod napisem: *Obraz literatury śre-  
dniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian  
i Niemców*. Gdy wszakże sam przekład tego  
dzieła nie byłby dla nas dostatecznym, przeto  
dobrą myśl powziął W. A. Maciejowski do-  
pełnić go swojemi ustępami, tyczącemi się Sło-  
wian, których p. Eichhoff zwyczajem cudzo-

ziemców, a szczególniej Francuzów, zbył w sposób nie mogący nas zaspokoić, bo z temi błędami, które o nich popisał w dawniejszém swém dziele: *Parallèle des langues de l'Europe et de l'Inde. Paris 1836*. Od tego czasu nie w téj gałęzi badań nie postąpił francuzki professor.

Główną myślą pana Eichhoffa w początkowych rozdziałach *Obrazu literatury ludów północnych*, jest wykazanie stosunków zachodzących między mitologiami i językami barbarzyńskich ludów, powołanych do odrodzenia Europy i religii, z mitologią i językiem Hinduzkim. Naprzód występują tu Gotowie, najpotężniejsze z plemion germańskich. Jeden tylko został po nich pomnik piśmienny, gdy siedzieli za Karpatami, a tym jest: przekład Biblii na gockie przez biskupa Ulfilasa. Autentyczny rękopis znany pod nazwą *Codex argenteus* znajduje się, jak wiadomo, w archiwach Upsalskich. Pomnik ten służy dziś za podstawę do badań filologicznych nad początkami języka niemieckiego.

Dobrze dawniej, Gotowie powołani przez ludy północne, uciśnione od Jotów fińskich, przeszli do Skandynawii. Kiedy przypada ten

przechód?—niewiadomo. P. Eichhoff utrzymuje, że się to stało w epoce wygnania z Indyów wyznawców Budhy przez tryumfujący brahmanizm. Dość, że Gotowie gdzieś od Kaukazu przyciągnawszy, przynieśli z sobą inne wyobrażenia religijne, które się nietylko po Skandynawii, ale i po Germanii rozlały. Zabytek skandynawskiej kosmogonii i mitologii zamknięty w Eddzie, pozwolił wysledzić cały ten stosunek, jaki zachodził między przybyłymi Gotami a dawniejszymi mieszkańcami Skandynawii i Germanii. I tak: „W Alfach czyli geniuszach napowietrznych, których Edda mieści w górnych sferach, rozpoznano Cymbrów z plemienia celtyckiego, pierwszych przybyszów na te zimne wybrzeża; w Cwergach czyli karłach, Laponczyków. Z większą jeszcze pewnością odkrywamy w Jotach czyli olbrzymach, Finnów stałych mieszkańców tych okolic; w ich zapaśnikach Wanach, Wendów, pracujących Słowian; w Manach czyli ludziach, poznajemy Normanów, Anglów i Jutonów Tacyta, Saxonów i Dancionów Ptolomeusza, którzy osiedli byli ponad brzegami Bałtyku. Nakoniec Asowie, zwani także Gotami czyli bogami, przedstawiają Osów i Go

tów, o których ci dwaj pisarze wspominają, a z których Gotowie zwłaszcza, wywarli potężny wpływ na te kraje.“

Pan Maciejowski, który historycznymi wywodami co do Słowian uzupełnił tę książkę, rzuca w ustępie o Celtach, Germanach i Słowianach, ciekawe światło na ludy germańskie, wspomniane i opisywane przez Juliusza Cezara i Tacyty. Uwaga jego zatrzymuje się szczególnie na Swewach, później znanych pod nazwą Słowian, którzy zrobiwszy ze sobą związek, zespolili się z plemionami teutońskimi i zasłynęli pod nazwą swewskiego związku. „Leży to w charakterze Niemców — powiada p. Maciejowski— że nie lubią siedzieć na miejscu, chodzą po świecie za chlebem; przeciwnie Słowianie, nie opuszczają swój ziemi, chyba w najgwałtowniejszej potrzebie. Otóż skoro raz się wdali Słowianie z północnymi rej w Germanii wiodącymi Niemcami, włączyć się z nimi musieli ustawicznie po Gallii, Hiszpanii, Portugalii i t. d. Nigdy atoli nie opuszczał swych powiatów lud cały; część tylko szła na wychodźtvo, reszta pozostawała. To też uratowało lud ten od zupełnej zguby; zatrzymał bowiem zajęta przez siebie od wie-

ków w Germanii ziemię, lecz natomiast utracił znaczną część cech rodowych. Z tych najgłówniejszą był język — przywykły do słuchania mowy Niemców przewodzących nad nim, zapomniał własnej. Następnie lud ten słabszy, pomiatany od właściwych Niemców, stał się dla nich przedmiotem urągowiska. Sław, Swaw, Swab (przez zamianę *w* na *b* według własności słowiańskiej mowy) Szwab, stawszy się pośmiewiskiem, słuchał odtąd podobnej, od Niemca o sobie opowiadanej gadki, jakiej się dosyć od Polaka nasłuchał Mazur, który upewniał o tém każdego, co mu chciał wierzyć: „że Szwabi się ślepo rodzą.“

Ten wywód p. M. ma wiele trafności, tłumacząc objaśnieniem najdawniejszych wskazówek, stosunek jednego plemienia do drugiego, nie zmienia się, mimo tyłowiekowych zmian.

Dotknąłem tych rodowodów dla pokazania, w jaki sposób książka ta osnuta. Chcąc bowiem mówić o zabytkach języka, o mitologiach lub pierwotnych płodach wyobraźni, trzeba było pokazać, z kąd się brały te różne plemiona, jakie przynosiły ze sobą pojęcia,

i jaki związek, czy plemienny, czy historyczny zachodził pomiędzy nimi.

Dla większości czytelników jest to zbyt suche, ale zawsze nauczające, bo dość łatwo pozwala rozpatrzeć się w tym zamęcie, jaki zwykle towarzyszy początkom każdego narodu. Zresztą podobne dzieło dość usposabia do czytania innych prac w tym przedmiocie, prac, mnożących się z każdym dniem, a wyświecających mnóstwo nieznanych lub wątpliwych szczegółów i całe nawet epoki. Trzeba bowiem pamiętać, że początki literatur średniowiecznych, nie są tak ściśle określone, aby do nich zawsze co nowego nie przybyło; jestto kopalnia, z której od czasu do czasu wydobywa się jaki zabytek, obalający częstokroć raz przyjęte zdanie, lub kreślący wyraziste rysy na tle mgławego domysłu.

Jeżeli zatem badania nad pochodzeniem i przesiedleniem się ludów, wywody etymologiczne i mityczne, podlegają rozmaitym jeszcze przejściom i tłumaczeniom — to z drugiej strony same zabytki piśmienne, rozpoznawane bliżej w tej książce, stanowią grunt jej właściwy, w nich bowiem mieszczą się i wyobrażenia tych ludów, i fizyonomia ich zewnętrzna,

i żywot domowy, i początki samorodnej sztuki uwięzionej w języku zdolnym tylko do oddania najzmysłowszych pojęć i uczuć.

Edda skandynawska, ten skład kosmogonii i mitologii północnej, ten zbiór bohater-  
skich pieśni, ocalona jeszcze w 11 i 13 wieku przez Soemunda i Sturlesona, pomimo że Lelwel dał o niej pierwszą u nas wiadomość, nie znalazła w Eichhoffie dokładnego i zajmującego przedstawiciela. Przeczytawszy rozdziały poświęcone Eddzie, (która mówiąc nawiasem wcale nie jest poematem, tak jak nie jest poematem Geneza Mojżeszowa) nie nabywa się wyobrażenia odpowiedniego, ani o tych pieśniach, ani o tych północnych ludziach, u których podobne śpiewy bohater-  
skie mogły być pieśniami ludowemi! Jakież bo to był ród, co wyobraźnią swoją podolać mógł tym zapasom olbrzymów! Ta surowa, granitna natura Eddy, ma coś tak imponującego, tak przywalającego ogromem, jak te Tatry, co na to wspięły się jedne na drugie, aby cię straszyc runięciem — co bez wstępu, bez przygotowania odrazu wystrzelając nad poziom, wprowadzają cię w jądro działania. Wszędzie w nich przemawia sama potęga przedmio-



tu; ozdób tu niema. Wyrazy padają jak ciężkie miecza, ciężkie jak młot spadający na kowadło. Każdy wyraz czynem. Nad potrzebę nie ma pół słówka, a niejedno musi dopełniać wyobrażenia; żadnych przytém opisów, żadnych lirycznych uniesień, ani śladu zadumy; czyn kroczy za czynem; brak nawet końca, bo się go domyślać można. — Oddając cześć tym zabytkom pod względem poetycznym, gdy je uważać będziemy jako wizerunek obyczajów swojego wieku, mimowolna ogarnia nas groza. Ani jednego napotkać tu obrazka domowego, cichego szczęścia; ani jednego rysu dziecięcej miłości ku rodzicom. Nigdzie przykładu przyjaźni zachwycającej nas w Homeric; a jeszcze częściej w starohinduzkich poematach i tak uroczu odbijająco na tle morderczych walk. Nic z tego wszystkiego, króm surowych sił pędzonych w czyny żądzą łupu, zazdrością, lub nienasyconą zemstą!...

Z przytoczonych wyjątków możnaby najlepsze powziąć wyobrażenie; lecz polski ich przekład zbyt osłabł, będąc trzeciém czy czwartém odbiciem się oryginału.

Lubo p. Eichhoff poprzestał na jednej Ed-dzie, jednakowoż szkoda, że pomiął rozbiór.

innego dzieła, wchodzącego koniecznie w obręb jego pracy. Rozumiem tu *Zwierciadło królewskie* (Konungs-Skuggsjá), ciekawy niezmiernie traktat z końca 12 stulecia, opisujący obyczaje różnych stanów społeczeństwa skandynawskiego. Są to rady ojca dawane synowi jak się ma zachować u dworu i w świecie, ażeby dojść zaszczytów i znaczenia. Osobliwy w swoim rodzaju utwór, który o cztery wieki poprzedził Castigliona i naszego Górnickiego. *Zwierciadło królewskie*, pełne wybornych zdań moralnych, mogłoby jeszcze być porównane z pieśnią Eddy: Havamal, którą bardzo trafnie kładą na równi z Hezydodowemi: Pracami i dniami. Kilka wieków dzielących te utwory, pokazałoby różnicę w cywilizacji na północy, zrzędzonej wpływem wyobrażeń chrześcijańskich.

W ustępie o Bardach gallickich i irlandzkich, szkoda że za skąpe wyjątki z Bardów gallickich i Walijskich jak: Talisien, Merlin i t. d.; są tam bowiem ogromne poetyckie skarby. O Ossyanie, podług nowszych poszukiwań, dałoby się coś więcej powiedzieć, jak o Macphersonowych amplifikacjach w sentymentalnym tonie. — Krytycy znający ducha

pierwotnych pieśni ludów, mogli śmiało wątpić, że istniał jaki Ossyan na świecie; a jednak z pieśni gallickich uzbieranych przez Ossyaniczne towarzystwo w Irlandyi, z ich pilnych wieloletnich badań, pokazało się, że Macpherson wiele sobie wprawdzie pozwolił, ale wszystkiego nie zmyślił. Pierwszy owoc pracy tego Towarzystwa pojawił się w dziele: *Transactions of the Ossianic Society*, gdzie pan O'Kearney wydał: Bitwę Gabhra, co ma być dawniejszą Temorą. Sam Ossyn nosi tu nazwę: *Oisín* Pieśni te więcéj dzikie jak melancholijne mają wielkie powinowactwo z bretońskimi i jak w tamtych tak i w tych przechodzenie dusz zdaje się być głównym fundamentem wiary. Między innemi znalazłem powieść o Tuanie Mac-Koireal, co pamiętał przedpotopowe czasy z wszelkimi szczegółami, którego dusza siedziała potem trzysta lat w jeleniu, trzysta w orle, trzysta w łososiu, aż go w téj ostatniej postaci złowił rybak i zaniósł na stół królowej irlandzkiej. Zaledwo skosztowała kawałek téj ryby, natychmiast uczuła się przy nadziei, i wydała na świat sławnego Tuana Mac-Koireal, który gdy przyszedł do rozumu umiał opowiedzieć dzieje kolonizacyi

Irlandyi, gdzie się po dwa kroć rodził.—Opowiadający zaś tę historję dodaje w najgłębszej wierze: o prawdzie jego powieści nikt ani wątpił, albowiem sam był świadkiem tych zdarzeń, które opisywał ze szczegółami.

Zwróciłem uwagę na to wyobrażenie o przechodzeniu dusz, które tak wybitnie charakteryzują powinowate z sobą utwory Bardów gallickich, erskich, wallijskich i bretońskich. Z ostatnich przełożona kiedyś przezemnie: Wieszcza Gwenehlana, zawiera wyraźny ślad metempsychozy — odróżnienie to potrzebne i wyświecające; pokazuje bowiem różnicę między plemionami keltyckimi a normańskimi; jakoż w Eddzie i w pieśniach bohatyrskich Norwegian, Duńczyków (Kämpewisser) wyobrażenie o przechodzeniu dusz napotyka się z rzadka, i nie stanowi głównej zasady religijnej.

W przytoczonym także poemacie anglosaxońskim: Beowulf, wyjętym przez p. Eichhoffa z Ozanama, poemacie zasługującym na obszerne studyum, nie znajduję téj dzikiej i szorstkiej oryginalności, cechującej ten starożytny utwór. Przekład z miękkiej prozy francuzkiej pozbawił go reszty charakteru.

Zestawmy go tylko z przekładem bliższym tekstu — jakaż różnica!

„Powstaje dzielny bohater, a przysłonion tarczą, groźnym hełmem na głowie, cały okryty zbroją, idzie do podnóża skały, ufny w własnej odwadze.“

Bliże tekstu tak brzmi:

„Zerwał się z brzegu sławny woj  
Z szczytem, pod hełmem, w zbroicy  
Ku skałom; w własną ufny moc  
Sam stoi za się; zły nie stanie tak! i t. d. \*)

Wspaniały to ustęp téj walki Beowolfa ze smokiem, nakreślony szerokiém pociągiem pióra z ożywioną dramatycznością, z precyzją nawet drobnych szczegółów, co go więcéj do homerycznych opisów zbliża, niż do twardej i suchej dykcji skandynawskiej Eddy.

Żałować należy, że tłumaczka podejmująca tę pracę, robiła przekłady swoje podług przekładów Eichhoffa, jój poetyczny talent mógłby się był zbliżyć do tekstów, gdyby się do nich był udał.

\*) Wyrażenie się: „Zły nie stanie tak!“ mieści w sobie to głębokie pojęcie moralne, że tylko czyste sumienie czyni prawdziwie mężnym. Ta piękność znikła w przekładzie francuskim, a następnie w polskim.

Przechodząc do Niemiec, znajdujemy starą pieśń o Ludwiku, lecz pozbawioną pierwotnej prostoty w tłumaczeniu, niemniej legendę przytoczoną w całości o świętym Anno arcybiskupie kolońskim; dalej idą pieśni Minnesingerów i poetyczna walka na Wartburgu, w której palmę zwycięstwa przeciw Henrykowi Ofterdingen odniósł Wolfram Eszenbach. A jednak Henrykowi Ofterdingen przypisują utwór, którym się pyszni literatura niemiecka; obadwaj Szleglowie przyznają mu Nibelungi. Poemat ten, ogłoszony dopiero przed laty kilkudziesiąt, nie jest wszakże pochodzenia niemieckiego, albowiem w starych pieśniach Eddy zamyka się ta cała historia; tradycja tylko doznała znaczniejszych odmian, przenosząc się z Skandynawii do Niemiec. Byłoby ciekawe żądanie zbadać, co jest tu własnością Niemców, a co Skandynawów, czyli poprostu porównać oba poemata. Szkoda, że p. Eichhoff nie zadał sobie tej pracy. Jeżeli mógł rozebrać osobno Gudrunę, a osobno Nibelungi, czemuż nie zestawił ich z sobą? A byłoby mu łatwo poszło, gdy jak wiadomo, Simrok w tym przedmiocie ogłosił dobrze napisaną i uczoną książkę. Natomiast daleko lepiej wypadło,

gdyby wiele rzeczy nie znajdowało się w dziele Eichhoffa, które w części, i to bardzo słusznie opuszczone zostały w tłumaczeniu.

Dla nas niepośledni interes mogą mieć w tej książce rozdziały napisane przez Maciejowskiego, lubo nie widzę rozumnej przyczyny, dlaczego w całym zakresie tej literatury średniowiecznej, mielibyśmy przodek dawać ustępom traktującym o słowiańskiej literaturze, bardzo jeszcze niebogatej, u niewytrzymującej porównania z zabytkami Skandynawów, Bretonów, Angłów, Niemców? Rękopis krółodworski, i Wyprawa Igora — toć i wszystko, co może się mierzyć z najstarszemi pomnikami innych ludów północnych. Ogół, poznanie wzajemnych stosunków, analogie bliższe lub dalsze, wywody objaśniające historię płodami umysłowemi, i płody umysłowe historią, to zawsze będzie przeważać, i przeważać powinno w obrazie literatury średniowiecznej ludów północnych. W tej myśli skreślił też i Maciejowski dzieje i piśmiennictwo Słowian w średnich wiekach dając nam, szczególnie w wywodach o początkach, siedzibach, przemianach niektórych plemion, mianowicie Swewów, postrzeżenia będące owocem wła-

snych jego badań. Strona historyczna znalazła w nim biegłego tłumacza. — Uważałbym wszakże co do zestawienia zabytków piśmiennych różnych plemion słowiańskich, powtórzenie tylko rzeczy dość znanych i zamkniętych w nader szczupłym zakresie. Krółodworiski rękopis u Czechów, Igor na Rusi, to cały grubszy materyał, tłumaczący zapewne ducha owych czasów, z tém wszystkiém nie mogący się obejść bez innych wskazówek, coby nam mogły wyjaśnić jeszcze pewne zamglone stosunki i powinowactwa duchowe do innych ludów, a przytém dały zajrzeć w ten świat wyobrażeń, jaki choć ustąpić musiał chrześcijaństwu, długo, ledwo nie do dziś został wiernym pamięci gminu. Chcę tu mówić o tych klechdach i bajkach wierniejszych tradycyi niż sama pieśń, a tém samém odnoszących się do bardzo dawnych epok. Jak wiadomo, wieleby się w nich znalazło czasów poprzedzających świt chrześcijaństwa; a chociaż jak Maciejowski słusznie mówi, podania te i klechdy mocno zostały popsute przez piszących kronikę po łacinie, jednakowoż zachowały się pewne niestarte rysy, dające rozpoznać ich pierwotny charakter. Szczególniej byłoby to na



miejscu w rozdziale: O cywilizacji Polaków i o początkach ich poezji, gdzie miasto takiej charakterystyki, natrafiamy na pieśń niemiecką opiewającą zdarzenia w Polsce pod Bolesławem Krzywoustym. — Nie przeczę, gdyby w jakim starym kodexie znalazła się choćby po niemiecku, pieśń z tych czasów, a pieśń malująca bohatera naszego, lub zdarzenie historyczne — śmiało moglibyśmy ją policzyć do zabytków ściśle związanych z pierwotną literaturą polską. Lecz przypadek ten niema tu miejsca. — Przytoczona pieśń w oryginale niemieckim o bojach Krzywoustego, jak M. powiada: „pochodząca z Pomorza,“ niema nic a nic za sobą coby przemawiało, że z jedynastego wieku pochodzi, bo ani duch jęj nieodpowiada epoce, ani zwroty myśli, a najmniej sposób pisania i język. — Jest to jakaś zapewne mistyfikacja, nawet bez wielkiego wysilenia dokonana; bo czytając tę pieśń zdaje ci się, sądząc po sentymencie, że ktoś ją napisał co się wczytał w Śpiewy historyczne Niemcewicza. Dla tego nie pomału się zdziwiłem ujrzawszy ten oryginał niemiecki obok Eddy Beowolfów, Nibelungów i t. d.

Jeżeli nie doszły do nas historycznych pie-

śni ułamki, sięgające pierwotnych czasów, trudno na to poradzić, nawet narzekaniem na łacinę, która wyprzeć miała kirylicę, a z nią i pieśni naszych gęślarzy tym charakterem spisane — i być to wszystko mogło, i wierzę że było; bo piętno jednej epoki wszystkim się ludom udziela w sposób często niedocieczony. Miały inne narody swoich Trubadurów, Minnesingerów, Bardów, i my ich mieliśmy w to wierzę, ale nie wierzę w niemiecki oryginał pieśni z Pomorza.

W rozdziale: Ruś i poezya jój najdawniejsza, spodziewaliśmy się czytać krom wyjątków z Igora, coś obszerniej o tych starożytnych poematach pozbieranych przez Kirszę Daniłowa a opiewających wyprawy bohaterów Włodzimierzowych. Przyczynek ten do obrazu ówczesnej literatury niezmiernie byłby na miejscu, tém więcej, że się nastrecało piękne pole do porównawczych uwag. Przecież w tych skazkach pomimo wszelkich wielowiecznych naleciałości, tak wyraźnie odbija się duch zaagi islandzkiej. Te Dunaje, Popowicze, Dymitry znalazłyby może powinowatych w Siegfri-dach, Günterach, Sigurdach.

Podobnież w rozdziale poświęconym Cze-

chom więcejby się dało powiedzieć o ich literaturze. Utwory Tomasza z Szczitna i Smila z Pardubie, mianowicie ostatniego: *Nowa Rada*, która zajmuje wcale niepoślednie miejsce w średniowiecznej epopei zwierzęcej, zasługiwały na bliższe omowienie, tém pilniej, że te rzeczy mało są u nas znane. W 14 i 16 wieku Czesi wybornie w swoim języku pisali, podczas kiedy u nas panowała tylko łacina.

Może nie słusznie wytaczam sprawę o to, czego brakuje w tym dziele; lecz słysząc już od dawna zapowiadany po dziennikach przekład Eichhoffa, a nadewszystko ważne dodatki p. Maciejowskiego o literaturach słowiańskich, cieszyłem na owoce jego poszukiwań, na nowe poglądy, ciekawe zestawienia jednych zabytków z drugimi; wszakże w oczekiwaniu moim krom historycznych kilku wskazówek i objaśnień, za które uczonemu mężowi podziękować należy, nie znalazłem żadnych nowych studiów — chyba ów *oryginał* pieśni przybyłej z Pomorza... Nieodbiera to jednak wartości tej pracy, która w niedostatku książek o literaturze średniowiecznej, bardzo dobrze może przygotować chcącego się rzetelniej kształcić czytelnika.

Jeslim dotąd zatrzymał się nad niektórymi punktami i wykazywał w nich niedostatki mogące być zapełnionymi z łatwością, to z drugiej strony nieprzychodziło mi zetrzeć się często z mylnem zdaniem, lub fałszywem wyobrażeniem szczególnie w ocenianiu płodów piśmiennych, z czego Eichhoff dość szczęśliwie wychodził. Nie mogę jednakże pominąć uwagi wyrzeczonej w rozdziale XXXVIII, mówiącym o pieśni ludowej Słowian w stosunku do niemieckiej, która brzmi: „Tak zwane ludowe zachodniej Europy piosnki, są ludowemi o tyle tylko, o ile od rymopisów lub wieszczów przeszły do ludu, o ile się jak mówimy, spopularyzowały, brzmiały w jego ustach, będąc przy odgłosie lutni, lub też luźno powtarzane.“ — Powyżej zaś, podniosłszy najwyżej pieśń gminną słowiańską, powiada, że te wewnętrzne jej przymioty postawiwszy ją w sprzeczności z poezją reszty Europy, sprawiły, że nigdzie prócz u nas nie mogło być ludowych pieśni.“

Takie zaprzeczenie przymiotów tworzenia pieśni gminnej ludom zachodnim a przypisanie ich wyłącznie tylko Słowianom, pokazuje,

że szanowny historyk dotyka rzeczy, której dość może nie badał.

Weźmy tylko jedną Francję z rozlicznemi jej prowincjonalizmami, a przekonać się łatwo, że tam pieśń krąży dwojakięj natury: jedna w języku cywilizowanym, robiona przez takich rymopisów lub wieszczów, która spopularyzowawszy się, obiega z ust do ust — druga w narzeczu prowincjonalnym (patois) stworzona przez pierwszego lepszego parobka przy winobranii lub na kiermaszu — słowo w słowo jak u Słowian. Dlatego nie pomału zdziwiło mię to zaprzeczenie, kiedy mi znane są bardzo dobrze piosnki w narzeczu Limuzyńskim, Gaskońskim, Pikardzkim, Burgundzkim, Baskijskim. — Przymioty ich w pewnym względzie są te same, co naszych piosnek; są i rzewne, i rubaszne i tłuste, i hulaćki i szydebne i obrzędowe a nawet w baladycznym tonie. — Te ostatnie mogą być spuścizną po Truwerach, podobnie jak w Bretanii przesłiczne pieśni opiewające jakąś dłuższą przygodę rycerską niezawodnie dostały się do gminu za pośrednictwem ich bardów i kloarków... jak to sami często przypominąć lubią; chociaż ci włączący się śpiewacy, ni-

czem się prawie nie różnili od gminu, podobni w tém do naszych ukraińskich lirników, lub serbskich gęślarzy. Z tego względu ośmieliłbym się utrzymywać, że nasze stare pieśni te, o których p. Maciejowski powiada, że mogły być kirylicą pisane i dla tego zginęły — jeżeli tylko składane były przez gęślarzy uprzywilejowanych, niezawodnie przechowały się w uściech gminu i kto wie czy nie dałyby się wydzielić od innych zwykłych płodów muzy sielskiej — ton ich powieściowy, epiczny tak zwany balladyczny — stanowi tu wyraźną cechę.

Czułem się w obowiązku wystąpić przeciw twierdzeniu, które uważałem za mylne, chociaż niby pochlebające plemiennój dumie — ale mniejsza o ten zaszczyt spływający z piosneczki gminnej, byle na żywotniejszych i droższych nieszwankować pamiątkach.

---

## V.

### WĘDROWKI ZAGRANICZNE I SZKICE Z WĘDRÓWKI PO UKRAINIE — TADEUSZA PADALICY.

---

Do najwykwintniejszych przyjemności życia, a przytém najwięcej urozmaiconych i najmniej rozczarowujących, są podług mnie podróże. Świat otwarty, wolność nieograniczona, bo jako gość nie doznajesz tego co miejscowych dotyka lub boli — urok i niebezpieczeństwo najprzeciwniejszych sobie klimatów, bogactwo widoków natury rozwijających się bez końca przed oczyma podróżnika — arcydzieła wszelkich sztuk rozsiane w każdym kraju — pamiątki i ruiny zwiedzane na zie-

miach klasycznych — historia, umiejętność, poezja towarzysząca ci w każdym kroku — oto są rozkosze wzniosłe i trudne zarazem; bo ileżto potrzeba mieć odwagi, ile znajomości rzeczy wszechstronnej, ile wyobraźni, ile świętego ognia, aby te widziane dziwy ogarnąć, zrozumieć i podać w taki sposób, iżby ten co nie miał szczęścia patrzeć na nie, mógł je wyobrazić sobie, zrozumieć i powiedzieć w duchu: nie byłem tam, a jakbym był tak znam!

Takie podróże i tacy podróżnicy zawsze należeć będą do rzadkich wyjątków, chociaż jeźli kiedy to za naszych dni ułatwione środki podróżowania pędzą najróżnorodniejszą ludność na sieć kolei żelaznej pokrywającą ląd stały, na parowce przerzynające we wszystkich kierunkach morze Śródziemne, które dziś zmalało do wielkości jeziora. Tysiące niezatrudnionych głów, prostodusznych hreczkosiejów, spanoszonych giełdownców, dam nudzących się na partykularzu, gdzie ich toaletowych wdzięków nikt podziwiać nieumie, zgoła wszystko co ma za co i niema za co, przebiega Włochy, Sycylię, Grecyę, płynie w górę Nilu, pielgrzymuje do Jerozolimy, drapie się na Liban, zagląda do Stambułu pytać za-



pewne o zdrowie wysokiej porty. I cóż z téj z téj wycieczki przynoszą? Oto chorobę morską i prawo nudzenia nas rozpowiadaniem o tém, o czém wszyscy wiedzą:

Zboże tanie, deszcz pada, w Grecyi rozboje..

Ja i ty mój czytelniku, co pilnujemy domowego ogniska, zostawmy tym szczęśliwym śmiertelnikom ich niepotrzebne trudy i kłopoty, oklepane wzruszenia i podziwy, widoczki kupowane na miejscu, a robione gdzie o tysiąc mil, stosy starożytnych rupieci sfabrykowanych w wilią ich przyjazdu, niebezpieczeństwa hotelowe, rozbicia się na kropli wody, oszustwo Greków, spokojną otrętwiałość Turków, i ten kanibalizm czy na południu, czy na wschodzie, który już nie zjada podróżnych, a tylko na ich kieszeń poluje..... Siedząc na domowych śmieciach zyskujemy na tém najwięcej, bo nie popisując się przed cudzoziemcami z zapasem naszych próżności i śmieszności, nie narażając się na trud i koszt pożywamy najspokojniej każdy owoc jaki nam z wycieczek dalekich przyniosą; — co jeżeli się nie zawsze zdarza, aby miał smak i świeżość, to przecież nie można powiedzieć, aby na tysiąc turystów, jeden się nie znalazł któ-

ryby pojechał nie nadarmo, jeżeli przywiózł ze sobą tak bogate żniwo postrzeżeń i żywych obrazów, iż gdy się zamkniesz w pokoju i wyobraźnię swoją powierzysz temu przewodnikowi, to widzisz, myślisz i czujesz z nim razem i jesteś jakby w śnie przeniesiony pod skwary Afryki, lub w przedpotowe lasy nowego świata.

Wielu tём się tłumaczy: poco opisywać, poco badać -- kiedy tyłu przed nami opisało i zbadało te lub owe strony? — Zapewne przysłowie mówi: Nic nowego pod słońcem — lecz w świecie umiętności i pojęć wszystko bywa nowe, lub odnawiające się. Po tyłu n. p. pobożnych i uczonych pielgrzymkach wzbijających od trzech wieków tumany kurzu na świętej drodze palestyńskiej, po Radziwile Sierotce, Drohojewskim, Hołowińskim, Chwalibogu, zostało jeszcze dużo miejsca na interesujące nowością kwarty. Co wiecznie piękne, to i wiecznie świeże, byle patrzeć z innego coraz punktu.

Taka podróż na wschód M. Mana — lubo potoczyła się po gościńcu ubitym stopami Chateaubriana i Lamartyna, tych najniebezpieczniejszych towarzyszy, co rozsieli tyle bry-

lantów poezji i wymowy na piaskach pustyni, zawiera jednakowoż mnóstwo rysów pominiomych przez jego poprzedników, i wiele postrzeżeń zrobionych z innego punktu widzenia.

Tak bardzo już nadużyto owych wrażeń podróży, tak przekarmiono publiczność zachodami słońca, burzami, zachwykami w obec ruin, a nadewszystko zmyślonemi przygodami, że jaki taki z trwogą bierze podróż do ręki, myśląc sobie: co mi po jego wrażeniach i przygodach, kiedy o pierwsze nie dbam, a w drugie nie wierzę! I słusznie, dziś bowiem rutyna nie popłaca; światły czytelnik chce ścisłości i prawdy nawet w romansie, a cóż dopiero w podróży, która powinna stę liczyć do rzędu pism łączących przyjemność z rzeczywistym pożytkiem, zawierać rysy dokładnej ścisłości, naukę gruntowną, i fakta nie zmyślone. — Dlatego podróż Mana na wschód obfitując w fakta i postrzeżenia, nie jest igraszką wyobraźni; autor nie wynajduje, lecz widzi; nie marzy, lecz sądzi; nie pragnie olśnić, ale oświecić i nauczyć. Opisy jego brane z natury, na którą patrzył gołym okiem, skromne są, bo prawdziwe, nie przesądzone kolorytem i bez fałszywych efektów, a w opowieści za-

wsze czerpane z historyi, kiedy mówi o przeszłości — z życia rzeczywistego, kiedy teraźniejszość maluje. — W ciągu całej téż drogi, którą przebiegł od Nilu do Stambułu, mnóstwo potrąca przedmiotów odnoszących się do miejscowości, do ludzi, do historyi, do sztuki, do administracyi, obyczajów, a nawet do polityki. Obfitość ich taka, że zaspokajają umysł i serce czytającego daleko więcej, niżby zaspokoić mogły namiętne deklamacye, igraszki stylu kwiecistego i zaraźliwe marzenia umysłu upojonego samym sobą, a głuchego na wrażenie prawdy. — Lubię i to w jego podróży, że się wyrzekł swojej osobistości, aby uwydatnić każdy przedmiot; chowa się, by sobą nie zasłaniać widoku na rzecz; nie mówi o sobie, a za to każe mówić faktom.— Zgoła sumienna ta i na obszerniejszą skalę zrobiona podróż grzeszy może tém tylko, że autor więcej po podróży, jak przed nią oddawał się studjom nad zwiedzanemi przez siebie krajami, co sprawia, że nie będąc dostatecznie przygotowanym na tę drogę, która nań niespodziewanie przypadła, nie miał tych zasobów pamięci, niezmiernie pomagających wyobraźni

do ożywienia miejsc, dźwignienia ruin, zaludnienia pustyni.

Bądź jak bądź, dziwi mię dla czego książka mająca tyle dobrych zalet, została milczeniem pokrytą w pismach czasowych, które lubią tak szeroko rozprawiać nieraz o najfałszywszych relacjach podróży, będących raczej prostą igraszką z łatwowierności czytelników, niż sumienném opowiedzeniem tego co się widzi, doświadcza, odkrywa i obserwuje przy zwiedzaniu cudzych krajów. — Czyżby publiczność miała tak być usposobioną, że jej więcej do smaku przypadają niestworzone baniałuki haftowane na tle geografii elementarnej, niż pracowite studium nad duchem i fizyonomią społeczeństwa, nad zabytkami i wspomnieniami z historyi, nad obyczajami, instytucjami, gospodarstwem i urządzeniami wewnętrznymi jakiego kraju? — Przyznam się, że niebardzo wierzę, aby taki smak miał być powszechnym, bo zbyt niekorzystną dawałby miarę o stanie intelligencji, prędzej przypuściłbym niedostatek dobrej krytyki, która nie wyrobiła sobie żadnej skali i wszystko jednym łokciem mierzy, czy ulotną powiastkę lub

wierszyk, czy owoc trudu, doświadczenia i nauki.

Bynajmniej nie miałem zamiaru mówić o tej książce Mana w tej myśli, abym ją chciał we wszystkich częściach rozbierać; ale wszcząwszy rzecz o podróżujących i podróżach, uważałem za właściwe dotknąć tego faktu, któryby mógł być wcale niepokojącym symptomem, gdyby wszystkie fenomena i symptomata umysłowe w społeczeństwie, znachodziły pełny swój organ i wierne tłumaczenie w gazetach i dziennikach. Że tak nie jest — więcej niż pewna; a najbardziej u tych nie jest, co sobie przypisują wyłączne posłannictwo wyrażania potrzeb, chęci, nadziei, a nawet dążeń czytającego i nieczytającego społeczeństwa. — Zaiste byłoby to rzeczą wcale nie pokrzepiającą dla ducha, żebyśmy mieli więcej kochać się w fatalaszkach rozbrykanej imaginacyi, niż w rzeczach prowadzących do ścisłego zbadania prawdy, a do tego nie w płodach fantazyi, jak powieść, lub romans, ale w przedmiotach wymagających ścisłości nieledwo matematycznej, skrupulatnych studyów i obszerniej znajomości różnorodnych przed-

miotów, czego wszystkiego wymaga podróż, jeżeli na to nazwisko zasłużyć pragnie.

Co się dotąd rzekło, miało jedynie na względzie podróż w najobszerniejszém znaczeniu wziętą — podróż kosmopolityczną, przez którą wchodzimy do składu literatury powszechniej, tracając o przedmioty opisywane i obrabiane przez koryfeów literatury francuzkiej, angielskiej, niemieckiej i t. p. Taka zagraniczna podróż nie jest bez interesu dla obcych, a bez znaczenia dla nas, bo pokazuje w jaki sposób zapatrujemy się na różne instytucye, społeczności, obyczaje i sprawy publiczne; nam zaś pochlebia ten rozszerzony zakres obserwacyi przynoszący w zysku miarę porównania, a nadewszystko praktyczną mądrość doświadczenia.

Wszakże, gdybyśmy pędzeni ciekawością poznania i badania samych tylko obcych i dalekich krajów, nie myśleli o poznaniu téj ziemi, na której żyjemy, z przyczyny, że to nie tak zaszczytnie brzmi powiedzieć: wracam z Polesia, lub Pokucia, które zwiedziłem, — jak kiedy się powie: wracam z pod bieguna lub z Australii — gdybyśmy w ten sposób paliłi ofiarę naszej próżności, i chorobie włócze-

nia się światami, byłoby naganną sprawą, jak naganną jest dzisiejsza podróżomania, która rok rocznie na kilka miesięcy wypróżnia kraj z połowy ludności klas zamożniejszych. Lecz na szczęście można od niejakiego czasu uważać, że zajęcie się rodzinną ziemią mające na celu dokładne poznanie miejscowości będących z historią w związku, badania nad fizyonomią, zwyczajami, i wyobrażeniami ludu, poszukiwania zabytków pod względem archeologii, postrzeżenia geologiczne, zoologiczne, roślinne, niemniej nad stanem rolnictwa i przemysłu, stósownie do tego jak gdzie co przeważa, — że zajęcie się temi przedmiotami wchodzącymi w monografie, czy miast, czy pewnych okolic, czy prowincyi, — stało się rzetelną potrzebą. Najmniejszy taki opis z wycieczki w jaką bądź okolicę więcej nierównie interesuje, jeżeli nie jest suchym i trywialnym, niż najświetniejsze opisy obcych dziwów, lub najniepodobniejszych do prawdy przygód. — W téj tedy gałęzi piśmiennictwa postąpiliśmy niesłychanie, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę niezmiernie ubogie i skąpe monografie z czasów dawniejszych, które można powiedzieć nie umiały się wyłamać z ram jeografii



i to jeografii nie tak rozwiniętej jak dzisiaj.— Nasi starzy nierozumieli pejzażu.

Najpierwsza Tańska w listach swoich opisujących podróż do Krakowa dała szerszy zakres tej gałęzi piśmiennictwa, ograniczonej dotąd na humorystycznych postrzeżeniach przeplatanych dowcipnemi wierszykami, jak to widzieliśmy u Krasickiego i Karpińskiego. Poniżej Kraszewski który wyborne rzucił szkice okolic Polesia i Litwy może za doskonały wzór służyć. Przędziecki opisał Podole i Wołyń. Raczyński Wielkopolskę. Goszczyński i Zeiszner Tatrzańskie okolice. Syrokomla część Litwy a szczególnie Nieśwież; dodajmy do tego wyborne monografia Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, Rzeszowa, Tarnowa, Jarosławia; dodajmy mnóstwo artykułów rozsianych po pismach czasowych, a opisujących małowniczo wdzięczniejsze okolice, zamki, kościoły, tak pod względem dziejowym, jak archeologicznym i etnograficznym, a będziemy mieli wyobrażenie materyałów, codzien mnożących się do uzupełnienia obrazu całej krainy, już na tle jakie sucho jeszcze, rzucił był w Opisie starożytnej Polski Baliński i Tymoteusz Lipiński, w sposób więcej ożywiony i

malowniczy, bo obejmujący i dawne i nowe życie rozsianego na niej narodu. O takiej podróży wolno nam marzyć, że kiedyś biegle pióro przysłuży się ogółowi, ale dopiero wtenczas, jeżeli wszystkie strony kraju zostaną dokładnie zwiedzone przez ludzi znających rzecz, umiejących robić studia i rozmiłowanych w ubożuchnych zabytkach i pięknościach natury, często tak oryginalnych...

Co do tego punktu można powiedzieć, iż mamy wiele zakątków takich, które w powszechności, a nawet dla ludzi czytanych, mogą być oznaczone mianem: *terra incognita*. Zazwyczaj są to okolice słynne nawet w dziejach, lecz na pograniczach, lub daleko od dzisiejszych dróg cywilizacyjnych położone, czyli nie przytykające do bitych gościńców, wiodących ku stolicom, ani do kolei żelaznej, wiodącej w świat, a zatém zapomniane, jak ułamek co się z rachunku wyrzuca... Tymczasem właśnie bywają to miejsca najbardziej interesujące, bo jeszcze świeże bo zachowały odrębny charakter tak w swoich mieszkańcach, jak na licu krainy, gdzie jeszcze natura fantazyje sobie w najlepsze... Mógłbym wiele takich okolic naliczyć, które drzemia w zapomnieniu, dlatego, że pió-

ro pisarza z wyższym talentem nie dało im życia, czyli nie wykryło téj poezyi jaka tkwi w ludzie, w pamiątkach, w uroczej naturze. Pieśń lub powieść popularyzuje opiewane stroiny i napawa ku nim tęsknotą, jak do każdej krainy obleczonój w mglisto-różową szatę poetyczności; zajmuje to i wystarcza na jakiś czas, ale nie na długo; bo człowiek, dziecko ciekawe, tłucze najmisterniejszą zabawkę, aby zobaczyć czemu ten kanarek śpiewa, i co to za płyn przelewa się w téj szklanój kuli niemającej żadnego otworu? — To samo i z poezyą miejsc; zrazu zachwycają cię te brylantowe opisy — potem zbiera chęć przekonać się naocznie o prawdzie — zastajesz rzeczywistość prawie zawsze prozaiczną i niższą, lubo duch unosi się nad nią jeden i ten sam jaki wyśpieliwali poeci...

Ukraina tylekroć opiewana, zacząwszy od apostrofy Trębeckiego, aż do poematów Alexandra Grozy, mająca prawie osobną swoją szkołę, nazwaną przez Michała Grabowskiego *ukraińską* — żyła długo w wyobraźni naszej uprzyzmowana wszystkiemi czarodziejstwami nargarnionemi na nią ze świata fantazyi jój ludu, rozmiłowanego w tęsknych dumkach i rozko-

sznych powieściach naniesionych gdzieś od Gangesu, i branemi z téj natury stepowej nadzwyczaj bujnej i dziko-swobodnej, która uroczy tworzyła kontrast z prowincjami wystawionemi na bezpośredniejsze parcie cywilizacji... Wszyscy kochali Ukrainę i tęsknili do niej, oczarowani dumkami, szumkami; lecz w powszechności mało kto miał wyobrażenie o téj stronie pod względem dokładnych opisów miejscowości, stanu rolnictwa, przemysłu, towarzyskiego pożycia, obyczaju, a nawet pamiątek historycznych dosyć gęstych. Szczególniej część Ukrainy leżąca nad Dnieprem, cały ten kąt od Zaboczyna do Kremenczuga, należy do najmniej znanych, choć może najciekawszych. Te to właśnie strony znalazłem opisane w książce: *Opowiadania i Krajobrazy, szkice z wędrówek po Ukrainie przez Tadeusza Padalicę* \*). Autor, jak sam powiada, urodzony w tych stronach, będących sercem Ukrainy, od dawna zajmował się zbieraniem podań i pieśni ludu i studjami historycznemi, odnoszącemi się do miejsc pamiętnych po największej części bojami staczanemi z Koza-

\*) Tomów dwa. Wilno, nakładem Zawadzkiego, 1856.

ctwem i Tatarami, niemniej krwawym dramatem koliszczyzny. Z takim przygotowaniem i zaopatrzeniem się w zasoby badań, przy gorącej miłości dla stron rodzinnych i ludu, z 'uczuciem' poetycznym dla uroczych krajobrazów naddnieprskich, i dla natury jeszcze tak świeżej i tak ogromnych rozmiarów, mógł on snadno wywiązać się z zadania, i skreślić obrazki i sceny, tchnące życiem i tą prawdą, która pociągając i przywiązując czytelnika, już tém samym daje mu pewność, że autor nie igra z jego dobrą wiarą.

Z sumienną tą pracą przybywa nam jeden ciekawy rys do dziejów naszej ziemi; zaznajomiamy się bliżej z tym ludem, który poduszczony i prowadzony przez śmiałych swych pół-hetmanów, pół-hersztów, zadał był ciężkie rany rzeczypospolitej, jakby za karę, że nie miała dość siły i energii zasłaniać mieszkańców tych ziem odległych, przeciw nadużyciom i krzywdom możnych panów, a raczej ich podwładnych, którzy administrowali dobrami bez żadnej kontroli, najczęściej z całą dzikością drapieżnego słuźalca, wyniesionego z łaski pańskiej nad równych sobie.

Historyczne pola wielu bitew stoczonych

w tych okolicach, częstokroć mylnie podawane przez naszych kronikarzy, znajdujemy w tym opisie skreślone z taką dokładnością, że czytelnik czuje się przeniesionym na miejsce akcji; do czego autor posługiwał się ciekawą kroniką Wieliczki, podającą wiele nowych szczegółów, jak niemniej zwiedzenie miejsc sceny samój, jeszcze silniej uobecniło nam te wojenne rapsody, w których jako działające postacie występują Potoccy, Czarniecki, to znów Chmielnicki i zgraja przewódców rzezi Humańskiej.

Od szerokiego obrazu bitwy, wążącój na ostrzułosy téj prowincyi, do domowych scen po drewnianych zameczkach gubernatorów, i po futorach, gdzie się przechowywał jaki watażka, wszystko tu się przewija w ożywioném opowiadaniu, pełném miejscowego kolorytu, aż do języka pochwyconego z całą znajomością gminu.

Wszystko tu nowe, urocze, poetyczne i ciekawe — czy posłuchamy co nam z przeszłości opowiada, czy damy ucho uwagom nad obecnym stanem téj części Ukrainy — która, cóż piewcy dumek i szumek na to powiedzą! przeobraziła się w ruchliwy cukierniany warsztat

z smukłymi kominami i szumem machin parowych, powstających w miejscu dawnych zamczków i ostrogów, okurzonych nieraz dymem samopałów i szmigownic, a najczęściej powiewających sztandarem ogniowej pożogi...

Osobliwa rzecz! przeszłość historyczna Ukrainy nie zostawiła prawie ~~znaku~~ po sobie: Zameczki budowane z drzewa i z ziemi, spopielone pożarem, wiatr rozwiął. — został tylko gdzieniegdzie okop lub wał... i podanie zapisane w ustach gminu lub kronikach. — Mnóstwo zaś kurhanów rozsypanych jak gwiazdy na niebie po całym obszarze tych ziem — Bóg wie do kogo należą, jakich to ludów pomniki, bo to pewna, że rzadka mogiła kryje kości poległych w boju...

Tém większa zasługa autora tych wędrówek po Ukrainie, gdy na téj białej karcie narysował, ubarwił, ożywił tę rycerską przeszłość, a nadewszystko gdy umiał się wtajemniczyć w dziwy tych romantycznych łąk, borów i sioł, monasterów porzrzucanych w jarach nad brzegami Dniepru, Rosi, Taśminy, i nie odłączając ludu od pejzażu, malować go takim, jakim jest, choć może studyował go

tylko w chwilach jego poetycznej zadumy, lub rozpaśanej hulanki z nożem i głownią....

Szczegółowego rozbioru téj podróży dawać niepodobna, bo w takim razie trzebaby zatrzymać się nad każdym opisem, każdą sceną lub powiastką; lub rozumowaniem czy historycznym czy ekonomicznym — a zatem wypadaloby powtórzyć w skróceniu całą książkę; coby znowu dało pretext niejednemu do porzestania na mojej treści; gdy zaś najszczerzej pragnę, aby z talentem napisaną książkę jak najwięcej osób czytało, przeto zatrzymam się tylko na niektórych miejscach, co mię najwięcej zajęły, lub wywołują spór na polu wyobrażeń i faktów.

Trafne jest postrzeżenie autora, gdy mówi, iż lud nasz nie umie szanować pamiątek historycznych, nawet takich, co się odnoszą do bohaterów najściślej z nim związanych, czyli najpopularniejszych. Ta myśl przyszła mu na widok Subotowa, téj sławnej siedziby Bohdana Chmielnickiego, o której znaczeniu historycznym żaden chłop nie wie, choć pamięć Chmielniczeńka uwiecznia w pieśni. — Dalej powiada, że na Zachodzie ocalonoby każdą cegiełkę, wystawionoby mu pomnik i t. d.



Niech mi wolno będzie zapytać, czy autor rozumie, że lud na Zachodzie bywa troskliwszy o pamiątki narodowe, niż Ukraiński? — Bardzo wątpię; — trzeba tylko zapytać historyi, aby się przekonać, że w każdym ruchu rewolucyjnym, nie przepuszczał żadnym pamiątkom choć ciosanym z granitu, choć przypominającym mu najlepszych jego dobroczyńców. Prosty lud wszędzie jednakowy; będąc bowiem bierną stroną w dziele cywilizacji, a zatem nie wyrabiając jój z siebie, o tyle tylko przyjmuje cywilizacyjne wyobrażenia, o ile mu takowe w większej lub mniejszej massie dane są z góry. — Nie wątpić, że i do dziś stałby w Subotowie, czy dom Chmielnickiego, czy jaki posąg poświęcony jego pamięci, gdyby to był bohater narodu — lecz Rzeczpospolita nie miała interesu stawiać posągu — buntownikowi, kiedy go stawiała swemu obrońcy w Tykocinie, gdzie podziśdzień stoi.

Autor troskliwy o przechowanie nam pamiątki po Bohdanie, daje opis Sobotowskiego dworca, podług jakiegoś pisarza małopruskiego, który opisując dom sotnika Czornysza w Woroneżu, powiada, że był zbudowany na wzór domu Chmielnickiego. Ciekawy to opis: „Sześć

czerechowych drzew wyrastało przed oknami hetmańskiego pomieszkania. Opodal stała jabłoń rozłożysta, przy których na trzech dużych lwach spierało się koryto wyciosane z kamienia. W paszczekach tych lwów umocowane były trzy kółka srebrne, do których uwiązywane konie starszyny wojskowej, przybywającej do hetmana, gdy ten szukał wytchnienia w Subotowie. W ścianach domu widniały niskie staroświeckie okna z okrągłymi szklami, w dębowe ujęte ramy, zieloną pomalowane farbą. Nad oknami były ulepione z gipsu konie i armaty, ulubione wizerunki Chmielnickiego. Ściany wzmocnione były ogromnemi szkarpami, których szczątki dotąd postrzegać się dają, a na północnej stronie domu wybiegała do góry zębata wieżyczka z podługowatymi otworami do koła, jak w strzelnicy. Ganek domu wspierał się na dwunastu słupach, i zajmował prawie część trzecią frontowej ściany. Był on wyłożony z kamienia płytami rzeźbionemi w nieokreślone kwiaty i postacie. Dach tego ganku nie był wyprowadzony w trójkąt jak terażniejszych ganków, lecz miał fronton w półkole, ozdobione sztukaterią. Na polu frontowém

owego ganku, ulepiony w płaskorzeźbie był niedźwiedz wybierający miód z ula, a z tyłu jego pasiecznik z zamierzoną siekierą.

„Do koła owego wizerunku stał napis: „Co będzie to będzie; a będzie tak, jak Bóg da.“ Sentencya ta była godłem Chmielnickiego, niektórzy zaś pisarze małoruscy utrzymują, iż wyobrażenie niedźwiedzia z pasiecznikiem miało być alluzją do zajścia Czaplińskiego z Chmielnickim i odebrania ostatniemu futoru z pasieką i młynem na uroczysku Subotowo.“

Padalica Subotów tak kresli: „Wyraz okolicy tęskny, dziki i zaprawdę oryginalny. Nie przypisujemy bezwzględnie Chmielnickiemu, ażeby w tych hajdamackich jarach wykołysał dumną myśl rokoszu, ale patrząc na te garby, do których przylepiły się szeregiem wieśniacze chaty, na tę tęskną smugę piasku, ścielącą się za rzeką i zakończającą widokrąg; z tyłu zaś na te głębokie paszcze jarów, co niegdyś patrzyły przerażającą ciemnością lasów, przyznać trzeba, iż podobny widok jeźli nie natchnął krwawych zamiarów, to powzięte mógł rozżarzyć i żywić. Nie jest to futor, jakich na Ukrainie tysiące, ani ma z niemi podobieństwo. Ani pól potoczystych, ani kwie-

cistych tu niema gajów. Rybacka to raczej lub myśliwska sadyba, a nie spokojnego rolnika.“ A jednak ten futorek wartujący niewiele, był pierwszą przyczyną owego wielkiego pożaru, który zapalił Ukrainę i palił ją wiek cały.

Autor słusznie twierdzi, że ani Polacy, ani Rosyanie, ani Małorusini nie mają epoki Chmielnickiego napisanej bezstronnie. Radzi więc zbierać materyały przygotowawcze; i bardzo słusznie, bo nigdy rozumowania i poglądy nie mogą być trafne, jeżeli się nie oprą na pewnych dokumentach.

Nowe są niektóre szczegóły zebrane przez Padalicę, a jeden mianowicie podany rys w kronice Wieliczki nazwałbym sceną z Szekspirowskiego dramatu, tak ma coś patetycznego. Jestto akt zemsty Bohdana nad Czaplńskim. — Po zwycięztwie żółtowodzkim, wysłał Chmielnicki do Czechryna oddział kozaków, rozkazawszy im pojmać i przywieść Czaplńskiego. Wpadnięto na zamek o zmroku i wyciągnięto go z łóżka, obito nahajami, a potem odzawszy w prosty kożuch i kazawszy na wieki pożegnać się z żoną, porwano na konia i stawiono przed strasznym mścicie-

lem. Natenczas Chmielnicki w obec więźniów polskich oświadczył, iż z Czaplińskiego przyczyny zaczął wojnę, i za obóz go zaprowadzwszy, ściąć kazał, a jak dodaje Wielczko: „daby wrah mira i pokoju, nie leżał z tymi szlachetnymi trupami, kotoryje z jeho przyczyny, tam, na Żowtojwodże, swoi biedstwenno położyli hołowy.“ Rzecz pewna, iż takie uczucie w początkach tych krwawych wojen odzywać się mogło w Chmielnickim, który sam szlachcic, wychowany na dworach pańskich, żałował, że tak marnie gubi Rzeczpospolitę przez nienawiść dla możnowładców ukraińskich. W ówczesnych pamiętnikach nieraz napotyka się to jego zdanie, że się czuje być narzędziem do ukarania niesforniej i butnej szlachty, odmawiającej posłuszeństwa własnemu królowi... Winienem wszakże sprostować jedną myłkę w opowiadaniu Padalicy, który ją powtórzył za kroniką Wieliczki, a ta jest, jakoby zamku w Brodach miał być fundatorem któryś Potocki. Następnie, że tenże Potocki oglądając roboty forteczne uważane za niezdobyte, spytał koniuszego swego Chmielnickiego, co myśli o tych wałach i murach? na co zapytany odpowiedział: Co ręka ludzka

zbuduje, taż ręka i zburzyć może! — Odpowiedź ta, jak wiadomo, oburzywszy dumę Potockiego zawiesiła nad głową Bohdana niebezpieczny piorun gniewu; on też nie czekając aż spadnie umknął na Ukrainę. W podaniu tém, błędem jest pierwsze: bo nie Potocki lecz Stanisław Koniecpolski wystawił zamek Brodzki — po drugie, ta odpowiedź powtórzona we współczesnych relacjach miała być daną Alex. Koniecpolskiemu przez Bohdana przy fortyfikowaniu Kudaku po wycięciu załogi Mariona, a zatem była to jakaś stereotypowa odpowiedź, wzięta zapewne z jakiego obcego historyka dla okrasy stylu.

W ciągu rysów z historii wojen kozackich, które autor podaje lub z nowych źródeł wyjaśnia, widzimy wszędy chęć dotarcia prawdy, i postawienia faktu w właściwém świetle — z tego też powodu często stacza utarczki z kronikarzami małoruskimi, którzy jako stojący na bardzo poziomém stanowisku nienawisci i ciemnego fanatyzmu, pletą niestworzone duby o okrucieństwie takiego np. człowieka, jak Żółkiewski. Gdzież się już mieścić będzie rycerska wspaniałość i łagodność, pochodząca z religijnego i światowego wykształcenia, jeżeli

ją odmówimy cecorskiemu męczennikowi, który sływał i z męstwa i pobożności, i cnót obywatelskich i niepośledniej nauki? — Do téj szermierki miał szerokie pole autor, lecz widział, że wiele rzeczy musiał pominąć milczeniem; dla wyświecenia historycznej prawdy, niezawsze wolno swoją świeczkę zapalić. — Na bardzo wiele ustępów i opisów Padalicy, mógłbym zwracać uwagę czytelników, bo gdzie jest obfitość, tam wybór nietrudny i wszystko nęci. Mam sobie jednak za obowiązek, polecić powiastkę osnutą na tle hajdamaczyzny ukraińskiej, a wplecioną w jego podróż—pod napisem: *Zosia Żytkiewiczówna*. Jest to jeden z najudatniejszych obrazków, pełen porywającego interesu i téj świeżości, która zawsze towarzyszy studjom z natury, jeśli im przyświeca lampa poezyi. Co ją wszakże w oczach moich najbardziej podnosi, to wyborna charakterystyka osób — tego Żytkiewicza, cichego a pełnego odwagi szlachcica — tego Mamaja, co pod szatą szlachecką zdradza gburę, a nie mniej i tego Pawła, co tak się zhultał, że i na Sicz za wiele.... A jakże znowu uroczo na tych szorstkich ogorzałych postaciach odbija się miniaturowym pędzlem namalowana półaniel-

ska twarzą Zosi!... Wszystko tu tak plastyczne, tak dokładnie narysowane, że tylko układać i robić sceny do obrazków... a to nie mała zaleta, kiedy większa część figur wchodzących w nasze powieści tak słabo stoi na nogach, że gdzieś to na kupie spoczywa, jak lalki w teatrze marjonetek, lub szeregi kart, które dziecko podmuchem obala... Druga powiastka: *Nestor Pisanka*, ponieważ podobna w treści do poprzedniej bo opowiada romans hajdamacki z panią, a zatem czerpniętą z jednego źródła, mniej już interesuje...

Kończąc jednak to sprawozdanie, miałbym chęć napomknąć cokolwiek o potrzebie unikania przesady w unoszeniu się nad życiem i naturą gminu z uszczerbkiem klasy cywilizowanej, którą raz tylko pokazał nam autor na jarmarku w Medwedówce, a to obok obrazka wziętego z *Osnowiańki*, który porywa swoim humorem, przedstawiając rozhulanego Szponia, co z rozkoszy wskakuje w beczkę smoły — otóż obok tego arcydzieła fantazyi ukraińskiej, postawił Padalica rozmowę kilku szlachty. Wiemy przecież, że rozmaity może być przedmiot rozmowy, i zajmujący, i nudny, i rozumny, i głupi. . . téj treści rozmowy by-



wają nawet w Paryżu... ale nie godzi się włożyć stek głupstw oklepanych w usta szlachty tamtejszej, dlatego aby uroczej odbijały poetyczne legendy ludu. Że to rys chybiony, dowód łatwy— bo nikt nie wierzy, aby szlachta ukraińska nie mogła i nie umiała lepiej mówić, jak tym karczemnym językiem.

Również znalazłem nie dość trafnie i w duchu kościoła wyrażoną myśl Padalicy co do zakładania klasztorów. Ujmuje on się niby za klasztorami przeciw owym, co na Zachodzie usiłują dowieść ich niepotrzebność. A dowód swój popiera tém, że „człowiek skołatany, bez nadziei i szczęścia na tym padole płaczu, nie miałby ustronia, gdięby się mógł schronić, i odświeżyć w rozmyślaniach samotnych ścieżkę duchowego żywota i zbliżyć się do Stwórcy.“ — Zdaje mi się, że to tylko połowa rzeczy i to mniejsza, bo większą połową a właściwie celem klasztorów było poświęcenie się ludzi niekoniecznie złamanych i starłych przez świat i nieszczęścia, ale świeżych czuciem i umysłem, na służbę i chwalenie Boga.— Rzecz pewna, że ta myśl oddania żywota Bogu na chwałę, jak to i dziś jeszcze trafia się, gdy nieraz młode osoby najszczęśliwsze w ży-

ciu, zamykają się w klasztorze—niełatwo mieć się w nowożytnych rozumach, czemu dziwić się nie można, kiedy i sam Napoleon, który wszystko na świecie rozumiał—był zupełnie ciemnym w téj kwestyi, jak przekonywa rozmowa jego z przeorem Karmelitów w Głębokiem na Litwie:

— Czy bogaty wasz konwent? — zapytał Cesarz.

— Mamy do tysiąca dymów — odparł przeor.

— *C'est trop* — a czémże się zatrudniacie?

— Boga chwalimy.

— *C'est peu....*

Odpowiedź na pierwsze mogła być sprawiedliwą—na drugie tylko dowcipną...—Jakkolwiek niezupełnie zgadzam się w niektórych rzeczach z autorem podróży, mimo tego z niecierpliwością wyglądam dalszych tomów, przynoszących ze sobą tchnienie stepowe i woń ukraińskich sadów....

---

## VI.

### CHARAKTER POEZJI UKRAIŃSKIEJ I POEMATA

*Alexandra Grozy.*

---

Przejście z jednego ciągu wyobrażeń i form, do nowych form i wyobrażeń, odbywa się zazwyczaj niepostrzeżenie, przynajmniej dla współczesnych; następcom dopiero zostawione jest, kiedy się już uwydatniły rysy przeobrażenia, ogarniać całość, i pokazywać cały ten proces duchowy.

Jak w świecie społeczeńskim, tak i w literaturze, która zawsze bywa jego wyrazem, przechodzą takie epoki, w których myśl ludzka wyzuwa się z dawnych szat swoich, porzuca koła pewnych wyobrażeń, a nowe przyjmuje.

Początek ten bywa zazwyczaj bardzo niezna-  
czny, zwłaszcza jeżeli niebiosa nie zesłało oso-  
bliwego geniusza, żeby odrazu to zrobił i tam  
stał, do czego tylko powolna dojść może  
czynność.

W przemianach i przeobrażeniach przez  
jakie u nas przechodziła ostatnimi czasy poe-  
zya, ten śmiały harcownik myśli i uczuć ludz-  
kich, — możnaby cofnąć się jeszcze w wiek  
Stanisława Augusta, i tam znaleźć już ślady  
tego przełomu z wyobrażeń ogólnych, snutych  
z ducha całości Rzeczypospolitej, do cząstko-  
wych, oddających ściślej i wieczniej te pojęcia  
i uczucia, jakie się bardziej godziły z indywi-  
dualnościami i miejscowościami.

Karpińskiego tkliwa prostota zbliżając go  
do natury sielskiej, której umiał pochwyć  
rysy i tony, zbliżała go tém samém do czło-  
wieka, uważanego nie jako cząstkę ludzkości  
lub państwa, ale do człowieka z własnościami  
jego plemiennymi, obyczajowymi, miejsco-  
wymi.

Bogusławski w Krakowiakach i Góralach,  
słabiej produkcyjnie pod względem sztuki, pier-  
wszy raz otwiera oczy na fizjonomię człowie-  
ka, na typ jego prowincjonalny; lecz nie bę-

dąc jeszcze panem dostatecznych studyów, ratuje się kontrastami wydobytemi zestawienia obok siebie dwóch odrębnych prowincjonalizmów.

Ten pierwszy krok objawiony w formie dramatycznej, nie miał wprawdzie tego natychmiastowego wpływu, jakiego spodziewać się należało, ale zawsze zasługuje na miejsce w dzisiejszym ciągu rozwijania się naszej poezyi.

To jednak pewna, iż rodzaj sielankowy był jednym z tych, co nas najbardziej zbliżał do studyów z natury; kiedy bowiem coraz bardziej wietrzały motywa złożone w Teokrycie, Wirgilim, Gesnerze i t. d. tém ucho skłonniejszym się czuło do łowienia rodzinnych dźwięków.

Reklewski w swoich pieniach wiejskich, lubo chodzi jeszcze w pętach wszystkich reminiscencyi klassycznych, jednakowoż w kilku sielankach i piosenkach natrafia na złotą żyłę rodzinnej poezyi. Ta jego sielanka: Krakowiaki, jakże różna od współczesnych mu wierszy!

Przyjechały z obcej wsi parobeczki hoże,  
 Wprowadzili koniki na nasze podworze;  
 Jeden z nich przed okienkiem w podkóweczki krzesze,  
 Kiedy Kasia w komorze czarny warkocz czesze,  
 Proszą ojca i matki, by córce kazali  
 Wyjść z komory. Ojcowie córkę zawołali i t. d.

Tu już się spotykają rysy, na które poeta  
 mógł patrzeć własném okiem; był przeto ma-  
 laczem tego co widział i czuł; nie zaś powta-  
 rzaczem tego, co inni widzieli i czuli. Bro-  
 dzińskiego Wiesław jest niejako dalszym cią-  
 giem téj Reklewskiego piosenki, bogatszy tylko  
 ruchem, barwami, całością opiewanego świata.

Po téj skazanej drodze, źrenice piewców  
 naszych coraz zapuszczały się głębiej w czę-  
 stkowe życie niektórych prowincyj, osobliwie  
 tych, gdzie fantazyja ludu była bujniejszą lub  
 poetyczniejszą, gdzie obyczaj nosił cechy nie-  
 starte jeszcze monotonnością cywilizacyi, sło-  
 wem, gdzie znaleźć było można niezużyte mo-  
 tywa, a zatem pewną oryginalność treści i for-  
 my. Rzecz prosta, kto się urodził, lub długo  
 przebywał w jakiej stronie, tém lepiej ją mógł  
 znać i wystudyować, a nadewszystko kochać  
 ją tą miłością, jaką dziecię po matce, uezuwa  
 dla swojej karmicielki i piastunki. Ile sobie

przypominam, uniesienia miłosne dla tych piastunek bywały nieraz tak gorące a tak wyłączone, że aż je poczytywano za coś grzesznego; poczciwy Witwicki, gniewał się na to, i miał po części słuszną, rozrywały się bowiem na chwilę wyobrażenia, które potrzebowały moralnej spójni.

Tym sposobem głosy poetyczne z różnych stron kraju podnoszone, odznaczały się odrębnymi cechami miejscowego kolorytu i nastroju. Jedne brzmiały trzeźwo i rubasznie, drugie tęskliwie i sentymentalnie, inne fantastycznie — dziko; gdzie zaś najwięcej przeważał pierwiastek poetyczny, tam też i najwięcej śpiewano na różne tony, tak dalece, iż niektórzy krytycy pomyśleli o chrzcie dla pieśniarzy tej lub owej prowincyi, dając im miano szkoły. Pokazało się jednak, że nazwa szkoły przeniesiona z malarstwa do poezyi, wcale niewypadłaby na korzyść ostatniej; szkoła wymaga pewnej tradycyi przechowywaney po jakim wielkim mistrzu, który ją stworzył, wymaga pewnego typu przestrzeganego świącie, a w użyciu kolorów miewa nawet swoje tajemnice. Nasunąć więc to wyobrażenie do poezyi, jest to podsuwać znowu konwencyonaliym szkoły,

w który piszący tak łatwo grzęzną, a z taką trudnością wyłamują się potem z niego. Zresztą nie można tego nazwać szkołą, co czerpie z życia i wierzy, co nowe zdobywa motywami i rysy i barwy — najwięcej jeśliby nazwa ta godziła się tym, co sobie czerpią z wyczerpanych już kopalni.

Ukraina słynna bujnością roślinności stepowej jak odrębnym charakterem, fizyonomią i poetyczną fantazyą swego ludu, który w dziejach miał kilka kart krwawych i głośnych, wydała cały szereg piewców, którzy podzielili pomiędzy siebie wszystkie jej skarby. Bohdan wziął tęskny świat uczuć i rozgrał go w dumkach i szumkach — Malczewski rycerstwo polskie na jej tle ukazał. Goszczyński wywołał dzikie postacie kozacze, w chwilach straszego przebudzenia się do mordów i pożogi. Autor zaś starosty Kaniewskiego, Alexander Groza, o którym zamierzam pomówić, przyswoił sobie świat tak zwaną wiary w duchy żywiołowe, który będąc odłamkiem starożytnych mitologii, daje ogromne pole fantazyi poetycznej do dziergania na tem tle cudownych obrazów, tę mających wyższość od wszelkich kreacyi czysto imaginacyjnych, że



są na wierze, czyli jak dziś mówimy, na zabobonie gminu oparte.

Słowem piewcy z innych ziem naszych nie mają tak wybitnej i odrębnej cechy, jak ukraińscy — a mieć ojczyznę poetyczną, jest już połową wygraną dla poety. W chwilach obecnych, kiedy się tak zacierają wszelkie różnice obyczaju, ubioru, języka, kiedy przesąd ucieka z swoją fantastycznością przed zdobyciami przemysłu i trzeźwą filozofią dzienników, kiedy niebawem szyna żelaznej kolei przekreśli jednym pociągiem każdą osobliwość i szorstkość miejscowego kolorytu, aby wszyscy i wszystko było podobne do siebie i do niczego, można się dziwić lub przyganiać tym, co pokochali jaki zakątek ziemi świeży jeszcze, pełen pierwotnych charakterów i rysów oryginalnych, i opiewając jego dziwy w ludziach i naturze, przechowali to w pieśni, co prędzej lub później zniknąć ma bezpowrotnie.

Oprócz tego ta zwana tak, *powiatowszczyzna*, przyczyniła wiele świeżości naszej literaturze, rozprzestrzeniła poznanie własności miejscowych, słowem uwiła z kwiatów różnej woni i barwy jeden wspaniały wieniec, nieli-

cząc, ile się język nasz wzbogacił temi prowincjonalnymi sposobami mówienia i wyrazami, bez których nie podobna było oddać charakteru człowieka, ani okolicy, zwłaszcza jeżeli okolica i jej człowiek miały charakter odrębny od owój polityry cywilizacyjnej ścierającej wszelkie rysy, jak na zdawkowej monocie.

Ta droga, którą poszli nasi piewcy zamykający się w drobniejsze światy różnych zakątków, była konieczną z samej natury rzeczy. — Na szerokiej scenie ogarniającej ogół nie było co robić, chyba ronić treny Jeremia-szowe — lecz za to można było wzbijać się skowronkiem z pól swojej zagrody, aby chórem zgodnego śpiewu łączyć się ponad chmurami... To właśnie nadało tyle różności poetycznym głosom, tyle nowych motywów dostarczało poezyi, że odtąd można powiedzieć, stempel prawdziwej oryginalności wycisnął się na utworach muzy. Bez wyjątku piewcy ci byli zazwyczaj powiatowymi w formie, treścią zaś należeli do ogółu — dla tego mogli przemówić do wszystkich serc z głębi tych stepowisk, skał lub ciemnych lasów, gdzie się tuliła ich gęśla, i zkąd rozsyłali w najdalsze strony

dźwięki swoje przejęte zadumezywą swobodą kozacych stepów i jarów; tajemniczością przedpotopowych puszczy co wychowały równie tajemniczych a głębokich potomków palemońskich; lub tęp powietrzem górskiem co nie upaja, ale trzeźwi do dziarskości. — Trzeba i to zauważać, iż rozumiejąc zadanie literatury narodu, nie rzucili się w śmieszny wyjątkowość pisania swych tworców, w jakim narzeczu powiatowém; i bardzo słusznie; wtenczas bowiem nierozumianoby ich i nie czytano, tylko w ich powiecie. Co ma ożyć i mieć rozgłos musi koniecznie pozbyć się zaściankowej wyłączności; a właśnie języki narodów są temi kanałami co prowadzą do ogólnego morza ludzkości.

Zatrzymałem się nad tęp przydłużej, widząc potrzebę wyjaśnienia tego zwrotu poezyi, który nietylko był naturalnym, ale i koniecznym.

Ukraina, ta najbujniejsza ziemia, przechowała w sobie tyle motywów do poezyi, w dumkach, podaniach, klechdach, legendach, w historyi samój, że dosyć umieć je zebrać i jako tako ułożyć, aby zyskać już jakiś tytuł do nazwiska poety. W kopalniach Kalifornii lub

Australii, każdy może być bogaczem, jeśli ma szczęście znaleźć bryłę złota; ależ ta bryła w ręku jakiego Celliniego stanie się przedmiotem podziwu kunsztmistrza, lub koronną ozdobą. — Obfitość poetycznych kopalń na Ukrainie tłómaczy nam przyczynę, dla której tylu je wyzyskiwało, że aż kompanii wyzyskującej chciano nadać nazwisko szkoły.

Alexander Groza twórca poematu: *Starosta Kaniowski* policzyć się jeszcze może do tych pierwszych zdobywców ukraińskiego świata, gdzie chorągiew swęj sławy zatknęli najpierw: Bohdan, Malczewski i Goszczyński.

Poemat ten ogłoszony przed kilkunastą laty, z różnemi odmianami i poprawami, wyszedł podobno w trzecim wydaniu w zbiorze jego utworów poetycznych pod ogólnym tytułem: *Powieści ludu i Dumy* \*).

Mikołaj Potocki Starosta Kaniowski nadzwyczaj popularna u nas figura, główną rolę w poemacie A. Grozy. Z jego dziwactw, okrucieństw, szaleństw, gwałtów, a nawet pokuty, żyjących dotąd w podaniach i pieśniach

\*) Tom I. Warszawa w Drukarni Gazety Codziennęj.

ruskiego ludu, miała się złożyć poetyczna całość.

Wybór tego przedmiotu tak epicznego w pewnym względzie, jak mało który przedmiot, dowodził w poęcie bardzo szczęśliwego instynktu. Bo jakże mało mamy podobnych szlacheckich, a zatem półhistorycznych postaci, coby nieprzystały żyć w pamięci gminu, coby dotąd odbierały cześć jaka się tylko wielkim bohaterom, lub dobroczyńcom ludzkości należy. Starosta Kaniowski do dziś ją odbiera w podziemnych sklepach poczajowskiego klasztoru, gdzie ciało jego spoczywa gęstemi obsypywane pocałunkami ludu cisnącego się processjonaliter do oddania hołdu butom fundatora. Ten osobliwy rys z psychologii gminu ogromnym jest argumentem dającym wymowne świadectwo na korzyść stanu rządzącego w dawniej Rzeczypospolitej, jeżeli taki okrótnik, gwałtownik, tyran swoich poddanych, banita nakoniec z pod wszelkiej praw opieki wyjęty, jakim był starosta Kaniowski, doznaje podobnej czci po śmierci, a taką pamięć zostawia w pieśniach i powieściach gminnych, tedy czegoż to dowodzi?— Oto, że odwieczny stosunek panującego stanu do ludu

musiał być nadzwyczaj lekki, niedotykający, z wyobrażeniami i obyczajem patryarchalnym zgodny — kiedy próznobyś dziś szukał w pamięci, i pieśniach gminu, jakichkolwiek podań żywo przypominających nietylko historyczne postacie, ale nawet zdarzenia co głęboko krajem wstrząsały; jeżeli zaś są jakie wzmianki, to tak słabe i tak zamącone, że z nich nie wiele objaśnić się można; przeciwnie pamięć Kaniowskiego żywą jest i pod różnemi przechowana formami. Fenomen ten psychyczny odsłania tę smutną stronę, że kiedy nazwiska cnotliwych dobroczyńców zacierają się u gminu, pamięć okrótника staje się popularną, jak niepożyty monument. Słusznie też powiedział jakiś mędrzec, że najcnotliwsze narody mają najnudniejszą historję, czyli pozbawioną romansowo-traicznych scen; co wcale nie mówi na korzyść n. p. takiej Rzpltej weneckiej, o której Byron wyrzekł: że się historia jęj czyta jakby najciekawszy romans.

Ależ wracam do Starosty Kaniowskiego w poemacie A. Grozy. — Utwor ten dość trudnym jest do streszczenia. Jak rzeka dzieląca się na kilka ramion, wprawia w niepewność żeglarza, gdzie jest jęj główne koryto, tak i

w tym poemacie tyle jest epizodów, słabo połączonych ze sobą, że czytelnik pragnący sobie zdać sprawę z całości, musi dopiero robić w swój myśli porządek, aby na główny epizod natrafił.

Starosta chował na swoim dworze dwa brytany jak mówi poeta: Arona żyda i Ukraińca Szulaka; tego ostatniego tak maluje:

... chłop nad inne chłopcy  
 W baranięj czapce kjedy wchodził na krużganek,  
 Zdało się, że prześcignie pałacowe stropy:  
 Czupryna podgolona, niby czarny wianek  
 Z kruczych piór upleciony, po głowie pływała:  
 Twarz na stepowym wietrze, słońcu ogorzała;  
 Brew łukiem napisana, a rzęs dwa półcienie  
 Przygasły, ognistych dwojga ócz wejrzenie;  
 Serce dzikie, a wierne na pańskie rozkazy  
 Pójdzie w piekło, a jeżeli zwycięsko nie wróci,  
 Nie odstąpi chorągwi i szabli nie rzuci..

Taki przymiot swego brytana umiał starosta ocenić, bo go hojnie obdarzył szczęścią futorami i trzosem złota, co obudziło zazdrość w drugim brytanie, Aronie, który poprzysiągł zgubić Szulaka, aby sam tylko mógł zbierać owoce hojności pańskiej. — Jakoż podmawia Starostę, który był w złym humorze na polo-

waniu, aby babie idącej przez las kazał wyleść na drzewo i kukać, powiadając, że to czarownica. — Baba wylazła, zakukała, a starosta palnął z rusznicy i zabił... Była to ciotka Szulaka...

Innym razem przychodzi chłopskie wesele do dworu, opisane z całą świetnością wesel ukraińskich — panna młoda precudnej urody, Hanna, zwraca na siebie pożądliwe wejścia starosty, który knując jakiś zamiar podsuniony mu przez Arona, zaprasza zwykłym obyczajem weselnych gości do zamku, każe lać miód wino, a sam siwobrodego ojca Hanny, strzegącego dziewczęcia jak żrenicy, stara się zagadać na boku i upoić... Starzec wpadłszy na dawne wspomnienia, dopiero postrzegł się, że Starosty przy nim nie było — ale i Hanna znikła także z koła tanecznic... Biedny ojciec uczuł cios — i oszalał...

Tymczasem Hanna przy pomocy Szulaka umkła szponów Starosty... ale gdzież tu się skryć przed takim mocarzem:

Kaniowski był bogaty—wszyscy mu się gieli;  
 Kaniowski był okrutny—wszyscy przed nim drzeli.  
 Szlachcic choć z swoim veto, z drogi ustępował,  
 A cóż chłopiek, co w równi z bydłem się rachował?



I któżby przyjął Hannę do swojego dachu  
I chował ją bezpiecznie i sam żył bez strachu?

Zresztą:

Kiedy ptak ptaka, zwierza zwierz niezdradzi,  
Człek lepszy od nich: wroga na człeka sprowadzi,  
Za kawał chleba, gorzej, za blaszkę, co świeci  
Przeda krew swego brata, przeda własnych dzieci!..

Gdzież tu się schronić chyba między dzie-  
kie, puste skały nad brzegiem Tykieru...

Opis jój pobytu wśród tych skał, gdzie znalazła chatkę bielutką i towarzystwo fantastycznej istoty Rusalki Mokryny co wygląda ni-  
by utwór rozbujanej wyobraźni naszej samotnicy — gdzie wreszcie Szulak ją nawiedza u-  
kradkiem rozkochuje się i bierze za żonę —  
zgoła opis miejsc i zjawisk nadprzyrodzonych,  
jest najoryginalniejszą częścią tego poematu.  
Są tu rzeczy pierwszy raz wprowadzone i pod-  
słuchane w naturze uchem naszego gminu,  
który umie i widzieć i słyszeć innym okiem  
i uchem jak nasze. Nieledwo najszczęśliw-  
szym jestto miejsce, gdzie Hanna siedząca  
w zadumaniu nad brzegiem, patrzyła w głę-  
bię rzeki,

a rzeka gorzała

Żywym ogniem miesiąca, a nad skałą skała

W półświele i półcieniu maożyła postacie

To piekielnych mieszkańców, to niebieskich braci.

Wtém zaczęły się fale burzyć, piętrzyć,  
aż oku jój odkryło się tajemnicze dno pod-  
wodne.

A na dnie tém, jak okiem rzucisz, same dziwy :

Srebrne liście rozwieszał jakiś las sędziwy,

Dziwny las, dziwne liście ; podobne mu wzory

Zima w oknach maluje ; tęcza swe kolory,

Róża ogień po jego konarach rozlała ;

I las kwitł, błyszczał, świecił. Nad lasem pałała

Jak łuna od pożaru głowa jakiejś wieży,

Jak druga Ławra, cała w złocistej odzieży,

A pod nią ściany z lodu, a nie z żywej wody,

Szumia, grają, lecz w sobie ściosane jak lody.

W tych ścianach wszelka ryba swobodnie przepływa,

Wiją się wodne węże, koral odpoczywa,

Drzemią muszle, a wszystko w tym pięknym nieładzie,

Jaki ręka uczona naumyślnie kładzie.

Sto gładkich kolumn, ruczej sto fontan przejrzystych,

Biło w wiecznym porządku do stropów złocistych ;

A w tych wszystkich kolumnach, jako pod szkłem kwiecie,

Stały dziewice w całym gdzieś szukane świecie,

Cudowne swoim licem, postacią i okiem,

Ale wszystkie dziewice gasiła urokiem

Jedna, snadź ich królowa; na poklask jój dłoni  
 Każda fontanna swoją dziewicę wyroni;  
 Fontanny swą koleją biją w złote stropy,  
 A dziewice lekkimi przelatują stopy  
 Czarowne ściany zamku i gałęzie lasu:  
 Już płasają po wałach wodnego tarasu,  
 Już na skale, już Hannę otoczyły wkoło,  
 Wzięły ją jak niemowle, i nucąc wesoło,  
 I płasając poniosły do swojej królowej,  
 Kędy on pyszny Zamek wodno kryształowy.

Otóż widzimy Hannę w kole Rusalek w o-  
 toczeniu dziwami świata czarodziejskiego. —  
 Staruszka Mokryna zmienia się w przesliczną  
 krasawicę i mówi do niój:

Zostań się z nami siostró! będziem cię kochali  
 Jak swą siostrę rodzoną, jak kochamy siebie.  
 Zostań z nami siostró! Nie będzie ci w niebie  
 Tak dobrze i tak miło, jak tu między nami...

Takim zaklęciom możeby i nie oparła się  
 Hanna, ale te czarodziejki chcą, żeby zrzuciła  
 święcone blaszki, ten krzyżyk z błogosławień-  
 stwem od matki — lecz Hanna przyciska je do  
 piersi i widziadła znikają. — Drugi raz do-  
 świadcza podobnych omamień nie nad wodą  
 ale w zbożu na łanie.

Wśród stepu, jak las jaki różne zboża rosły:  
 Złoty jęczmień, pszenica, srebrne kłosy żyta,  
 Hreczka z dziewic rumieńcem, płowa prosa kita:  
 Z tych zbóż dziwny zamek podniósł się do góry:  
 Za dach go swemi ptastwo przysłoniło pióry,  
 I dach był jak kobierzec w różne wzory tkany,  
 Słomiane szczerém złotem świeciły się ściany:  
 I dach i ściany zda się, że w powietrzu wiszą,  
 Lada wiatru powiewy precz je rozkołyszą,  
 A jednak stoją; trzeba, to słońca promienie  
 Leją się doń ryczałtem; trzeba, to znów cienie,  
 Co najgłębsze padają; trzeba, wiatr przelata,  
 Trzeba, to tylko w ściany daremnie kołata.

W czarodziejskim tym pałacu rój motylów  
 przemienia się w najpiękniejsze dziewice —  
 także Rusalki — bo w wyobraźni ukraińskiego  
 ludu widzieć je można płasające i po wód  
 powierzchni, i po kłosach łąnow.

Ustępy gdzie Hannę widzimy w zbliżeniu  
 z tym światem mytycznym, a co więcej w wal-  
 ce z ponętnemi pokusami — są najszacowniej-  
 szą częścią tego utworu, który zawsze będzie  
 należał do czystych klejnotów naszej poezyi.

W dalszym ciągu treści, którą zamierzy-  
 łem skreślić, jest kilka jeszcze wybornych ry-  
 sów, mianowicie, kiedy ten stary ojciec Hanny,  
 co to oszalał po stracie córki tak nawet, że

jój nie może poznać, kiedy mu ją tajemnie pokazuje Szulak; otóż kiedy ten stary ojciec ciągle w przekonaniu, iż jego córka zostaje w zamku starosty, zawołuje cieślów, sypie im hojnie pieniędzmi i każe budować cerkiew, a przy cerkwi tak wysoką dzwonnice, żeby mógł zajrzeć do komnat pańskich, bo tam pewnie obaczy swoje dziecię... I obaczył ją—bo sam niechcący zdradził się przed Aronem, opowiadając jak Szulak woził go do Hanny, ale to—mówił—nie była Hanna, tylko czarownica, bo Hanna na zamku starosty... Wyszpiegowano więc jój kryjówkę — Hannę przyprowadzono na zamek, a gdy ją Aron podmawia i uspokaja, aby się nie przeciwiała staroście, wpada Szulak i przebija go nożem. — Za tę zbrodnię wtrącono go do więzienia; wtém Hanna uciekła ze swego zamknięcia—Szulaka ścięto, Hannę złapano i starosta usłyszawszy od niej, że go nigdy kochać nie będzie, przestrelił ją z łuku... Nabroiwszy tyle, skończył dni swoje na pokucie w poczajowskim klasztorze.

Z opowiadania tego widzi czytelnik ile tu zawikłania wcale niepotrzebnego. Mógł był poeta uprościć ośnowę, a tém samém zachować piękną całość; tym sposobem i pojedyn-

cze charaktery odmalowałyby się wyraziściej, a figury stanęłyby na nogach; w składzie jaki nadał swój powieści jeszcze bardziej mąci się tok opowiadania przez namnożenie epizodycznych anegdot o Kaniowskim, jak o tym za-jeździe Żywotowa, o zabiciu Łużyńskiego i o tym kwestarzu Bernardynie. — Sąto kawałki bardzo ładne, ale tak męczące uwagę czytelnika, że to właśnie mi tłumaczy, dlaczego poemat ten nie zyskał téj wziętości na jaką zasługiwał. — Lekceważenie kompozycji, nieujęcie całości w misterny ład, prowadzi zawsze do tego, że często w tym nieporządku, najpiękniejsze perły gasną... Romantyzm źle zrozumiany narobił téj szkody rujnując zasadę architektoniki w głównych pomysłach.

Starosta Kaniowski jest najlepszym bez wątpienia utworem w rzędzie prac poetycznych Alexandra Grozy; inne, będące w świeżo wydanyim zbiorze osnute są na podaniach i klechdach gminu; rozwlekłość w opowiadaniu, widoczna sztuka, a ztąd brak prostoty, która stanowi najgłówniejszą wartość płodów gminnych, nie robi je tak ponętnemi, aby je każdy znał i powtarzał. — Tutaj przychodzi mi jeszcze i ta uwaga doświadczeniem nabyta, iż

utwory na tle podań gminu osnute, jeżeli tylko są dla siebie, a raczej, jeżeli ściśle zamykają się w granicach świata, z którego wzięte, budzą bardzo słaby interes w czytelnikach, czyli po prostu nudzą — przeciwnie złane z życiem historycznym, rzeczywistym, lub wplatanie w dzisiejszą rzeczywistość, nabierają daleko więcej poetycznego uroku. Dla tej przyczyny poeta wielkie motywa gminne powinien uważać za surowy materiał, a nie za jakiś wzór nietykalny, któremu by się poddał i w nim zamknął. — Był czas, że u nas pieśń gmina, klechda, podanie — detronizowały cywilizacyjne arcydzieła literatur świata — była w tym przesada, dla tego prędko skończyła się, a w zysku zostało nam bliższe poznanie tego żywiołu gminnego, w którym natchnienie i sztuka ojczysta skąpały się jak w odmładzającym zdroju wrózek.

Alexander Groza w najnowszym swoim poemacie *Trzy Palmy* \*) pożegnał swój świat gminno-ukrainny, a uniósł się skrzydłami poetycznego natchnienia na pokrewne stepom pustynie Arabii, gdzie nie będąc panem miej-

\*) *Trzy palmy* (powieść ze wschodu) Alexandra Grozy. Wilno, nakładem Zawadzkiego 1857.

scowości, czyli jak nazywają: kolorytu z pierwszej ręki, co u pewnych estetyków najważniejszym bywa warunkiem każdej kompozycji — mógł zawsze zostać panem kreacyi, jaką mu się podobało na tém tle wschodu osadzić. Postawił się on na tym samym punkcie co i Lord Byron, który twory swój poetycznej fantazyi bardzo mało spowinówacone ze wschodem, rzucał na spoetyzowane skały wysp archipelagu, lub góry Albanii. — Nie potrzeba powiadać jaki byłby rezultat, gdyby opisy jego i excentryczne postacie chciano kontrolować z rzeczywistością, czyli z kolorytem miejscowym co do ducha mieszkańców i obyczaju ich życia. Podobnież i *Trzy palmy*, utwór fantazyi europejskiej nie miał pretensyi rywalizować z pomysłem i kolorytem, którego z rdzennych poetów Hamary lub Modlakatu, tylko po prostu myśl rodzinną, chrześcijańską rzucił jak wygnankę między niewiernych i wyśpiewał męczeńskie jój dzieje.

Krótką treść pozna nas z osnową poematu.

Zdobywczy Turek opanował Damaszek i Jerozolimę i poosadzał srogich satrapów na tych stolicach. Wszystko ugięło czoła — jedne tylko orły pustyni, Arabowie, opierali się



zwycięzcom pod wodzem swoim Izmaeleni. — Aleć mostalem Jerozolimski, najtwardszy z ciemiężców, obkoczył go fortelem i napoły umarłego wziął jeńcem. Nie mogąc nasycić zemsty swój na konającym, każe przywołać swego lekarza starca Eben-Tyma i rozkazuje mu, aby sztuką jaką włada, przywołał go do życia. Stambulski bowiem padysza potrzebuje głowy jeńca, inaczéj córkę jego, o której wie, że piękna jak huryska, weźmie do harem, a głowę starca na haku osadzi. Eben-Tym przysięgł tyranowi na imie Chrystusa.

Że człeka — swojej pieczy zwierzonego  
Będzie pilnował jak oka własnego.

Siwobrody i wielkiéj doznający powagi Eben-Tym, postać to tajemnicza. Przed wielą laty o pielgrzymim kosturze przywlókł się do Jerozolimy.

Eben-Tym ojców porzuciwszy ziemię,  
Przyniósł tu z sobą ciężkie smutków brzemię,  
Lecz gdy się przeszedł po tych świętych górach,  
Smutek na lekkich pierzchnął sobie piórach,  
A myślóm taka wróciła pogoda,  
Jak to królewskiéj strugi jasna woda.  
Kiedy ci serce srogi cios zakrwawi,  
A wróg wszystkiego, wszystkiego pozbawi,

Człowiecze! spiesz się w tę cudowne strony,  
 Gdzie każdy kamień świętą krwią skropiony,  
 Gdzie zbrodni ludzkich dosięgnęła miara,  
 Gdzie się najświętsza spełniła ofiara.  
 Duma twych zasług strasznie się poniża,  
 Obok zasługi Zbawcy, króla-krzyża;  
 Czém utrapienia, ciernie twojej głowy,  
 Obok Chrystusa korony cierniowej?!  
 Serce, co chciało ogarnąć świat cały,  
 Przebija żołdak, głupi, a zuchwały;  
 Czémże twe serce, obok tego serca?  
 Przy tym mordercy, czémże twój morderca?

Jestto najwznioślejsze miejsce poematu; poeta jakże ślicznie, jak prawdziwie pochwycił ten pęd wewnętrzny, jaki prowadzi dzisiejszych pielgrzymów do pomodlenia się na gruzach Solimy, gdzie się doskonała większa ofiara nad wszystkie ofiary, większe cierpienie nad wszystkie męki. — Rozpamiętywanie tego aktu, w miejscach gdzie się spełnił, i odniesienie go do własnych zmartwień i boleści — nie przestanie być wiecznie żywym balsamem dusz chrześcijańskich.

Bardzo szczęśliwie zrobił poeta związek téj walki między okrutnym Mostalemem pragnącym ocalenia swego jeńca, aby się nad nim pastwił, a Eben-Tymem, któremu rozkaz

władcy każe także przywrócić go do życia, a uczucie Chrześcijańskie ocalić, choćby z ofiarą własnego życia.

To samo wystarczyłoby już do zrobienia téj walki dramatycznie interesującą; ileż tu analogii między położeniem tego wodza Arabów, a losem Eben-Tyma lub jego współbraci! Poeta chciał jednak jeszcze bardziej urozmaicić swoją powieść wprowadzając sprężynę miłości. Eben-Tym ma córkę Maryę, która równo z swym ojcem pielęgnuje jeńca.

Skróń Izmaela ogniem rozgorzała  
 Marya dotknęła raz swą rączką białą;  
 Zgasł ogień w skroni; lecz w dziewiczym łonie  
 Zajął się pożar i ciągle w niem płonie.

Dwa te młode serca pokochały się miłością. Izmael opowiadał dzieje swobodnego i wojennego życia beduinów na pustyni; Eben-Tym smutne dzieje swojej ziemi — uczucia układały się w równowagę, a na tém tle i w wyobrażeniach młodego jeńca odbywała się przemiana, kiedy posłyszał z ust starca:

...że nie wszystkie żyły  
 Ludy rozbojem; że szczęście człowiecze  
 Nie idzie na świat przez krew i przez miecze.

Albowiem Bóg miłości nieograniczonej zesłał swego syna w ludzkiej postaci, aby zmienił życie zwierzęce między ludźmi;

A że król niebios do ziemi się zniża.  
 Człek go do niebios podniósł w mękach krzyża;  
 I złożył w grobie, przywalił kamieniem;  
 Grobowy kamień odstał bożem tchnieniem,  
 Wszedł Bóg w niebios, na ziemi została  
 Jego nauka... wiekuista chwała.

Tymczasem szpiegi Mostalema zaglądnęli do domku starego lekarza — chwila rozstrzygająca los jeńca zbliża się. Eben-Tym odkrywa mu zamiary Mostalema względem jego osoby i każe uciekać; lecz szlachetny beduin nie zezwala na to, aby dwie opiekuńcze głowy padły ofiarą zemsty za jego ucieczkę. — Nie pozostaje nic innego jak wszystkim trojgu uchodzić na puszcę. Uchodzą więc; — przy krynicy Najświętszej Panny, Izmael chrzest przyjmuje — Eben-Tym powierza mu Maryę i znajduje im kryjówkę wśród skał, a sam wraca do miasta, aby przysposobić wielbłądy do odprawienia drogi przez pustynię. — Kiedy Marya wygląda powrotu Ojca przychodzi stary Dawid, żyd z tych okolic co i jej ojciec, i

i równie jak on szukający ostatniej pociechy na gruzach Syonu — od niego dowiaduje się, że widział, jak zbiry Mostalemowe porwali Eben-Tyma i jak ten posłał go z rozkazem do Maryi i Izmaela, aby czémprędzej uchodzili z tych miejsc okropnych. — Idą więc skwar-nemi pustyniami i odmlewając na siłach dostają się do oazy, gdzie padają prawie bez ducha, choć był i orzeźwiający cień i źródło żywej wody. Na szczęście ich koczujący pasterze znajdują ich i poznają w Izmaelu swego Szejka, którego mieli już za straconego, a z którym runęła potęga pustyni. Jakaż to radość w taborze, kiedy wraca wódz pokolenia! — Lecz nie podzielać mu ani jego Maryi tych oznak wesela, dopóki Eben-Tym zostaje w mocy tyrana. Gotuje się więc nowa wyprawa Beduińskich pokoleń przeciw Mostalemowi — a choć złowieszcze znaki ostrzegają o niebezpieczeństwach wyprawy, Izmael nie daje się odwieść — postępuje pod mur Jerozolimy i widzi wszędzie gotowość obrony — w tém staje przed nim pasterz i powiada: zleś obrał godzinę zemsty: Mostalem ostrzeżony zgromadził siły wszystkich Baszów, i nieodbijesz już ojca Eben-Tyma, bo oto głowę jego święta,

wykupiłem za złoto i tobie daję w smutnym podarunku. Żalony był powrót Izmaela na pustynne koczowisko — ale okropniejszy cios go ugodził: Marya nie przeżyła ojca! Zgasła, zabita przecuciem tego, co jój ojca spotkało! Izmael w chwili, gdy przed następującym nieprzyjacielem obóz Beduiński zwijał namioty i uchodził — nieodstąpił mogiły swój Maryi i sam został — na szczęście dla jego boleści zerwał się uragan; podniósł morze piasków w powietrze.

I, co grób zlewał ognistemi łzami,  
Izmael zniknął pod piasku falami.

Trzy zielone palmy wyrosły nad mogiłą piasków, jak trzy sztandary: nadzieji, pokoju, chwały, o nich dotąd śpiewa pieśń Beduińska.

Taką jest treść tego poematu; kompozycja pod wielu względami bardzo szczęśliwa; pod koniec jednak bohater Izmael wcale niepoetycznie rejteruje z pod Jerozolimy; chrześcijaństwo przecież niepozbawia rycerskiego ducha? Należało mu tam zginąć, ale nie płakać na grobie kochanki. Mimo tego, całość dobrze ujęta — brak w niej jednak, tej czyłości rysunku, tej precyzji słowa, a nade-

wszystko téj plastyki, co każdą postać, każdy jój ruch tak uwydatnia mistrzowsko, iż myśl czytelnika nie męczy się i od razu oryentuje, ogarnia, i tak przyswaja sobie działające osoby i sceny, że się z niemi już nigdy rozłączyć nie może. Mniemam, że sam styl nieco amfiguryczny, sam sposób opowiadania wyforsonowany liryzmem, i nie wszędzie szczęśliwy wiersz, nie pozwoliły się pokazać tym wszystkim naturalnym pięknościami, jakie poeta rozlał w swojej pieśni hojną ręką; ztąd nie będzie nas dziwić, jeżeli poemat ten nie zrobi takiego wrażenia, jakie robią powiastki mierne co do głównego pomysłu i układu, a szczęśliwe i wdzięczne co do sposobu jakim są oddane. W potoczném życiu bywa toż samo: lada fraszka dobrze opowiedziana, zyskuje słuchaczy; kiedy nieraz zdarzenie, mogące wzruszyć do łez lub zaciekawić najobojętniejszych — z mniejszym talentem opowiedziane, napełnia słuchaczy znużeniem.

---

## VII.

### PRZEJŚCIE Z CYWILIZACYI STAROPOLSKIEJ DO NOWOCZESNEJ. — PAMIĘTNIKI EWY FELIŃSKIEJ.

---

Nie należę do liczby tych, co utrzymują, że tylko to można dobrze pojmować i trafnie malować, na co się własnemi oczyma patrzyło, lub czego doświadczało się w życiu. Aby opisać burzę, rozbicie się okrętu, bitwę, niekoniecznie trzeba było walczyć z falami rozhułkanego morza, lub z bagnietem uderzać na nieprzyjacielskie szyki; dość bowiem widzieć z brzegu szalejącą falę, albo przypatrywać się niekrwawej rewii, a resztę już na tém tle może dopełnić wszystko ożywiające uczucie i wyobraźnia. Podobnież ażeby wytłumaczyć serce



człowieka, jego uniesienia i upadki, potrzebaż samemu ulegać wszystkim porywom namiętności?

Zdaje mi się, że dosyć jest pojmwować to uczuciem, widzieć i badać.

Jednakowoż i to pewna, że kiedy sam człowiek przechodził różne koleje życia, doświadczał wielkich nieszczęść lub niebezpieczeństw, natenczas przy talencie przedstawienia ich, potrafi obrazowi swemu nadać i więcej prawdy i więcej naturalności.

Dla téj samój przyczyny i osoby, których życie mieszało się z ważniejszymi wypadkami, bądź przez czyny, bądź przez uczuciowy udział, co ulegały niewyczejnym ciosom losu, a nadewszystko, co obdarzone były badawczym wzrokiem i umiały sądzić świat, pośród którego żyły — daleko nas silniej i prawdziwiej mogą zająć i wzruszyć, oświecać i przekonać, niż to, co na tle książkowego odczytania się, pozwalają bujać swojój fantazyi.

Powyzsza uwaga, jakkolwiek mogłaby bardzo stosować się do powieści i romansu, po którego autorach zawsze wymaga się studyów z realnego świata, to jednakowoż najwięcej ściągają się do pisarzy pamiętników.

Sądząc prostym rozumem, zdawałoby się rzeczą niepotrzebną przypominać komu, co pisze pamiętniki swego życia lub swoich czasów, aby opisy czerpał ze zdarzeń, w których miał udział, bądź jako aktor, lub naoczny świadek, bądź jako sprawozdawca opowieści ust prawdomównych. Dobra wiara publiczna zawsze przypuszczała dotąd, że pamiętnik jest coś nakszałt sumiennój spowiedzi z przygód, wrażeń, wypadków doznanych w obcowaniu z ludźmi, co albo grali niepospolitą rolę w dziejach, albo odznaczali się jakąś osobliwością talentu, lub charakteru; że wreszcie taki pamiętnik zapisując drobniejsze szczegóły i rysy uchodzące najczęściej oku historyka ogarniającego większe horyzonty, dostarczy tém samym materiału, z którego historyk-filozof urobi ogólne a trafione oblicze społeczeństwa pewnej epoki. Nareszcie krom tego przymiotu posiłkującego dzieje, taki pamiętnik mając być żywym obrazem minionych czasów i ludzi, przekazicielem tradycji, co z opowiadań starców przeniosły się do książek — wszczepia się w pamięć i serce nowych pokoleń, sąd ich urabia do ocenienia każdój nowości, każdego przeobrażenia się pojęć moralnych, a nade-

wszystko każe ukochać i odmłodzić niejedno co minęło, aby było godne czci i miłości, lub niejedno odrzucić od siebie co potępił sąd Boga i ludzi, a co wlecze się za nami jak cierń uczepiony do sukni.

Tak ja sobie wyobrażałem zadanie piszącego pamiętniki, tak sobie wyobraża każdy rozmiłowany w pamiętnikach Paska, Kitowicza, Kopcia, Wybickiego, Ursyna, Karpińskiego i innych niewielu, co mając samą rzecz na względzie, nie myśleli nawet, że są twórcami jakiejś nowój formy literackiej. To bowiem pewna, że kto usilnie szuka formy dla swojej myśli, nigdy jój nie znajdzie, a tém samym nie stworzy, bo taka myśl zakłopotana, macająca, jest już z natury swojej jałową, nierodzajną; przeciwnie myśl owocująca przynosi z sobą zarazem i formę. Pasek zapewne nie biedził się, w jakiej formie odda wesołe i awanturnicze koleje swego życia, a jednak stworzył najdoskonalszą pamiętnikową formę.

Wtrąciłem to postrzeżenie, bo uważam, że przemysł dzisiejszych pisarzy o nic się tak nie kłopotce, jak o wynalezienie formy dla swoich pomysłów, które nie mogą żadną miarą przyjść na świat bez téj ciężkiej operacyi; że zaś forma,

jaką sobie ten i ów pisarz przyswoi, zupełne ma podobieństwo z pożyczanym frakiem, przeto chcąc swą istotę zastosować do sukni, kurczą się lub wyciągają ramiona, pierś się wypycha, lub oddech wciąga, a tak powstaje nadużycie i zużycie. Literaturę dzisiejszą można w pewnym względzie napiętnować mianem epoki: nadużyć i zużyć.

Weźmy między i nnemi pamiętnikową formę, która nabyła u nas pewnej wziętości takim Paskiem lub Kitowiczem — i zaraz znaleźli się zręczni pisarze, co pod tę formę podszyli skrzydłem swojej wyobraźni zmiecione różne pyłki historyczne nieprzystające do siebie, a często fałszywego pochodzenia, lub zfałszowane umyślnie. Jeżeli im brakło wątku i imaginacji do osnucia zajmującej powieści, nadawali jej diaryuszową formę bardzo swobodną, bo fragmentaryczną. Szczególniej z czasów konfederacyi Barskiej i późniejszych, narodziło się co niemiara takich pofałszowanych pamiętników, w których ze najczęściej występują osoby bardzo podrzędne, niefigurujące na większej scenie dziejowej, więc niepodobna kontrolować je; po tém tylko można poznać ich apokryficzność, że się same zdradzają ana-

chronicznymi sentencyami i pojęciami. Takie igraszki pióra nie miałyby zresztą nic zdrożnego, gdyby nie bałamuciły wyobrażeń i faktów historycznych dotąd nie dość ściśle i wytrwanie zbadanych, tém bardziej, że podobne pamiętniki układane bywają przez dzisiejszych pisarzy z jakich nieforemnych i dorywczych notatek, albo z opowiadań pochodzących z mętnych źródeł, jak tego mieliśmy przykład w różnych urywkach, pismach i wzmiankach rehabilitujących związek targowiecki. Nie powiadam do tego, aby i Targowiczanie nie miał co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie się, jeżeliby pismo takie wyszło z pod pióra jednego lub drugiego matadora związku— lecz pamiętnik jakiego poplecznika, obskurusy, co mógł być tylko posłusznym narzędziem, niewiele wyświecić potrafi, a jeszcze mniej warto na jego zdaniu polegać, chyba, że ma komu posłużyć za obronny szaniec.

Zresztą zdaje mi się, że aby pisać pamiętniki, coby miały powagę historyczną, potrzeba znaleźć się w pewnych niezwykłych warunkach. Mógł je pisać książę Saint-Simon na wysokim stanowisku u dworu przy nadzwyczajnie rozległych stosunkach i znajomo-

ściach; mógł Tallemant des Reaux, trąba opinii mieszczańskiej, zawistnie śledzący każdy krok arystokracji, mógł Cezar, Żółkiewski, Jakób Sobieski hetmaniący wyprawom, mógł awanturniczny Pasek i skrzętnie gromadzący fakta i pogłoski Kitowicz, zresztą górujący patryotyzmem i światłem; Karpiński, Wybicki; mogło tyle jeszcze stojących dość wysoko, aby ogarniać szersze widokreśli i rozumieć działające sprężyny, ale historii robionej przez zaściankowe figury, obracające się w kółku powiatowém, a przynajmniej z powiatowemi wyobrażeniami, uważam raczej za niepotrzebne rupiecie, jak za pochodnię mającą rzucić światło prawdy na ludzi i wypadki; tém bardziej, gdy liczne a przywiązane do chwili konieczności, którym muszą ulegać publikacye podobnych pamiętników, sprawiają, że każda drażliwsza dla wielu rodzin prawda bywa w nich usunięta, lub tak osłabioną omówieniem; że jeżeli nie czcza gadanina zostaje za całą korzyść, to korzyść ta bywa bardzo ni-  
kła; służy ona najczęściej za materyał dla pisarzy powieści niemających dość fantazyi, aby wynaleźć, ani dość talentu, aby obserwo-  
wać to, co ich otacza, i na co patrzą.

Niewielkiej także powagi pod względem prawdy i rozumnego ocenienia wszelkich ruchów wojennych, używają niektóre pamiętniki i wspomnienia z Napoleońskich i innych kampanii, pisane częstokroć przez niższego stopnia oficerów, a nawet prostych żołnierzy. Mało-znaczne zdarzenia na kwaterach lub w marszu, drobne epizody utarczek posterunkowych, mogą być oddane z humorem, dowcipem, i ciekawość nastrojać jak dobra powieść; ale ta przyjemność okupywana bywa najczęściej wielkimi bredniami co do rzeczy ważniejszych, i częstokroć zdarza się w sądach o rzeczy publicznej, jak o działaniach należących do sfery wyższej, do której autor pamiętnika nie był przypuszczony, a więc nie mógł być naocznym sprawozdawcą zdarzeń i pobudek — spotykać zdania i opisy, będące raczej odgłosem ciemnej opinii, niż sumiennego ocenienia.

Pozostał jeszcze jeden rodzaj pamiętników i autobiografii, zajmujący się wyłącznie sferą towarzyską lub uczuciową, wielkie fakta krajowe mogą w nich być ocenione w odbiciu się na umysłach i stosunkach domowych, co jeśli jest trafnie pochwycone, wiele przydaje do wyjaśnienia historycznych zdarzeń. Wreszcie

skreślenie zwyczaju i obyczaju pożycia obywatelskiego, ducha prowincjonalnego, siła uczy, bo wyświeca przeszłość z téj strony, jaka najczęściej w skład oficjalnej że tak powiem historii, nie wchodzi; bo nam powiada: co w życiu minionych pokoleń było dobrego i zbawiennego, i jak często dla lada błyskotnej nowostki zwanéj modą, porzucaliśmy poczciwy obyczaj domowy, surowy i prosty, lecz pełen kleju i wyrosły na fundamencie. Zmyslenie potocznych zdarzeń, jest tu mniej niebezpieczne, bo drobne szczegóły nie wymagają téj ścisłości i kontroli co historyczne; za to sam ton opowiadania, sama trafność z rzeczywistości dobranych przykładów i rysów, budzi wiarę w czytelniku, co ma pokrewne tym wspomnienia, tém łatwiej; jeżeli talent umiał skorzystać z bogatego materiału przechowanego w pamięci.

Do tego ostatniego rodzaju odnoszę świeżo wydane Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej \*) téj saméj, która przed ósmią laty opisała swoją

\*) Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej autorki wspomnień z podróży po Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie. 3 fomy. Wilno, nakład Zawadzkiego 1856.



podróż do Syberyi. Powodzenie téj książki ciche-lecz wymowne, miało przyczynę swoją nietylko w treści, ale i w talencie pisarskim pani Felińskiej. Tegoż spodziewając się i po pamiętnikach z jéj życia, tém skwapliwiej wziąłem się do przeczytania trzech grubych tomów. Nadzieja nie zawiodła, tém więcej, że nie zrobiłem sobie przesadnego wyobrażenia o nadzwyczajnościach życia wiejskiego w odalonym zakątku Litwy. Autorka téż nie sili się na epos dziwnych przygód, ale poprostu wdziękiem niewieścim, a dojrzałym rozumem matrony, opowiada dzieciom swoim wspomnienia sięgające ostatnich lat upłynionego stulecia. Zapewne jak sama powiada, życie prywatne, a szczególnie życie kobiety z natury swojej mniej związane z ogółem, niewiele nastrocza wydarzeń podniecających ciekawość, zatem i pamiętniki opisujące takie życie, miałyby raczej wartość portretu familijnego, a nie historycznej kompozycji. Lecz gdy nieraz się zdarza, że portret wyobrażający nieznaną jaką figurę, byle był dziełem dobrego mistrza, obstoi za olbrzymie historyczne płótno, partacza—tak i familijnym wspomnieniom Felińskiej wyższe dałbym miejsce nad niejedne

okrzyczane Pamiętniki, co oratorskim tonem odkrywają nam rzeczy dawno i szczegółowiej odkryte, i co żadnej chwili dobrze scharakteryzować nie umieją, chociaż piszący powołany był na świadka w niejednym wielkim dramacie. Prosty wniosek: że człowiek stanu najczęściej nie znajdował się na wysokości wypadków, kiedy kobieta czuciem swoim zawsze się do nich podnieść umiała.

Ztąd Pamiętniki Felińskiej choć się obracają w sferze dziecięcych igraszek, a później zabaw towarzyskich, przejażdzek z powiatu do powiatu, odwiedzin sąsiedzkich, wesel, imienin, znajomości na balach, wyborach, kondescensyach, nie tracą na wartości, bo jak sama to wypowiada dobrze w przedmowie, że „przeżywszy lat sześćdziesiąt, dotknąwszy różnych szczeblów towarzystwa, żyjąc w epoce dziwnych i niepospolitych przewrotów, nietylko w kraju naszym, ale i u obcych, byłam świadkiem naocznym, jak nasze towarzystwo ulegając silnym wpływom zewnętrznym i wewnętrznym, nagle się przekształcało, zrzucając dawną postać, a przyoblekając nową. Może mi się uda zatrzymać temi wspomnieniami kilka form, które całkiem znikły z naszej zie-

mi, a które jednak stanowią ogniwo łączące przyszłość z przeszłością, tłumaczące powód przekształceń, których dziś widzimy skutki, nie pojmując dokładnie przyczyn, które je przygotowały.“

Można oddać zacnej autorce tę sprawiedliwość, że umiała przenieść w pisane wspomnienia swoje nietylko cechy ziemiańskiego towarzystwa, pośród którego żyła i wychowała się w okolicach Słucka i Białorusi, ale nadto w malowanych charakterystycznych rysach skreślić obrazy niektórych form życia obywatelskiego, co już bezpowrotnie minęły, pokazując zarazem, jakim to wpływowi ulegały wyższe warstwy, i jak ten wpływ do niższych się przenosząc, dokonywał zupełnego przeobrażenia stosunków.

Ciekawa ta figura tego Wendorfa stryja jój, w którego domu wychowywała się od pierwszych latek! Szlachcic na kilku wioskach, otyły, małomówny, siedzący zawsze przy swoim kantorku, rządził się wybornie i robił kapitały, choć nie grał na giełdzie, ani się rozbijał za gospodarką—ale cała machina raz w tryb wprowadzona, trzymana karnością i uczciwością, szła bezpiecznie, pomimo, że

serdeczna staropolska gościnność przyjmowała w dom nietylko sieroty i ubogie kuzynki, nietylko guwernantkę z ośmiorgiem dzieci, ale jeszcze bliskie i dalekie sąsiedztwa, zajeżdżające dworno i konno a bawiące po całych miesiącach.

Zkądżeż wystarczył na te szczodroty szlachcic dobrego mienia, a nie żaden magnat, lub spekulant? Zkąd? odpowiedź łatwa — nie kaszał się na zbytki, nie podróżował bez potrzeby za granicę i ani mu się śniło grać o lepsze z kleckim lub nieświezkim Radziwiłłem. Mebli tam ani powozów nie odmieniano co roku, sukien i błyskotek nie sprowadzano z Paryża, a na zagraniczne przysmaki, krom wina, cukru, kawy i pieprzu pewnie ani grosz nie poszedł. Spiżarnia domowa wystarczała na wszystko, choć jak powiada autorka, czerpano w niej jakby w bezdennój studni, a przecież nie było trwogi, że się wyczerpie... Cudowna obfitości mnożąca się w miarę gościnnój szczodroty, gdzie szukać ciebie! czy w dzisiejszej tak zwanój kalkulacyi, co z własnego domu ucieka, aby nie narazić się na koszt przyjmowania sąsiadów? Cały sekret w tém, że ojcowie nasi inaczéj rozumieli życie, jak

dzisiejsi wyznawcy samolubnego pysznoskąpstwa, co się wyzuli z owych serdecznych związków, rodzących się z wzajemnego podziału darów bożych, aby natomiast wykwinnymi zachceniami, błyskotkami, wygodkami, błyszcząca powierzchownością, stawiać się niby na téj linii cywilizacyi, na jakiej stoi klasa najmajętniejsza i utytułowana.

Ale temu samolubnemu pysznoskąpstwu nie darzy się jakoś — a jak się nie darzy, przekona się czytelnik z trafnych postrzeżeń autorki.

„Kiedy zapuszczę myśl w przeszłość — powiada ona — i przypomnę, jaki panował dostatek po domach szlacheckich, jaki spokój o jutro, szukam gdzie się podziało źródło tego dostatku? kto je osuszył? Wszak nasza bogata ziemia rodzi tak samo, a może lepiej niż przedtem rodziła; jeżeli podatki się zwiększyły, to też i płody ziemi podniosły wartość. Nie karmimy po domach tyle rozmaitej ludności potrzebnej i niepotrzebnej, ileśmy karmili dawniej bo dziś wszystko idzie w rachunek; kraj nasz nie wymaga ofiar nadzwyczajnych, co się dawniej trafiało, a jednak wszędzie ucisk. Mimo pozorniej okazałości, wszędzie się prze-

bija niedostatek rzetelny, a jeśli kto jeszcze trzyma się na nogach, jakąż pracą, wysileniem, ciągłą wojną odporną musi zdobywać to położenie, inaczej prądbi go uniósł.“

Ten przełom ducha narodowego odbył się w oczach autorki w samym początku bieżącego wieku; prowincye bliższe Zachodu wcześniej się przeobrażały; Polesie, Litwa, Białoruś później. „Niektórzy starzy ludzie — powiada ona — w rzędzie których można liczyć mego stryja, trzymali się jeszcze z miłością dawnych form, dawnych zwyczajów, ale młodzież biegła nowym torem, przesiąkła nowymi wyobrażeniami. Wielu téż ludzi dojrzałych, nawet przejrzałych, zrzuciwszy kontusz biegli niby drogą postępu w czwał za innymi, bo ta droga zdawała się im łatwa i przyjemna, zrobiwszy rozbrat z dawną prostotą z dawnymi wierzeniami. To téż zdaje mi się, była to epoka najgorsza, epoka dezorganizacyi. Każdy przykładął rękę, aby niszczyć co było zrobionego, wywracać dzieło wzniesione pracą ducha wielu wieków, opłacone wielą ofiarami; i myślał że pracuje dla dobra ogółu.— Nic łatwiejszego jak niszczyć: to téż wielu przybiegło z gotowością ustną; ale gdy przyszło od-

budowywać na nowo, zabrakło biegłych rzemieślników; a z budowy wzniesionej wiekami, zostały bezkształtne gruzy.“

Takimi to reflexiami i postrzeżeniami branimi z doświadczenia przeplata autorka swoje opowiadania, które dostarczają wymownych faktów, pokazujących w jaki sposób odbywał się ten proces wewnętrznego przeobrażenia narodu. Jeżeli nam z jednej strony pokazuje dom zamożnego szlachcica, trzymającego się starego obyczaju tak w prowadzeniu gospodarstwa, jak w stosunkach obywatelskich, jak w całym trybie życia, to obok pozwala zaglądnąć na dwór Radziwiłłów kleckich lub niezwezkich, za pośrednictwem swego stryja Wendorfa, zachowującego do późnej starości nie tylko obowiązek dobrowolnego trudnienia się interesami książęcego domu, ale nawet, kiedy książę Antoni następca na ordynację klecką umarł, a przeżył go książę Maciej ojciec, zgrzybiały i zdziecinniały, co się już na pokojach nie pokazywał, Wendorf regularnie co niedziela, sam zaszły w lata starzec, zabierał się i jechał z attencyą do Radziwillimonów, rezydencyi książęcej.

Nie była to próżna ceremonia, ale trady-

cyonalny obyczaj stawienia się swoją osobą w tém naturalném ognisku, jakiém bywały zdawien dawna dwory możnych panów i senatorów. W tém bowiem ognisku światła, poloru, znajomości rzeczy publicznej, protekcji, wyrabiał się duch obywatelski, zawiązywały solidarności interesów, ustalała się opinia o ludziach i rzeczach. Główne to ogniwo trzymało w spójni całą społeczność szlachecką — to téż kiedy raz przysło, kiedy taki Radziwiłł przestał znaczyć wpływem, kiedy głosy ziemiańskich przyjaciół nie dawały mu już powagi i w rządzie siły, bo i on zrównał się drugimi w obec pierwszego lepszego urzędnika, został tylko zwyczaj, kończący się śmiercią jednych, a wystąpieniem młodszej generacji, przeobrażonej naciskiem nowych stosunków. Chwila tego przejścia wybornie charakteryzuje się w tych dwóch Radziwiłłach ordynatach kleckich, ojcu i synie, co choć zawsze jak dawniej przyjmowali tłum szlachty, ale już nie mieli klucza do serc obywatelskich; bo kiedy stary wojewoda szedł po obiedzie spać, to zostawiony syn dla bawienia gości usypiał w najlepsze. Z tego powodu zabawną czytamy anegdotę w pamiętnikach Felińskich:



„Pomiędzy obywatelami zebranymi w Radziwillimontach znajdował się młody człowiek Hipolit Korsak. Umiał on doskonale przeistaczać siebie w księcia wojewody trockiego, który był stary, niskiego wzrostu i ułomny, z nosem garbatym spuszczonej prawie na brodę. Sama widziałam to przeistoczenie, bo czasem Korsak za wielką prośbą robił z siebie księcia. Wtenczas kurczył nogi, zniżał się, zakładał w tył ręce, podsuwając pięście pod frak i sięgając niemi do łopatek, tak że się garb formował, a gdy do takiej postaci przeciągnął twarz, że nos spuścił się na wargi, wtenczas ta karikatúra naśladowała wybornie postać wojewody. Otóż tą sztuką Korsak jednej niedzieli zabawił gości w Radziwillimontach. Po obiedzie książę Wojewoda porzuciwszy gości, poszedł spać do swego pokoju. Zastępca gospodarza książę Antoni, który miał ten pociąg co ojciec, zasnął w krześle na dobre. Wtenczas Korsak przechadzając się po pokoju wraz z innymi, nagle zrobił postać Wojewody, a stanąwszy przed krzesłem śpiącego księcia i udając głos Wojewody, przemówił: Drzemiesz, widzę panie Antoni.“

Drzymanie to nazwałbym symbolem téj

epoki, będącej na pograniczu dwóch światów, jednego co konał, a drugiego co się jeszcze nie wyklął.

A teraz skierujmy uwagę na blizki Nieśwież, tę rezydencję sławnego Panie Kochanku ostatniego pana na Litwie, co zgasłszy w Białej w 1790 roku, leżał lat kilkanaście w kaplicy, czekając pogrzebu, którego się nie mógł doczekać od swego następcy na ordynację, wychowanek Puław, rozrzuconego księcia Dominika. O, to już innego odlewu Radziwiłł! Wielki pan, lecz bez żadnej tradycji, coś nakształt członka jokej-clubu. Szlachta starym zwyczajem wali się do Nieświeża, oddając mu powinną uwagę i czeka, żeby w ręce jego złożyć choć moralną reprezentację okolicznych powiatów, żeby go podnieść sercami, jeżeli ostrzem szabel nie mogła—ale młody panicz lekce sobie waży ten różnorodny tłum sąsiadów, dawnych przyjaciół i domowników Radziwiłłowskich, bo ich przyjmuje—w stajni, lub wyprowadza w pole, na tępienie susłów!

W rzeczy samej młody książę zapamiętale kochał się w koniach, jak boży dzień przesiadywał w stajni, którą ubrał w zwierciadła,

franki i sofy, a jeżeli nie palił z bicza, to jeździł w kompanii z rezydentem swoim Łopottem wylewać susły. Jeszczeby ta igraszka nie kłóła bardzo w oczy, ani gorszyła przywykłych nawet do szanowania kaprysów pańskich, ale kiedy książę ożeniwszy się z Mniszchówną z Wiśniowca, ledwie do Nieświeża powrócił, już zajęty panią S. myśli o podwójnym rozwodzie z świeżopojętą żoną, i kochanki z mężem – musiał gorszący przykład jeszcze bardziej oddalić od niego serca Litwinów.

Za jedném złém szło inne. Nowy rodzaj życia, jakie książę prowadził, nadweręzał fortunę, tę fortunę, co niedawno wystarczała nie tylko na podejmowanie ogromnego dworu i nigdy nieubywających gości, ale nawet na wielkie ofiary ponoszone w potrzebach Rzeczypospolitej. Przejazdźki zagraniczne, świecenie się na koronacyi Napoleońskiej, a głównie nierząd domowy, nie tylko pochłaniały ogromne dochody ordynacyi, ale spowodowały sprzedaż i zastawę niektórych kluczów.

Drobniejsi zaczęli wyprawiać to samo, na mniejszą stopę. Największe majątki w kilku léciech z rąk uciekały. Jakiś Lichodziejowski odziedziczwszy po skąpym stryju ogromne

dobra i kapitały przetrwania je w mgnieniu oka, i zadłużone wioski oddaje pod *exdywizyę*.

Autorka patrząca na częste zmartwienia stryjowskie z powodu mnożących się bankructw i *exdywizyi*, mogących pochłonąć i jego kapitały polokowane na większych fortunach, poświęca jeden ustęp téj nieznanéj dotąd chorobie społecznej.

„Z początku *exdywizy*e miały jakieś dziwne oblicze i zdumiewały; szczególnież jeśli padały kolosy istniejące od dawna, których trwałość zdawała się być niepożyta jak piramid egipskich, i które niejako były zrosłe z losami narodu. Ale powoli wyobraźnia się ośwoiła, fortuny padając jedna po drugiej, zostawiały tylko zdziwienie, jeżeli która stała jeszcze na nogach, i już nie było wiary w jej trwałość. Istotnie, na Litwie szczególnież, mało która z większych fortun nie uległa rozkładowi, a te które zostały podtrzymane, powiększej części zupełnie obcym wypadkom winne były swoje ocalenie.

Wpatrzywszy się z większą uwagą w koleje, którym przechodziło towarzystwo nasze, zdaje się, że to wstrząśnienie prawie ogólne

wielkich fortun z ich posad i rozdrobienie na części, było jedną z dróg opatrznych, któremi wielki Twórca społeczeństw przeprowadza je przez rozmaite formy bytu. Wielkie fortuny w dawnych czasach były ciałem potrzebném do wyrażenia idei, która była duszą tego ciała. Bez współuczestnictwa tego ciała, idea w czyn wcielićby się nie mogła, ani działać na drugich. Póki te fortuny były ożywione ideą dążącą do połączenia w jedno różnych części i podtrzymania całości, póty miały moc atrakcyjną: nietylko nie ulegały rozkładowi, ale skupiając koło siebie mniejsze siły, same się przeto wzmacniały, także nawet to, co uрониły, co wydały z siebie, nie stanowiło ilości ujemnej, ale stawało się siłą dodatnią. Jak upuszczenie krwi, kiedy jest tego potrzeba, nie osłabia chorego, ale go wzmacnia, magnat polski rozdając wioski, ugaszczając tłumy, rósł jednak w majątek i znaczenie.“

Te wzajemne rękojmie musiały się utrzymywać w społeczeństwie solidarnie ze sobą związaném, a uorganizowaném na sposób tylko naszemu krajowi właściwy. To téż kiedy np. padła taka olbrzymia fortuna Jeremiego

Wiśniowieckiego, nikt nie powiedział olbrzymowi, złożonemu niemocą. Tyś trup! — ale owszem naród miał sobie za obowiązek nagrodzić to synowi koroną, co ojciec poświęceniem się stracił.

Dobrowolne złożenie posłannictwa, wyosobnienie się z ogółu przez poślubienie cudzoziemskiego obyczaju, a nawet języka, zrobiło zamęt towarzyski, na który autorka własnymi patrzyła oczyma, zapisując te wszystkie pojawy w miarę jak się przesuwwały przed nią zdarzenia i osoby. Prostota, skromność szlacheckiego życia, wychowanie w rygorze religijnym i obyczajowym, czuły się jakby olśnionymi i upokorzonymi tą błyskotliwą nowością, chociaż instynkt wewnętrzny powiadał, a zgubne przykłady rozpusty, nierządu, lekkości, uczyły, że te zmiany nie wyjdą na lepsze. Ona sama, młoda dziewczynka, wychowana w innych pryncypiach, i na żywych przykładach patryarchalnej prostoty, opowiada jak nieraz przyjazd w dom stryjostwa jakiej eleganckiej damy z wielkiego warszawskiego świata, szcziebioczącej po francuzku, nabawiał ją taką trwogą, że uciekała w najskrytsze kąty; czego

znowu nie robiła względem innych gości, choćby samych Radziwiłłów, póki jeszcze nie wyzuli się z ogólnego obyczaju. To pewna, że z razu manieri i konwersacya francuzka mające w sobie coś zawsze gryzącego i drwinującego, pryskały jakby witryolem na ducha i obyczaj staroświecki, wypalając pierwszy, a barwę zmieniając w drugim, na jakiś niepewny, wyblakły kolor kosmopolityczny...

Jednakże pomimo tylu przeobrażeń się bolesnych, resztki wielkiego życia owiewały jeszcze to społeczeństwo. Trzy grube tomy pamiętników Felińskiej opisują nam ówczesne pożycie obywatelskie, zjazdy familijne, bale, wesela, imieniny, przynosiny, gdzie młodzież bawiła się całą duszą do upadłego. Prawdziwa ochota była wtenczas w stosunku odwrotnym do zewnętrznej okazałości — salony nie lśniły od złota, jedwabiów i lusterek, stroje robiły się w miejscu ze skromnych tkanin, jadła nigdy nie brakło, a o ostrygi, trufle, strasburskie pasztety, drogie wina, nikt nie dbał. Co Bóg dał, a ziemia rodziła, zaspakajało najwybredniejszych.

Był to jeszcze ostatni połysk téj żywotno-

ści, co już nie miała pola, gdzie się rozwinąć — literatura, sztuki piękne, nie znalazły jeszcze licznych uprawiaczy i wielbicieli — a więc nie absorbowały czynności duchowej, która karmiła się, że tak powiem, samemi niespodziankami, samem zdumieniem na odgłos dalszy lub bliższy olbrzymich dramatów napoleońskich. Trafnie i bardzo szczęśliwie dojechała autorka Pamiętników, dwa rysy ówczesnej epoki, któreby uszły uwagi niejednego obserwatora, a przez kobietę dostrzeżone zostały; chcę tu mówić o *mystyfikacji i szaradzie*.

Te bagatelne na pozór igraszki dowcipu należą przecież do charakterystyki społeczeństwa. Mistyfikacja była to improwizowana komedia, odegrana wśród rzeczywistych stosunków potocznych. Dowcipnisie, potrzebujący zajęcia siebie i zajęcia drugich rozdawali role, układali intrygę, prowadzili ją zazwyczaj czymś kosztem, kogo chcieli wyżartować lub poprawić. Niektóre koncepta jak zwykle, bywały szczęśliwe i niewinne, czasem posunięte zadaleko, bo połączone z cierpieniem wskazanym na cel ofiary. A jednak takie panowało porozumienie się i wyrozumienie w towarzy-



stwie, tak mało było zarozumienia i dumy, że nigdy z najmocniejszego żartu nie wynikła żadna nieprzyjemna katastrofa. Autorka opisała kilkanaście takich mistyfikacyj i mistyfikatorów, jak ów generał Zawisza, co do kuty Lichodziejowskiego sprosił całe Wilno i w domu jego dał zaproszonym obiad. Skąpiec myślał, że to siurpryza, lecz nazajutrz, gdy kuchmistrze, cukiernicy, winiarze, przyszli dopominać się o zapłatę, zadrzał, ale w końcu zapłacił; co mi przypomniało drugą podobną anegdotę o Suwarowie, do którego Potemkin zawsze zapraszał się na obiad, aż nareszcie rad nie rad musiał mu uleść i wyprawił sutą ucztę Potemkinowi, sam zaś jadł tylko jakąś postną polewkę, którą mu jego zwyczajny kuchta uwarzył; za to też gdy przyszło do zapłaty, odesłał wszystkich kucharzy i kupców do Potemkina, wymawiając się, że on tych przesmaków nie kosztował nawet. Druga z takich anegdot rozpowiada o jednym asesorsze, lubiącym rozwozić polityczne plotki. Otóż śród balu, kiedy najweseliej idzie zabawa, przeraża wszystkich odgłos dzwonka pocztarskiego — wchodzi feldjegier i wręcza

papier assesorowi — było rozkaz porwania go na Sybir. Wsadzony na sanki, pojeździwszy z godzinę, wraca napowrót do sali balowej. Żart ten dokonany na ojcu licznej rodziny, mogący w téj jednéj godzinie ubielić najczarniejsze włosy, wywołał tylko uciechę w gościach, a w assesorze najwspaniałomyślniejsze przebaczenie.

Obok tych mistyfikatorów na większą i mniejszą stopę rozwijała się *Szarada i logogryf*, ta niby delikatniejszych i wyższych umysłów igraszka. Posłuchajmy co o téj manii opowiada pani Felińska: „Nie było to upodobanie wyjątkowe kilku osób, ale było w duchu czasu i rozprzestrzenione szeroko. Jedni robili szarady, drudzy odgadywali. Były one nietylko przedmiotem chwilowej zabawy, ale i korespondencyi. Amatorowie przesyłali sobie pocztą szarady do odgadywania; nawet między nieznanymi zawiązywała się korespondencya osnuta na wspólném upodobaniu. Widno, że to nie było upodobanie wyjątkowe kilku osób, ale publicznie, kiedy pisma peryodyczne tak politycznej jak literackiej treści przy każdym numerze zamieszczały szarady lub logogryfy: w jednym numerze była szara-

da, w drugim odpowiedź; a niejeden co nie dbał o treść gazety, i nigdy jój nie czytał, z największą niecierpliwością wyglądał poczty i chwycił co prędkiej do rąk gazetę, aby obaczyć nową szaradę, albo wyczytać słowo dawniejszój.—Zjawiły się w téj rzeczypospolitéj szaradowej sławy większe i mniejsze, które używały znaczenia zdobytego zdolnością w rozwiązywaniu, albo zręcznością w układaniu szarad i świeciły jasnie na peynym widokręgu. Niejedna poważna głowa przez godzinę lub więcej pograżała się w głębokiém dumaniu; myślałbyś że ją zajmują ważne interesa, obchodzące byt własny lub cudzy? bynajmniej, myśli ona nad słowem zagadki, układając różne kombinacye, aby prawdziwy sens pochwycić.“

Póki towarzystwo znajdowało zajęcie i uciechę w tych niewinnych zabawach, grały w niém jeszcze ostatki tych czerstwych, swobodnych i prostych dawniejszych obyczajów ziemiańskich— lecz niebawem karty rozpostarły milczące panowanie i w nich grażyły się młodociane uczucia i namiętności, jak w piekielnym ogniu, który pożerał i trawił lecz nie oczyszczał...

Ten główny, poważniejszy rys epoki pochwyciła pani Felińska w trzechtomowém opowiadaniu, doprowadzoném do ośmnastego roku swego życia, gdy oddawała rękę Gotardowi Felińskiemu, bratu znanego autora *Barbary*. Pełno tu jest zajmujących szczegółów o osobach bądź dziś żyjących na Polesiu i Litwie, bądź zapisanych w pamięci znajomych i młodszego pokolenia. Dlatego nas odległych od tych prowincyj, mniej obchodzą te częste nader drobiazgowe opisy osób obcych nam nawet nazwiskiem. Jaki pan W. miał nos, jakie oczy panna K., w jakim ten chodził fraku, a jakiego koloru sukienkę przywdziała ta lub inna dziewczynka? cóż to ma do rzeczy? — Mniemam, że ten cały przybór bez archeologicznej wartości, bo na archeologię za świeże te zabytki, powiększył tylko i tak już grube tomy, których czytanie wystawia niekiedy cierpliwość czytelnika na próbę. Rozwlekłość nie jest żadnym przymiotem, a najmniej w pamiętnikach; Benvenuto Cellini najrozmaitszy awanturnik, jaki był na świecie i Pasek tejeż miary co tamten, ledwo spisali po jednym tomie, gdy nasza autorka trzy napisała, obejmu-

jące okres lat ośmnastu, co stosując do jój lat sześćdziesięciu najmniej jeszcze sześć tomów spodziewać się możemy. Przyczyną rozwlekłości byłżeby pośpiech? nie wiem; ale szczerze radziłbym zacząć autorce zażyć więcej czasu i być zwięźlejszą.

---

## VIII.

### BOGACTWO FANTAZJI W ROMANSIE.

*Powieść Jana Potockiego.*

---

Przed kilkunastą laty, dziennik francuzki *La Presse* wielce podówczas znienawidzony, ale mimo tego niezmiernie czytany, umieścił był w feuilletonie jakieś osobliwe przygody, jakiegoś awanturnika w Hiszpanii. — Było to opowiadanie tak pełne poetycznej fantazyi, tak porywające oryginalnością sytuacji, że świat czytający nietylko z gorączkową ciekawością wyglądał dalszego ciągu, ale i dziwił się jakim sposobem tak szczęśliwy utwór znalazł się pod piórem autora pamiętników Mar-

grabiny de Crequi podpisanego pod ową powieścią?

Dalszy jednak ciąg zajmującego feuilletonu nie pokazał się nigdy; lecz natomiast czytaliśmy w kolumnach dzienników, a następnie w sprawozdaniach *Gazette des Tribunaux* oskarżenie *Pressy* i podpisanego autora, o kompilację zapomnianych dwóch romansów: *Avodoro* i *Dix journees de la vie d'Alphonse van Worden*, przyczém wydało się, że właściwym ich autorem był Jan hr. Potocki. — Wyznaję, że moja narodowa duma niezmiernie podniesiona była tém zdarzeniem; kto bowiem pamięta jakimi to potęgami byli wówczas w codziennój literaturze francuzkiój; Balzak, Dumas, Eugeniusz Sue, Jerzy Sand—ten pojmie, ile pochlebiającym musiał być ten tryumf dla wszystkich rodaków Jana Potockiego, kiedy ukazanie się jednéj z jego powiastek wywleczonéj z zapomnienia, zrobiło więcéj wrzawy niż wszelkie inne feuilletonowe publikacye, a zrobiły nietylko samym ztąd wynikłym procesem, ale i rzetelném zajęciem się publiczności francuzkiój.

*Pressa* zbita z tropu, sponiewierana przez nienawistne jéj gazety, nie chciała daléj pro-

wadzić zaczętej powieści, kiedy ją można było znaleźć w kramie antykwarskim, lub w jakiej czytelni; czegom mocno żałował, będąc oczarowany urokiem téj bezprzykładnej fantazyi, w porównaniu z rozwodnioną i wysrubowaną fantazyą dzisiejszych europejskich pisarzy powieści i romansów.

W kilka lat później dowiedziałem się z wielką przyjemnością od p. Edmunda Chojeckiego, pisarza z talentem, że miał w rękach swoich oryginalny utwór Potockiego, pod ogólnym tytułem: *Manuscrit trouvé à Saragosse*, i że go wytłumaczył na polskie. Niebawem téż ukazał się przekład jego w Lipsku, nakładem Bobrowicza w sześciu sporych tomach.

Nie wiadomo mi, czyli ówczesne pisma publiczne zwróciły na tę nowość uwagę, lub téż przepuściły ją w milczeniu, lekceważąc, jak każdy przekład francuzkiego romansu, chociaż przy ściślejszém zastanowieniu się, przez to przepolszczenie wracało tylko do nas, co było naszą własnością. Zapewne, że język francuzki, którym pisarz ten lubił myśli swoje wyrażać, pozbawiał literaturę naszą połowy praw do tego utworu; lecz z drugiej strony sam wynalazczy pomysł, rozwinięcie one-



go, powiązanie szczegółów, mistrzowska charakterystyka, bezdenne nauka i zdumiewająca znajomość miejsc i ludzi, a nadewszystko ta jego fantazyja wulkaniczna nie lawę dymy i żuźle miecąca, ale strugi złota i djamenty—czyliż to wszystko nie było własnością przyrodzoną człowieka, który nietylko wziął życie na téj ziemi, ale ją szczerze miłował, a nawet w ciężkich chwilach i do prac narodu należał?

Nie potrzebuje przypominać, ile w wpływioném stuleciu literatura, a nadewszystko filozofia francuzka wywierała wpływu na umysły; rzecz to wiadoma, ale nie wiem czy sobie zrobił kto tę uwagę, iż natura tego wpływu była stokroć groźniejszą dla wszelkich różnic i znamion narodowych, niż jest dzisiejsza galomania, albowiem zcierała ona i z serc i głów wszystko, cokolwiek wyrobiło się w nich pracą kilkunasto-wiekowych tradycyj, i społeczeństwo, jakby wytrzeźwione z bogactw i nabytków duchowych i rodowych, popadało naraz w jakąś cczą formułkę nadającą mu blichtr bezbarwnego kosmopolityzmu. Uczucie narodowe napadnięte wielkimi słowami: światła, wolnomysłności, cywilizacyi, poloru,

gustu, przytém nieświadome swojej istoty, bo nieumiejące jeszcze zastanawiać się nad sobą, aby potęgować własne siły żywotne, podda- wało się temu wpływowi prawie bez walki, robiąc ogromną hetakombę z wiary, tradycyi publicznych i domowych, obyczajów, zwyczajów stroju, a nawet macierzystego języka.

Do tego to wieku należał Jan Potocki, a jako jeniałny umysł, pełen przytém nadzwyczajności charakter, rzucił się weń, i zapragnął nauką przebić się przez ten świat, który niekończył się na jego własnej ojczyźnie, ale obejmował całą półkulę. Europa, Azja i Afryka stały się celem jego podróży i badań historycznych, archeologicznych, chronologicznych, etnograficznych. Od granic chińskich po stubramne Teby przetrząsł wszystkie początki ludów — bo historia początków wszelkich społeczeństw najeżona najdziwaczniejszymi terminami i dziwaczniejszymi hipotezami ciągnęła ku sobie ten umysł rozświeżony szaloną pamięcią, jak w przepaść. Gdy prace tego rodzaju obchodziły niejeden kraj, ale całą ludzkość, trzebaż je było wyrażać w języku ówczesnej ludzkości; czyli po francuzku; zwłaszcza, że łacina ten język powszechny uczono-

ści pokąd nauka krzewiła się pod skrzydłami kościoła, wyszła już była z używania. Potocki tedy pisał po francuzku i myślał jak ówczesni filozofowie, mimo tego w pracach uczonych i to najważniejszych nie spuszczał z oka własnego kraju o tyle, o ile ten wchodził w jego poszukiwania historyczne i archeologiczne, co do początków ludów osiadłych na ziemiach słowiańskich; co właśnie stanowi dowód, jak lubił uogólniać naukę, i podnosić ją prawie do rzędu abstrakcyi. — Dążność ta zrobienia nauki własnością powszechną, tłumaczy się w Lineuszu, Cuvierze, Arago, Humboldzie, bo ich warsztatem jest cały obszar stworzonego świata, — lecz aby w historycznych badaniach puszczać się po wszystkich zamorskich narodach i nurtować w ich zamierzonych początkach, i to w chwili, kiedy własny naród łaknął dziejowego światła i krytycznego obrobienia swych źródeł, na to mogła się tylko zdobyć zarazona pysznym filozofizmem, choć w gruncie najszlachetniejsza dusza. Dla téj to przyczyny, pomimo ogromu nauki znamionującej pracę Potockiego rozstrzelone w narody i najrozmaitsze przedmioty, zawsze jest w nich coś spaczzonego, jakby mniej mu szło

o wykrycie a więcéj o zwalenie jakiej obja-  
wieniem lub powagą wieków uznanéj prawdy.  
Niezdaje mi się, aby który z naszych pisarzy  
miał był wówczas dość bystrości umyśłu, a  
nadewszystko odwagi swych przekonań, do  
stawienia czoła Potockiemu w jego history-  
czno-filozoficznych zaciekach — to jednak pe-  
wna, że dzieła jego, drukowane w bardzo szczu-  
płej liczbie exemplarów, przechodziły pra-  
wie nieznanie narodowi. Wszakże zaprzyja-  
źniony z nim osobiście, a mieszkający wtedy  
w Petersburgu hrabia de Maistre, nie przepu-  
ścił mu tych wybryków szarpiących się na po-  
wagę objawionych dogmatów; a jak skarcił tę  
pychę uczoności nieopartéj na głębokim grun-  
cie, jak osądził to oderwanie się od ducha na-  
rodu, jak przypomniał mu powinności obywa-  
tela, znajdziemy w jednym ustępie listu pisa-  
nego doń w r. 1810 z powodu dzieła: *Princi-  
pes de Chronologie pour les temps anterieurs aux  
Olimpiades* (St. Petersbourg 1810).

„W każdym kraju znajduje się pewna liczba  
rodzin zachowawczych, na których wspiera  
się gmach państwa, a te są, tak zwaną ary-  
stokracją, czyli szlachtą. Owóz dopóki szla-  
chta trwa w czystości, dopóki przenika ją duch

narodowy, dopóty i państwo stoi pomimo ułomności panujących; przeciwnie odkąd zaczyna się psuć, mianowicie pod względem religijnym, państwo musi runąć, choćby niém władał Karol Wielki po Karolu Wielkim. Patrycyusz jest kapłanem świeckim i religia narodu pierwszą jego i najświętszą własnością, ponieważ ona zachowuje jego przywilój, który upada z nią razem. Niemasz większej dla szlachcica zbrodni, jak uderzać na dogmata wiary. Przyznaj panie hrabio, jak wyszła na tém szlachta francuzka, że w ósmnastym wieku sprzymierzyła się z filozofią! Otóż to jój występek i wszystkich klęsk źródło: dlatego téż sumienie publiczne, nieomyłne, choć o tém samo nie wie, odmówiło rozgrzeszenia szlachcie francuzkiój, a jako odstępcom, odmówiło nawet téj litości, do jakiej ma prawo nieszczyćście.

„Proszę cię hrabio, nie gniewaj się o wyraz: *irreligia*, użyty przezemnie. Z wyrazem tym nie łączy się idea ściśle opisana i absolutna; bo on tylko oznacza wszelką obrazę religii od najzuchwalszych ciosów, aż do najmniej winniejszych lekkości. W Pan zaś jesteś bliższym téj ostatniój; niż pierwszój kategorii.

Ależ powiedz mi, z łaski swojej, w razie, gdybym ci na słowo honoru zaręczył o prawdzie wszystkich szczegółów jakiego zdarzenia, którego byłem naocznym świadkiem – co więcej, gdybym ci dał świadectwo pisemne, stwierdzone przysięgą— a ty potem występując w piśmie publiczném wyrzekłbyś: *mamy w naszych rękach jedyną tylko wiadomość o tém zdarzeniu*, i zacytowałbyś na poparcie téj jedynéj wiadomości, słowa mego lokaja powiedziane w karczmie, bez odwołania się do mnie i do mego świadectwa—czyż nie miałbym wtenczas prawa gniewać się, a nawet żądać od ciebie satysfakcyi?

„Słowo w słowo postąpiłeś sobie tak z Mojżeszem, co zdaniem mojem, nie przystoi ani prawdziwemu filozofowi, a tém bardziej hrabiemu Janowi Potockiemu.“

Pod koniec listu jeszcze żywiéj przemawia:

„W dziełach twoich hrabio, są rzeczy sprawiające mi wiele zmartwienia; jak między innemi, ten rys, co tak niefortunnie zakończy twego Manethona. Jeżeli puścisz swój dowcip i wyobraźnię na bezdroża, czy wiesz hrabio co ztąd wyniknie?

„Będziesz miał syna, wnuka i t. d., który

zupełnie tak będzie myślał jak ja; to już nie podpada najmniejszej wątpliwości, zwłaszcza, że w umysłach już się zaczyna to przeobrażenie. Ten Potocki, jak się spodziewać, będzie miał także syna, i pewnego dnia powie mu z posępną powagą: słuchaj synu, zakazuję ci czytać książki twego dziada....

„Toby cię srodze zmartwiło kochany hrabio.“ —

Niewiem, czyli pełne nauki i bożej mądrości listy de Maistra sprowadziły Jana Potockiego na prostszą drogę? ale nie zdaje mi się; pyszna nauka i pyszniejsza filozofia nie odrazu ulega powadze chrześcijańskich mędrców; dopiero po pewnym przeciągu czasu, kiedy się wyczerpią jej krótkotrwałe zasoby, ustępuje miejsca żywszej prawdzie i czystszej nauce.— A jednak jakaż to ogromna szkoda dla naszej literatury i nauki, że Jan Potocki nie poprzestał na sławie swego kraju, że odrzucił język ojczysty, że tak mu się niegodnemi zdawały nasze skarby i pamiątki rodzinne! A przecież umysł pragnący owęj nieograniczonej wiedzy byłby i u nas dosyć miał do czynienia, co więcej, przez samo zagłębianie się w naszą przeszłość, przez poznanie jakimi drogami ple-

miona słowiańskie urabiały się i rosły w naród, jakie wpływy wychowały to społeczeństwo, co mu dawało moc i jedność życia, a co targało węzły, co władzę warowało, a co wątkowało—ileż mógł być przyczynić gruntownego światła Rzeczypospolitej, będącej wtenczas właśnie w tym stanie pasowania się między życiem a śmiercią, kiedy tysiące rad i doradców, widoków i systematów, a tylko jednego nie dostawało lekarstwa, coby wróciło zdrowie. —

Pozwoliłem sobie tego przypuszczenia, nie w tej myśli, abym miał wierzyć, że napisanie kilku, nawet kilkudziesięciu rozpraw i dzieł o historyi Rzeczypospolitej, mogło ją było ratować — ale zdawało mi się, że taka nauka, i taka bystrość umysłu, jaka znamionowała Potockiego, potrzebną była wśród tej wewnętrznej pracy przedsiębrananej przez naród. Wałęsanie się trąciło nawet prawie odstępstwem. A jednak nie jego to wina, lecz tych co mu dali wychowanie. Rzucony od młodu w ręce francuzkich nauczycieli, wożony po francuzkich akademiach, stracił ten instynkt wyspany z mlekiem, co każe pielęgnować własne gniazdko, i kochać wiarę ojców, choć



gdzieindziej rozkoszniejsze są gniazdka, a filozofowie tacy dowcipni.

Nie podnosiłbym tych niewczesnych żalów, gdybym nie miał przekonania o wielkiej stracie ztąd wynikłej dla naszego piśmiennictwa — a głównie gdy się zastanawiam, jakie życie, jaki polot fantazyi, jaka głębokość i prawda uczuć, przebija się w utworze, o którym mówić zamierzyłem.

Nie jest to żadna przesada, ale *Rękopis znaleziony w Saragossie* śmiało można policzyć do najoryginalniejszych utworów w rodzaju powieściowym, i postawić go obok *Złotego osła* Luciusza Apoleusza, Dekameronu, Nowellistów włoskich i hiszpańskich, więcej dobrym smakiem i ogromną wiedzą, będącą po stronie Jana Potockiego.

Wspomniałem już, że nie wiem czyli krajowe dzienniki pisały o tym romansie Jana Potockiego przy pierwszym jego wyjściu w tłumaczeniu polskim — mniemam jednak, że mało się nad nim zastanawiano, kiedy przy różnych uwagach nad romansami i powieściami, nie przytaczano go za doskonały wzór, za niewyczerpaną studnię do napisania stu tomów romansów, jakie zazwyczaj pisane bywają

gwoli codziennój konsumpcji tego towaru. Powodzenie *Rękopisu znalezionego w Saragossie* musiało wszakże być wcale niezłe, kiedy wydawca lipski wydał teraz drugą, ozdobną, sześciotomową edycję. Czytająca publiczność dowiodła tym razem dobrego smaku, rozkupując tę książkę, która ma tę własność do siebie, że podobnie jak wszystkie doskonałe utwory w rodzaju powieściowym, może być czytana po wielokroć razy, tak jak czytamy Dekameron, Heptameron, Donkichota, Gil-Blassa, Walter-Skota. Bogactwo szczegółów rzeczywistego i naukowego świata, upoetyzowane oryentalną fantazyą, poostrzone dowcipem, zaprawne urokiem opowiadania budzącego i utrzymującego nieustanny interes, przewija się w tym utworze zupełnie tak, jakbyś w kosmoramie patrzył na coraz zmieniające się sceny, odgrywane na tle widoków hiszpańskich, afrykańskich, włoskich, meksykańskich, a nawet w krainach duchów, wywołanych kabalistycznymi formułami, i tak uprzytomnionych, że wyobraźnia twoja nie przypuszcza na chwilę, żeby to mogło być złudzeniem. Był to wielki czarodziej ten Jan Potocki; w precyzyi, z jaką opowiada i maluje twory samój.

fantazyi, wiele ma podobieństwa z Hofmanem, z tą jednak różnicą, że niemiecki humorysta sam wierzył nakoniec w swoje hallucynacje, gdy przeciwnie Potocki nie pozbywał się swego trzeźwego filozofizmu, i jeżeli czytelnika jakimś nadprzyrodzonym zjawiskiem przeraził, lub natchnął w nim wiarę w stosunek zaświata z naszym padołem, nie omieszkał najskrupulatniej rozburzyć téj złudy wyjaśnieniem zbiegu nadzwyczajnych okoliczności, co mogły na to przypuszczenie naprowadzać.

W téj myśli ułożony jest nawet cały ten romans, którego treść chciałbym opowiedzieć, ale tylko w najgrubszych rysach; albowiem niema żadnego sposobu, ani streścić, ani poklasyfikować tego mnóstwa wchodzących osób co opowiadają historye swego życia, życia swoich przyjaciół, znajomych, aż do historyi wiecznego żyda. Czuł to i autor, kiedy sam się skrytykował przez usta tego geometry Velasqueza, co przysłuchując się nieskończonym opowiadaniom naczelnika cyganów, zmordowany coraz nową powieścią, wysnuwająca się z powieści, porobił sobie rubryki na tabliczkach, aby mógł wiedzieć co poczem idzie i do czego należy.

W ogóle pomysł do układu swego utworu wziął Potocki ze wzorów, jakie miał w tysiącu nocy i innych powieściach perskich lub arabskich; zaczém i Bokacyusz, i królowa Nawary i tylu innych poszło. Jednakowoż nie przestał na samym pretekście małej wagi do opowiadania swych powieści, ale wprowadził interesującego bohatera, którym jest młody Alfons Van Worden, rzucony w stek najdziwniejszych przygód. Tak tedy umiał zająć czytelnika w dwojaki sposób; raz osobami stającymi na pierwszym planie, których los gmatwa się i rozstrzyga, których charaktery doskonale utrzymane, nie zacierają się w steku tysiąca osób i zdarzeń; po drugie samemi opowiadaniem, gdzie nie rzadko można spotkać motiwa do całych romansów, i podziwiać sceny zadziwiającej świeżości.

Ależ starajny się skreślić główniejszą osnowę. Młody szlachcic walloński Alfons Van Worden, w którym płynęła po matce krew maurytańska Gomelezów, zostaje wyprawionym przez ojca na dwór madrycki. Dzielny i bogobojny młodzieniec opuszcza rodzinny zamek w Ardennach i wsiadłszy na okręt, przybija do Kadyxu, z kąd lądem dąży do kre-

su podróży. Na nieszczęście czy szczęście, obiera drogę przez góry Sierra Morena, i choć go gospodarz w Anduhar ostrzega o niebezpieczeństwach téj drogi, napastowanej przez złe duchy, rusza śmiało, lecz opuszczony przez mniej odważnych służących, dostaje się do oberży Venta Quemada, gdzie właśnie czytał ostrzegającą tablicę, aby żaden podróżny nie śmiał przepędzać w niej nocy. — Przestroga nie zmieszała nieustraszonego młodzieńca; postanowił nocować w pustej karczmie, gdzie jednak noc mu przyjemniej zeszła, niż się spodziewał, bo zajęchały dwie prześliczne księżniczki tunetańskie, które odkrywszy mu, że jest ich krewnym przez Gomelezów, zakochały się w nim odrazu, ubolewając tylko, że nie mogły zostać jego żonami, chybaby przeszedł na wiarę proroka, na co naturalnie bogobojny Alfons się wzdrygnął—ale mimo tego przysiągł im, że co zaszło między nimi wieczną pokryje tajemnicą. — Koniec końcem, po twardym ale bardzo rozkosznym śnie, gdy go zbudziło palące słońce, ujrzał się pod szubienicą między dwoma wisielcami. Figiel ten nieprzyjemne sprawił wrażenie i obudził w nim przekonanie, że był igraszką złych dnchów, wszakże

mimo tego nie zapomniał o przysiędze, i choć go w dalszym ciągu wystawiano na najmocniejsze próby, i na pokusy a namowy do przejścia na wiarę proroka, nie dał się ani namówić, ani nastraszyć. — Tryumfem wytrwałości naszego bohatera było przypuszczenie go do tajemnic tych gór, gdzie garstka Maurów z pokolenia Gomelezów od kilku wieków eksploatowała bogate kopalnie złota. Zamiarem starego Szejka było nawrócić najzłudniejszymi pokusami na wiarę proroka i dać mu tron w Tunecie, ale młodzieniec nie zgubił duszy; że zaś umiał dochować tajemnicy, przypuszczony został do podziału ogromnych skarbów wydobytych z kopalń. -- Takiem odkryciem skończyły się jego przygody w górach Sierra Morena, trwające przez dni siedmdziesiąt, poczem puścił się do Madrytu, gdzie spłynęły na niego zaszczyty i dostojenstwa.

To są ramy, w których mieści się nieskończona liczba powieści i zdarzeń, wymyślanych na uprzyjemnienie pobytu Alfonsowi, a głównie na przeciągnięcie go do islamizmu. Szczególniej historia wiecznego żyda, opowiadana przez niego samego, był bowiem i kabalista, który umiał go zakłębieniem sprowadzić, zmie-

rzała do podkopania w bohaterze wyobrażeń chrześcijańskich. — Autor rozwinął z tego powodu bogactwa swojej erudycji, lubo powiększej części czerpał je z bezbożnego dzieła Dupuis: *Origines des cultes*; szkoda tylko, że na zbijanie tych uczonych błędów użył tego oryginała geometrę Velasqueza, a nie naszego bohatera, który tylko oburzeniem się protestował.

Te ustępy są może najmniej zajmujące; za to mnóstwo innych hojnie rozsianych rysów co chwila wprowadza w zdumienie nad głęboką znajomością serca ludzkiego, i nad wysokim talentem twórczym, nigdy niezakłopotanym o wynalezienie jakiego niespodziewanego zwrotu lub rozwiązania. Zdawałoby się, że piszący prawie nie układał sobie planu, tylko pod piórem rodził się koncept, prawdziwie natchniony położeniem, jak to i w życiu nieraz bywa, gdy popadłszy w kłopot, lub sytuację nadzwyczajną, wytężonemi tylko siłami duszy, i nieobrachowanym wyskokiem, ratujemy się w nagłej potrzebie.

Długo byłoby wyliczać ustępy nacechowane temi oryginalnościami, tak zgodnemi z usposobieniem samegoż autora, który miał

być człowiekiem bardzo oryginalnym w całym swoim życiu trawionym jakąś gorączkową niespokojnością, pędzące go w niebezpieczne podróże na stepowiska Tartary i Chin, na puszcze Afryki, a nawet w nadpowietrzną żeglugę balonem, w tych czasach kiedy ten wynalazek był prawie w kolebce, i zagrażał największą katastrofą \*).

Radbym w tym moim opowiadaniu zwrócić uwagę czytelników przynajmniej na niektóre miejsca wybornie wykonanych obrazków, a zalecających się humorem, jakiegoby mu pozazdrościć mogli wszyscy humoryści dzisiejsi. Wybór tu jest trudny, bo to piękne, a to interesujące. to pełne świeżości, a to dowcipu, to wzrusza i unosi, owo bawi i nieraz

\*) W r. 1788 aeronauta Blanchard pokazywał doświadczenia z balonami w Warszawie; do tej napowietrznej podróży tak się zapalił Potocki, iż rzeczywiście w towarzystwie Blancharda i sługi swego Turczyńka wznosił się balonem z ogrodu pałacu Mniszchowskiego ponad miasto. Dał on tu dowód odwagi i krwi'zimnej, bo gdy rozpalony za nadto piecyk żelazny groził obróceniem w perzynę całego mechanizmu, a ów Turczynek przejęty obawą chciał wyskoczyć z łódki, Potocki z wycelowanym doń pistoletem zmusił go do pozostania i pomocy przy wyrzuceniu owego pieca. Zapędzeni wiatrem, niedaleko Woli wysiedli szczęśliwie.



do śmiechu pobudza. — Jakaż to przedziwna historia tego rozbójnika Zoto, zaczynająca się od historii jego własnego ojca, prowadzącego rzemiosło ruśnikarza w Benewencie! Prawdziwie trudno się oprzeć, żeby nie przytoczyć choć w skróceniu jednego ustępu, przypominającego najlepsze nowelle włoskie Fiorentina, Giraldi Cintio, lub Bokacego.

„We trzy lata po ożenieniu mego ojca, siostra młodsza mojej matki zaślubiła handlarza oliwą, nazwiskiem Lunardo, który na podarunek ślubny dał jej parę złotych kulczyków i takież łańcuszek na szyję. Matka moja wróciwszy z wesela, zdawała się być pogrążoną w głębokim smutku. Mąż chciał dowiedzieć się o przyczynie; ona długo wzbraniała się mu ją wyznać; nakoniec odkryła żal swój, że nie miała podobnych jak siostra kulczyków i łańcuszka. Ojciec mój nic na to nie odrzekł, tylko misterną roboty strzelbę, nad którą lat cztery pracował i cenił sobie trzysta neapolitańskich uncyj złota, wyniósł na miasto i sprzedał za 80 uncyj, za co kupił kulczyki i łańcuszek i przyniósł je żonie. Matka moja tegoż samego dnia poszła pochwalić się przed żoną Lunarda i niesłychanie ucieszyła się, gdy

znaleziono kulczyki jój daleko piękniejsze i bogatsze.

„W tydzień przysłała w odwiedzinach do matki mojej żona Lunarda, i miała warkocz przytwierdzony wielką złotą szpilką, zakończoną misternie wyrobioną rubinową różą. Ta róża zapuściła w serce mojej matki dotkliwie kolce. Znowu zaczęła się dręczyć, aż ojciec przyrzekł, że jój taką samą kupi; tymczasem taka szpilka kosztowała 45 uncyj, a on nie miał tyle pieniędzy ani sposobu zarobienia ich, więc popadł w ciężki smutek.

„Aż pewnego dnia wszedł do sklepu Condotiere tamtejszy, niejaki Grillo Monaldi, przynosząc pistolety do wyczyszczenia, widząc zaś posępność ojca mego, zapytał o przyczynę i ten mu wszystko wyjawiał. Na to Monaldi: Panie Zoto, jestem ci więcej winien, niżeli sam sądzisz; przed kilkoma dniami znaleziono mój sztylet w ciele człowieka zamordowanego na drodze do Neapolu. Sąd posłał ten sztylet do wszystkich zbrojowników, a ty wspaniało-myślnie oświadczyłeś, że go poraz pierwszy widzisz, jakkolwiek sztylet ten wychodził z twego warsztatu i mnie samemuś go sprzedał. — Ofiarował mu zatem 45 uncyj; ojciec

mój przyjął z wdzięcznością, i zaraz pobiegł kupić złotą szpilkę, w której tego samego dnia matka moja wystąpiła przed swoją dumną siostrą.

„Należało się spodziewać, że pani Lunardo znowu się ukaże w bogatszym jakim klejnocie, lecz inny powzięła zamiar; oto chciała pójść do kościoła z najętym lokajem w liberyi. Lunardo niesłychanie skąpy, przystawał łatwiej na kupno klejnotów, bo mniej było straty; ale zupełnie odmiennego był zdania, gdy go proszono o dwie uncye złota dla próżniaka, który nie wiedzieć czego przez pół godziny miał stać za ławką jego żony.

„Jednakże pani Lunardo tak go męczyła, że postanowił nakoniec dla oszczędności sam ubrać się w liberyę i pośpieszyć za żoną do kościoła. Odtąd znalazła, że mąż równie był zdolnym do tego rzemiosła, jak ktokolwiek inny, i w nadchodzące święta ukazała się w kościele z lokajem tego nowego rodzaju. Sąsiedzi śmiali się, ale ona przypisywała to uczuciu zazdrości.

„Owóż gdy zbliżała się do kościoła, dziady i baby zaczęli krzyczeć na całe gardło: Mira Lunarda che folu criadu de sua mugiera. Po-

nieważ jednak zebracy tylko do pewnego stopnia posuwają śmiałość swoją, przeto spokojnie weszła do kościoła, gdzie rozstąpiono się przed nią z wszelkiem poszanowaniem. Podano jej wodę święconą, posadzono w ławce, podczas gdy matka moja stała wraz z innymi kobietami w kruchcie.

„Za powrotem do domu matka moja zaczęła natychmiast obszywać stary niebieski kaftan mego ojca, starym galonem odprutym od ładownicy. Ojciec zapytał o przyczynę, na co opowiedziała mi postępek siostry i grzeczność jej męża. Lecz ojciec mój odparł, że nigdy się na to nie zdobędzie; wszelako następnej niedzieli najął za uncyę ugalowanego lokaja, który poszedł za matką moją do kościoła. Pani Lunardo musiała tym razem ustąpić siostrze.

„Tego samego dnia, po mszy, przyszedł do nas Monaldi i powiedział memu ojcu, że wie o dziwactwach jego żony. „Jeżeli spiesznie temu nie zaradzisz, będziesz nieszczęśliwym na całe życie; masz więc dwie drogi przed sobą: albo dać żonie porządną naukę, lub téż jąć się rzemiosła, któreby zaspokoili jej skłonność do wydatków. Chwycisz się pier-

wszego sposobu, ofiaruję ci moję laskę. której często używałem z nieboszczką moją małżonką. Nie jest to wprawdzie jedna z tych czarodziejskich lasek, które ujęte za oba końce obracają się w rękach i służą do odkrywania źródeł a nawet czasami i skarbów, ale jeżeli weźmiesz ją za jeden koniec, a drugi przyłożysz na plecy twojej żony, zaręczam, że wkrótce ją wyleczysz z tych grymasów. Z drugiej strony jeśli pragniesz zaspokoić wszelkie jej żądania, ofiaruję ci przyjaźń najdzielniejszych zuchów w całych Włoszech, którzy nateraz radzi przebywają w Benewencie, jako w mieście pogranicznym. Sądzę, że mnie rozumiesz; namyśl się i daj odpowiedź!“

„Monaldi położył swą laskę na warsztacie i odszedł. Tymczasem matka moja wróciła z lokajem wielce uradowana, lecz czekało ją niespodziewane przyjęcie. Ojciec pochwycił ją za ramię, i czarodziejską laską zaczął wykonywać rady Monaldegó. Matka padła zemdlona — małżonek przestraszył się, wyrzucił laskę i u nóg błagał przebaczenia.

„Nie pozostało mi nic innego jak donieść Monaldemu o małym skutku czarodziejskiej laski i prosić o drugi środek.— Monaldi na to:

Dziwi mnie, że nie mając serca ukarać własnej żony, myślisz, że się zdobędziesz na zastępywanie podróżnym na publicznej drodze. Wreszcie możemy się o tém przekonać; serce ludzkie składa się z tylu przeciwieństw. —

„Odtąd ojciec mój uzbrojony w szpadę i sztylet, z postacią zuchwałą, przechadzał się co wieczór pod galeryą Madonny. — Po dwóch tygodniach jakiś nieznany mu człowiek zbliżył się doń i rzekł: Oto sto uncyj złota, za pół godziny ujrzysz dwóch młodych ludzi z białymi piórami na kapeluszach. Zbliż się do nich i spytaj: który z Panów jest margrabią Feltri? — jeden z nich ci odpowie: ja nim jestem. Natenczas pchniesz go sztyletem, ale uważaj dobrze — w samo serce. — Mój ojciec wypełnił słowo w słowo dane mu polecenie — i został rozbójnikiem...:“

Przecudny ten kawałek malujący tak doskonałymi rysami walkę próżności niewieściej i słabości mężczyzny co nie może zwalczyć kobiecego grymasu, a z zimną krwią topi sztylet w piersi pierwszego przechodnia — jest tylko ustępem do téj przedziwnej historyi rodziny rozbójniczej, w której mały Zoto odgrywa rolę nieubłaganéj zemsty na takim samym jak

on malcu, tylko dziecku księcia. Z jednéj i z drugiéj strony prawdziwa zaciętość i walka demokracji z arystokracją.

Do ustępów najbardziej obfitujących w wyborną charakterystykę osób, i sceny wysokiéj Homilii, jest opowiadanie naczelnika Cyganów, jego przygoda z własnym ojcem, tak wielkim pedantem porządku, że jedynak jego nigdy nie mógł postać nogą nietylko w mieszkaniu, ale w domu ojcowskim, wszakże pewnego dnia ciotka wzięła go ze sobą, chcąc staremu zrobić niespodziankę — wchodzą do pokoju — niema nikogo; czekają więc na przybycie dziwaka; tymczasem chłopcu się nudzi i włazi na piec, gdzie stał kociel z atramentem; dziwak ten miał bowiem za największą przyjemność obdarzać wszystkich literatów madryckich atramentem przez siebie sporządzonym — słycać kroki za drzwiami: chłopak chce zeskoczyć i potrąciwszy, tłucze gliniany kociel, zalewając całą izbę czarną powodzią.. Nie było co robić jak umknąć i biedz, gdzie oczy poniosą!... Dziwne to przygody, których ten chłopak w świat samopas rzucony doświadczał! któryż z naszych dzisiejszych romansopisarzy ma coś tak oryginalnego, jak owe

psoty młodych uczniów, wyrządzone owemu świątobliwemu Teatynowi, który tak zwyciężko opiera się najniebezpieczniejszym pokusom?

Walka ta pocziwego zakonnika nietylko jest głęboko psychologiczną, ale i wzruszającą. Bokacy ani żaden z nowellistów dawnych nie byłby tak historii téj skończył, jak ją przeprowadził Potocki, w czém właśnie dowiódł niezmiernéj swéj wyższości.

A teraz ileż różnaitości w charakterach! ile tam pochwyconych rysów w głębokich jak widać, studyach nad ludźmi i światem! Co może być pociesniejszego i melancholичniejszego jak ten zapalony matematyk Don Henrico, któremu brat przybywający z dworu Ludwika XIV i nic nieumiejący, tylko stroić się i tańczyć sarabandę, porywa z przed nosa narzeczoną, i stopień pułkownika artyleryi! — Biedak nie śmie nawet upominać się, tylko przebolawszy ten cios, idzie na komendanta do Ceuty, gdzie nikt jego wielkich kombinacyj w umiejętności Cohorna lub Vaubana potrzebować nie będzie. — Lata goją największe rany — toż i rany Don Henryka przywrzały, ożenił się, miał syna i sam uczony, nie kazał



go nic uczyć, ciągle powtarzając: Synu, nie ci nie trzeba umieć, tylko sarabandę i menueta; pamiętając bowiem na własne piśmiectwa, których źródłem była sarabanda i maniery francuzkie, chciał jedynaka wychować do lepszej doli. — W powieści téj wyborna przychodzi scena, gdy jakiś zbieg Francuz prezentuje się pod tytułem markiza. — A umiesz walczyć tańczyć sarabandę? — Francuz za całą odpowiedź porywa skrzypeczki, gra i skacze. — Don Henrico nieposiada się w uniesieniu, że dostał przecie człowieka, który mu syna wyedukuje. — Doskonała satyra! prawdziwa, bo z życia wzięta...

Jeszcze jeden rys z tysiąca rysów. Jestto historia uczonego matematyka Diego Herwesa, a trzeba wiedzieć, że Potocki musiał wybornie znać nauki matematyczne, bo nieraz całe rozmowy i porównania układa z formuł algebraicznych. — Otóż ten Herwes wypracował dzieło w hiszpańskim języku, co było nowością, dzieło traktujące o lygarytmach i analizie, któremu dał tytuł: *„Odstonione tajemnice analizy wraz ze świadomością nieskończoności wszelkiego rozmiaru.“* Tytuł wprawdzie tajemniczy, ale rzecz nie bez wartości umiejętnej.

Budując wiele na pracy swojej, która miała mu stworzyć wyższy zawód w świecie, zebrał co miał funduszu na druk i dał rękopis do cenzury. Cenzorowie wydziału teologicznego zaczęli stawiać niektóre trudności, z powodu, że analiza ilości nieskończenie małych, zdawała się sprowadzać do atomów Epikura, którą to naukę kościół surowo potępił. Wytłumaczono im, że to chodziło o ilości oderwane, nie zaś o cząstki materyalne i cofnięto zaskarżenie. Z cenzury przeszło do drukarza—odbito wielki tom in 4to w 1000 egzemplarzach, który autorem kosztował 700 pistołów — gdy się zaś spodziewał wziąć za egzemplarz po trzy pistole, miał w nadziei 2300 pistołów czystego zysku. Cała edycya przeniosła się naturalnie do sklepu księgarza, który za pewnym ustąpionym sobie procentem miał zająć się sprzedażą książki. — Herwes tymczasem mieszka sobie w oberzy i czeka na pieniądze zbierające się u księgarza—jakoż wyczekawszy kilka tygodni, zgłasza się i odbiera odpowiedź, że jeszcze nie sprzedano ani jednego egzemplarza. Dotąd jest to historia zwyczajna wszystkich autorów; teraz następuje mniej zwy-

czajna, ale jednakowoż powtarzająca się i za naszych czasów, lubo pod innymi formami.

Herwes wróciwszy do gospody z pustą kieszenią, zastał na domiar nieszczęścia nadwornego alguazila, który kazał mu wsiąść do zamkniętego powozu, i zawiózł do wieży Segowskiej. Dziwném jest, że postępowano z geometrą jak gdyby z więźniem stanu, ale przyczyna tego była następująca: Egzemplarze wystawione w oknie u księgarza, wpadły w ręce kilku ciekawców, uczęszczających do jego sklepu. Jeden z nich przeczytawszy tytuł: Odsłonięte tajemnice analizy, rzekł, że musiał być jakiś paszkwil przeciw rządowi; drugi przypatrzwszy się bacznie tytułowi, dodał ze złośliwym uśmiechem, że niezawodnie była to satyra na Don Pedra Alanyez ministra skarbu, gdyż analiza była anagrammem nazwiska Alanyez; następnie zaś część tytułu o nieskończonościach rozmiaru t. j. tak o nieskończenie małych jak o nieskończenie wielkich, wyraźnie stosowała się do tego ministra, który w istocie materyalnie był nieskończenie małym, nieskończenie grubym, moralnie zaś nieskończenie wyniosłym i nieskończenie poziomym. Wkrótce wszyscy balwie-

rze a zn nimi cały lud nauczył się tych dowcipów na pamięć. Odtąd nie nazywano inaczej ministra Alanyeza, jak Senorem Analizą nieskończoności wszelkiego rozmiaru. — Doszło to do uszu dygnitarza, który nie wchodząc w bliższe szczegóły, kazał naprzód uwięzić autora, następnie skonfiskować wydanie. Dziś zapewne ministrowie są mniej urażliwi, a więcej światli jak Senor Analiza, ale za to jakżeż często trafia się słyszeć zwykłych czytelników, nawet liczących się do intelligencyi, tłumaczących sobie najprzewrotniej rzeczy samę przez się najprostsze! Czytać a rozumieć — wcale nie jest synonimem.

Otóż to co nadaje tak wysoką wartość téj książce Jana Potockiego, to, co jój zapewnia równą trwałość jak tworom Bokacego, Cervantesa, Lesaga, Fieldinga, Walter Skota; — chociaż z drugiej strony nie życzyłbym nikomu naśladować tak zawikłanego planu, jakiego Potocki trzyma się w swoim romansie; taki tam bowiem nawał osób i zdarzeń, że czytelnik najbystrzejszy nie mogąc ogarnąć całości, czuje się nieraz znużonym, i w gniewie cisnąłby książkę, gdyby za każdym zniecierpliwieniem się, nowa jaka powiastka czarownym

sposobem nie więziła jego ciekawości i uwagi. Jestto więc raczej niewyczerpany skarbiec powiastek, a nie całość obmyślana i rozumnie przeprowadzona, co dowodzi, że siła fantazyi górowała w Potockim nad innymi władzami duszy.

---

## IX.

### MONOGRAFIE HISTORYCZNE I ARCHEOLOGIA

*Cmentarz Powązkowski i Wzory Sztuki średniowiecznej.*

---

Zdawałoby się biorąc rzeczy w logicznym porządku, że z dobrze poznanych i przetrwionych części, można dopiero całość zupełną układać; z poznania drobnych sprężyn, i na pozór oderwanych faktów, z ocenienia działających w nich charakterów wyprowadzać ogólne spostrzeżenia i wnioski odnoszące się do całych epok. Przynajmniej w pisaniu historii warunek ten byłby powinien niezbędny; bo jakżeż można ręczyć za pewność wniosku, jak uznać trafność poglądu, jeżeli niema da-

nych, jeżeli prócz gołego nazwiska człowieka, nie będziemy o nim więcej wiedzieli jak, że taki lub inny tytuł nosił, urząd piastował? jeżeli o jakim wypadku sądzić mamy li tylko z oficjalnej relacji, a nie z wrażenia i wpływu jaki mógł na społeczeństwie zrobić.

Tymczasem zazwyczaj dzieje się przeciwnie. Ogólne historye idą przed historiami pojedynczych narodów; te, poprzedzają dzieje osobnych okresów i panowań szczególnych; ostatnie zaś zwiastują dopiero obrazy historyczne pewnych głośniejszych traktatów, wojen i innych dziejowych zjawisk, a między tymi i monografie pojedynczych ludzi.

Wsteczne to na pozór postępowanie, ma jednak swoją uzasadnioną przyczynę, swoją konieczność. Naród się bowiem pierwój interesuje poznaniem ogólnych dziejów świata, którego jest częścią, pierwój zwraca uwagę na koleje jakie przebył, pierwój czerpie pojęcie i uczucie wielkości swych przeznaczeń, niż pyta o dokładność szczegółów; bo szczegóły albo mu są wiadome z żywo przechowującej się tradycyi, albo téż zapisane w aktach domowych, ukrywanych zazdrośnie. W późniejszych dopiero latach dziejowego życia narodu,

kiedy pewne epoki odbiegły w głąb, kiedy się wiele tradycyjnych włókien porwało, rozpoczyna się na obrazie wielkimi rysami oznaczonym, miniaturowa praca szczegółów: wypełniają się puste lub nieokreślone miejsca, barwią się twarze, światło w cień zaziera, występują całe postacie ożywione i działające.

Tego rodzaju praca odpowiada zupełnie potrzebom dzisiejszej badawczości usiłującej wszystko wyprowadzić na widownię, aby odkryć najtajemniejsze sprężyny poruszające wypadkami i ludźmi, i o nich sąd potomny, sąd historii wydawać. Nieoceniony jest to przywilej, niezmierna potęga, przed którą staje wszystko: wielkie i małe, rozumne i ciemne, szlachetne i podłe, zbrodnicze i cnotliwe, aby odebrało swoją nagrodę złą czy dobrą, — a współczesnym na wszelkich stopniach hierarchii społecznej niosło ostrzeżenie i przykład. Szczególniej co do bliższego poznajomienia się z osobami stojącymi bądź u steru władzy, bądź mającymi wpływ na sprawy kraju, zwyczajnymi lub wyjątkowymi, statystami, hetmanami, mężami kościoła, myślicielami i uczonymi, wiek dzisiejszy zrobił i robi wiele. Coraz wyłania się jaka postać z mroków dziejowych,



której rysy uzupełnione i uwydatnione a często i powiększone tém szkłem, co patrzy *con amore* na swój przedmiot, przybliża nam odległe czasy i ledwo nieuobecnia.

Historyczne prace przyjąwszy u nas ten kierunek mają tę niepoślednią zasługę, że dzisiejsze pokolenia wiążą z umarłymi, zapomnianymi pokoleniami; ludzki węzeł uczuć namiętności, czynów, pragnień, ofiar i cierpień, zadzierzga się na nowo, pasma duchowe splatają się, i co minęło nie ginie, ale ożywia się w pamięci. — Ile zaś to podnosi moralną stronę, łatwo zrozumieć. — Charakter wielki, niezłomny, jednego odlewu, ma zawsze coś sympatycznego, udzielającego się, i że tak powiem: zaraźliwego, w dobrém znaczeniu. Stary to pewnik jeszcze od czasów Plutarcha, od tego Plutarcha w którego żywotach nietyle podziwiam jego znajomość starożytności, w obyczajach nawyknieniach i najskrytszych postępkach życia bohaterów, ile wielkie uszanowanie dla nieszczęścia i gorącą miłość cnoty — bo cnota i nieszczęście to główne przedmioty jego czci po bogach.

Monografia historyczna ma więc dziś podwójne znaczenie: moralne i scjentyficzne; sa-

na bowiem umiejętność zyskuje na tém, gdy w dramacie dziejowym pokazują się nam, nie grobowe tablice z gołym imieniem, ale potęgi dające się z każdej strony obejrzeć.

Guizot rozumiejący zadanie historyka, bo sam i wiele mówił i zrobił w tym przedmiocie, niedarmo przywiązał niepoślednią wagę do monografii powiadając: *des monographies étudiées avec soin me paraissent le moyen le plus sûr, pour faire à l'histoire de véritables progrès.*

Ze monografie są widocznym postępem w nauce historii, że wiele przyczyniają się do rozbudzenia dla niej interesu powszechniejszego, możnaby to i u nas pokazać kilkoma przykładami.

Monografia M. Balińskiego, Szajnoch, Bartoszewicza, M. Dzieduszyckiego, który w swoim Zbigniewie Oleśnickim i Skardze, zamknął prawie dwa wieki kościoła i Rzeczypospolitej, i zapaleniem tych dwóch pochodni rozjaśnił głębiej mroki przeszłości niż ktokolwiek przed nim uczynił; — monografie te mówię, nietylko zpoufaliły nas z przeszłością, ale wlały w nią interes rzetelniejszy bo zasadzony na tym wrodzonym pociągu do śledzenia tajemnic natury ludzkiej, czy ze strony

serca, czy charakteru, czy umysłu czy fantazyi. Ukazanie jednej całkowitej postaci, pociąga za sobą poznanie innych, a zatem i poznanie wszystkiego, co je otaczało w społecznym świecie; ztąd przez ściślejsze badania poprzestające na mniejszym obrębie zdobywają się pewniki, odsłania się prawda, ten najwyższy cel historyi, ta prawda co ma jeszcze tę własność, że bardziej ku sobie pociąga niż najartystyczniejsze zmyślenie.

W rzeczy samej nic większego nie dodaje uroku historyi, jak prawda wydobyta z pomroku czasów, zawikłań, nienawiści, namiętnych uprzedzeń — bo daje rzeczywistość taką, jaka była, jaka jest i będzie. Obok prawdy historycznej, jakże bladym jest każdy romans! — Dziwić się potrzeba, że smak publiczny nad historję romans przenosi, jakby to w historyi nie znalazło się to wszystko co się mieści w romansie? W niej przecież spotykamy życie ludzkie, życie domowe, wewnętrzne, z najrozmaitszemi i najdramatyczniejszymi scenami, widzimy serce ludzkie z najżywszemi i najtkliwszemi najmiętnościami, a wszystko skąpane w nieporównanym uroku, bo w uroku rzeczywistości. Podziwiam i unoszę się jak każdy

inny nad władzą wyobraźni i fantazyi, władzą twórczą, wywodzącą z niczego postacie, które ożywia, barwi, każe i żyć i ruszać się, — rozsypującą skarby duszy po najzawilszych kolejach losu; lecz obok tych położmy osoby, co żyły rzeczywiście, co przeszły nie przez urojone różgi losu, co wrzały gorączką krwi, namiętnością, co doznały radości i smutków, rozkoszy i cierpień robiących na nas zazwyczaj tak potężne wrażenie — a przekonamy się, że osoby takie pokazane z bliska, poufale, w świetle dnia, daleko silniej przyciągną i głębiej utkwią w duszy, niż najokrzyczańsze utwory poetyczne i romansowe. — Jeżeli istota żyjąca, to dzieło rąk bożych ukaże nam się w rysach przypominających boskie jój pochodzenie, natenczas piękniejszą jest niż najzawołanszy płód wyobraźni człowieczej. Pan Bóg bowiem największy podobność ze wszystkich poetów. — Romantyczność przygód, uczuć romansowość, charakterów idealność, spotyka się nieraz w rzeczywistości — dlaczegóżby nie mogła się znaleźć pod piórem historyka? Dzieje namiętności ludzkiej dawniejsze są przecież niż oficjalne traktaty, kongresy, manifesty, uniwersały, rozprawy sejmowe i t. d. —

w nich téż bywa właściwe źródło tych publicznych objawów tak zazwyczaj suchych, a zapisywanych tak skrzątnie w rocznikach narodów.

Monografie, jak mówiłem, najwięcej nastęrczają sposobności odsłonięcia stron wewnętrznych, psychicznych człowieka, przez co nietylko dostarczają historii ogólnej gotowych i zupełnych postaci i robią ją prawdziwym dramatem życia, ale nadto podnoszą czytelnika do téj wysokości moralnej na jakiej stał mąż będący tych studyów przedmiotem.

Z tego wynika pewna konieczność w wyborze osób mających niepospolite w historii znaczenie, a sądem świata uznanych za coś wyższego, przodkującego społeczeństwu czynami poświęceń się, pracy, nauki, charakterem, męstwem, bystrością organizacyjną, wytrwalością niedającą się złamać przeszkodom.

Widzimy w składzie towarzyskim miliony jednostek pełniących obowiązek włożony na nie pozycją, stanem, majątkiem, powołaniem, pełniących źle lub dobrze — w to nie wchodzi — ale zawsze krążących w tym deptaku, który zowiemy życiem powszedniem — zasługi ich lub grzechy osądzi sędzia Najwyższy —

w Niebie—osądzą ich znowu po ludzku krewni, znajomi, najbliżsi sąsiedzi, ale kraj cały, a jeszcze mniej świat, nie może się nimi tak interesować, żeby aż potrzebował wiedzieć wszystkie szczegóły ich życia prywatnego, nie wychodzące poza obręb zwyczajności. Takie i tym podobne jednostki, choćby im powznoszono monumenta trwalsze od spiżu, nie miałyby nigdy prawa zajmować naszej uwagi, chyba samemi monumentami, gdyby te miały wartość dzieł sztuki. — Dla téj przyczyny, mniemam dość naturalnej, pisarze monografij historycznych wymijają zazwyczaj te jednostki, co nie przerastają głową społeczną rzeszy, co w niej toną jak krople w morzu, a wysadzają takie, co były głośne za żywota, co zostawiły po sobie niezatarte ślady instytucyj, dzieł pisanych, malowanych, rzeźbionych, dobroczynnych zakła dów, wynalazków, ulepszeń, co wreszcie życiem swoim przyłożyli się bądź do wielkości Rzeczypospolitej, bądź do jéj upadku. Scena historyi — to wielka arena, a nie teatr maryonetek.

Dziwi to więc, kiedy u nas, w tak jeszcze niedoskonałej gałęzi historycznej, natrafiamy na produkcyę monograficzne uwłaczające nie-

jako temu rodzajowi. Czemuż zawsze z użyciem, chodzi u nas w parze nadużycie? Czemu mając zaledwo kilka monografij godnych tego nazwiska, wyraja się zaraz cały szereg monografij osób zupełnie, lub bardzo mało znanych narodowi, osób o których wprawdzie dało się napisać wiele, bo o kimże coś napisać niemożna? ale nie idzie za tém, aby na wielkiej szali zasług, stały one wyżej od tych, co nie znalazły swoich biografów, lub co mają szczęście, czy nieszczęście, spoczywać snem wiecznym gdzieindziej jak na Powązkowskim cmentarzu.

Chcę tu mówić o publikacyi znanego i zasłużonego pisarza naszego K. W. Wójcickiego, która drugi już rok zeszytami wychodzi pod tytułem: *Cmentarz Powązkowski pod Warszawą*.

Dziennikarskie nekrologi dotyczące się osób mniej więcej znanych w kołach towarzyskich a niktających codziennie, dają się zupełnie usprawiedliwić — bo pamięć ich, choćby najjaskrawszym wieńcem pochwał nakryła, nie ma najczęściej pretensyi do dłuższego trwania w pamięci narodu, jak żywot dwudziestoceterogodzinny zadrukowanego na wszystkie boki arkusza. Lecz aby dzieło osobne, aby pióro

tak zasłużone poświęcać wspomnieniom tylu nieboszczyków, skazanych z natury swój na zapomnienie, — nie widzę wyższej przyczyny, chyba tę, że autor chciał nam dać przedstawienie średniowiecznego tańca umarłych; *danse Macabre*, gdzie śmierć z kosą zmiata głowy ukoronowane, umitrzone i utrefione zarówno z nieczesanemi — chudego pachółka z senatorem, klechę z prałatem, żołnierza z hetmanem. Zapewne widok to budujący i nauczający o marności rzeczy ludzkich, obracających się w proch niwellującej nicości — ale zdaje mi się, że nie o to szło szanownemu autorowi Powązkowskiego cmentarza. Chciał on poprostu wziąć pochop do napisania żywotów tych osób, co spoczęły na Powązkach, a zasługami życia zarobiły sobie na pamięć u potomności.

Wszakżeż wyraźnie odstępuje od téj myśli, gdy powiada w przednowie, że cmentarz Powązkowski jest jak księga zawsze otwarta, której pierwsze kartki on zaczyna, „a czas je dalej i obca już ręka zapisywać będzie,“ — więc potrzeba rozumieć, że nie same wybrane żywoty zasłużonych osób, ale stek nekrologów, pisanych zapewne w żalu przez kre-



wnych, przyjaciół, znajomych, znajdzie tu swoje pomieszczenie, zwyczajnie jak na cmentarzu.

Dogodny to jest pomysł dla serca i dla wielu miłości własnych, ale niebogacący literatury naszej interesującymi i ważnymi biografiami.

Wiedząc tylko z posłuchu o tej publikacji szanownego Wójcickiego, wyobrażałem sobie, że on pochop weźmie do swoich żywotów z tych tylko grobów co kryją znamienitsze kości, i że kręśląc takie wspomnienia, da coś w rodzaju skończonych monografij. Tymczasem gdy mnie doszły wydane dotąd zeszyty, przekonałem się, że to jest zbiór nekrologów, gdzie między stkiem imion znanych na jednej może ulicy, a dziś nieobchodzących nikogo, chyba najbliższych potomków w prostej linii, (którzy jeśli mają pamięć serca, to im przypominać nietrzeba), zawadzi się tu i ówdzie głośniejszy i zasłużeńszy nieboszczyk. Jakoż na paręset nazwisk kilka ledwo, jak: Malczeskiego, Żółkiewskiego, Dmochowskiego Fr., Godebskiego, Majewskiego, Skorochoda, Ludwika Osińskiego, Kruszyńskiego Jana, Krzyżanowskiego Adryana, Ra-

koweckiego i kilku Pijarów, może mieć dla ogółu czytelników żywszy interes; chociaż nie wiem dlaczego przy bogactwie biograficznych zasobów autora, znajdujemy zamiast pełnych żywotów, tylko słabe wzmianki i szczegółki dopełniające to, co już z kądinąd ma być wiadome. Zamiast tedy takich ułamek, jakie podane są o Malczeskim, Godebskim, Dmochowskim i o wielu innych, miło byłoby nam czytać doskonale wyczerpnięte żywoty. Natomiast autor innéj chwyta się metody; do lada wzmianki o jakiej osobie (niespoczywającej na cmentarzu Powązkowskim) dodaje długie przypiski, co wszystko tworzy prawdziwą mieszaninę, magazyn biograficzny, z którego zawsze można czerpać materiał, ale który nie tworzy umiejętnie i artystowsko pomyślanego i obrobionego dzieła.

Oto mi właśnie idzie i na téj kładę nacisk: że zamiast udatnéj całości, znalazłem mieszaninę nieprzetrawionych notat. — Choć z drugiey strony nie mogę powiedzieć, żeby autor nie trzymał się pewnego planu; owszem trzyma się z ścisłością prawie do stroniczości posuniętą, a to szczególnie z tego względu, że wyraźnie stroni od nagrobków

tych osób co miały tytuły, zaszczyty, wysokie urzędy cywilne lub wojskowe, a nawet duchowne; za to szeroko rozwodzi się o Dziubińskim, Zakrzewskim teorbanicie, Widackim i tym podobnych; co zaś się tyczy artystów dramatycznych i wszelkiego rodzaju muzyków, tym już poświęca bardzo szczegółowe opisy i zatrzymuje się dłużej, niż to wszystko warte. — Przyznam się jednak, że daleko więcej zainteresowałaby mnie biografia prymasa Poniatowskiego, Stanisława, Antoniego, Franciszka Potockich, nie wchodzę pochwalna, czy ganiąca, ale zawsze odnośna do ludzi, których, jak mówi Pasek: w kaszy zjeść nie można. Niechęć przesądzać, lecz może być, że autor nie miał materyałów do napisania o nich; chociaż na brak materyałów względem innych nieboszczyków wcale narzekać nie może. Ta sprawiedliwość oddana cieniem byłaby rzeczywiście na swoim miejscu; surowo sądzić ich można, pomijać zaś lub niczem zbywać — nie godzi się.

Teraz jeżeli mi wolno jeszcze jedną zrobić uwagę — powiem, iż nie tyle zapewne ze złej chęci autora porodziły się te różne niestosowności, ile wola jego uległa źle obmyślanemu

planowi; który go wciągał w niepotrzebne gadaniny o dawno zapomnianych ludziach. — Obszerne wiadomości historyczne, obfitość studjów, mogły być naprowadzić szanownego Wójcickiego na pomysł szczęśliwszy, a odpowiadający dwom zarazem celom. Komuż, jeżeli nie jemu przystało obdarzyć kraj zbiorem starych monumentów, rozsypanych po kościołach ziemi naszej? Byłaby to spuścizna wzięta wprost po Starowolskim, lecz podniesiona krytyką historyczną i uzupełniona środkami dzisiejszej sztuki; co zaś do trudu zbierania napisów i rysunków, takowy wyrównywałby móżolnej a mniej wdzięcznej pracy około opisywania żywotów powązkowskich nieboszczyków, których powiększej części można było nie ruszać, gdy tak sobie spokojnie odpoczywali na łonie wieczności. Że dzieło podobne nie przedstawiałoby nadzwyczajnych trudności, wiemy ztąd, iż znaczna część grobowych pomników obrobioną lub spisaną została w monografiach różnych miast jak: Krakowa, Warszawy, Lwowa, Poznania, Tarnowa, Wilna, Przemyśla, oraz w wycieczkach przedsiębiorzonych przez naszych archeologów. — Zapewne niejeden napis może być mylnie podany,

niejedno wytłumaczenie fałszywe, a historyczny domysł płonny; lecz zawsze tyle jest zrobionego, że dodawszy poprawki, i to co opuszczoném zostało, łatwo dałaby się wspaniała całość ułożyć.—Zebranie podobnych materyałów nie podpadałoby nawet wielkim trudnościom; bo cóż łatwiejszego jak zobowiązać tu i owdzie z miejscem obeznane, a historycznej nauce nieobce osoby, ażeby wiernie kopiowały napisy kamieni grobowych, jeżeli napis jest z nowszych czasów, lub robiły odciski z nich, jeżeli kamień sięga 15go, 14go lub 13go wieku, lub nakoniec wzywały pomocy dobrych rysowników do zdjęcia monumentu, jeżeli tenże zasługuje na to pod względem sztuki. Archiwa radzieckie, kościelne mogłyby nieraz przybyć w pomoc z niejedną historyczną skazówką, tyczącą się nagrobka; tym sposobem zyskiwałyby się dla historyi publicznej i familijnej ciekawe, a pewne skazówki, przeciw którym nie śmiałyby nikt dotknięty czy nieukontentowany niedostateczną pochwałą protestować, chyba archeolog lub historyk za pomyłkę lub niedokładność. — Pióro historyka miałoby także piękne pole rozwinąć swój lot ilekroć trąciłoby o święte lub wielkie prochy jakiego

bohatera narodu, a czytelnik znalazłby jeszcze tę niezrównaną przyjemność, że pytałby dobrze odwzorowanych rysów śpiącego snem kamiennym bohatera, o potwierdzenie tych dzieł i myśli, jakie o nim zanotowała historia. Ta przeszłość narodu w monumentach, co znikają codzien, co w większej połowie znikły już ze świątnic — tworzyłaby rzecz można, źródłowy dokument do historii naszej. Dotąd posługiwano się zazwyczaj Starowskim, choć jego spis napełniony tylą myłkami przepisywaczy, choć w nim opuszczone są prawie wszystkie napisy gotyckie, których paleografi ówczesni czytać już nie umieli, czy nie chcieli. Praca ta sama prosi się, aby ją podjęto; i dziwię się, jakim sposobem z tą miłością do starożytnych zabytków tak dziś hucznie otrębywaną, tak exploatowaną na wszystkie boki, nikt się nie zabrał do niej, nikt ją nie uznał za potrzebniejszą za naglejszą, niż publikację *Wzorów sztuki średniowiecznej*; które to wzory świadczą wprawdzie o bogactwie pradziadów, a nawet niekiedy o dobrym ich smaku, ale jeszcze nie dają świadectwa, żeby wszystkie miały być owocem sztuki wylęglój na naszej ziemi. — Kto potrafi zaręczyć, że każda monstrancya, ka-

zdy kielich, każda broń, każdy naszyjnik, klejnot, rzeźba, obraz, zbroja, umieszczone tamże, były dziełem polskiego złotnika, płatnerza, rzeźbiarza, malarza, i t. p.? Nie chcę tu bynajmniej uwłaczać szlachetnemu pomysłowi wydawców Wzorów sztuki średniowiecznej, ale do tego zmierzam, że każde położenie ma swoje naglejsze potrzeby, że kto, z przeproszeniem, butów nie ma, nie powinien sobie sprawiać złotych rękawiczek. Toż w stanie dzisiejszym naszej ogólnej krajowej kultury, powinniśmy unikać zbytkowych przedsięwzięć, czyli takich, co przystoja li narodom rozwijającym się samodzielnie na prawach ciągłego doskonalenia się w administracyi, gospodarstwie, umiejętnościach, sztuce, przemyśle i fabrykach; przejmowanie bowiem ostatecznych rezultatów kultury od narodów wysoko stojących w cywilizacyi, i zaszczepianie ich na nieprzygotowanym do tego gruncie, przybiera znaczenie kaprysu mody, pochlebiać może dumie narodowej, ale nie czyni narodu bogatszym w rzetelną zdobycz, wynikłą z ciągłej pracy i usiłowań. Francuzi bardzo wiele dzieł poprzedniczo wydali, ozdobnych i nieozdobnych, zanim przyszło im na myśl publi-

kować: *Le moyen âge et la Renaissance*; u nas nie było nic przygotowawczego, i odrazu zdobyliśmy się na to samo, jakbyśmy chcieli pokazać światu: patrzcie i u nas są zabytki sztuki nieustępujące francuzkim, i u nas są artyści, co je powtórzyć potrafią złotem i farbami chromolitografii! — Tymczasem zapomniano o tém, że Francuzi mając dzieła ściśle umiejętność, w których obrobili i roztępnęli różne gałęzie sztuki w rozmaitych wiekowych przejawach, a wszystkie zabytki wprzód zdeterminowali, ocenili, zamknęli w porządnym systemacie, wynikły z charakteru tych zabytków — dopiero pomyśleli o dziele więcej przystępnym dla téj massy czytelników, co nie poświęca się wyłącznie archeologii, lub historii sztuki, coby rada zakosztować owocu badań, bez współudziału w jego uprawie i pielęgnowaniu. Takiego rodzaju dziełem, jest właśnie *Le moyen âge* — które znowu porodziło nasze *Wzory sztuki średniowiecznej*. Ilekroć toż rozmyślałem sam w sobie, a i drugich pytałem o zdanie, jaki cel jest tego zbiorowego i przepysznego dzieła: jaki wpływ mieć może na naszą kulturę, w czém przyczyni się do wyświecenia przeszłości; czy będzie kluczem do determino-



wania i ocenienia zabytków starożytnych; czy nam da lepiej poznać życie domowe przodków, stan rzeźby, malarstwa, rzemiosł, fabryk? Nie umiałem sobie i mnie nie umiano coś więcej odpowiedzieć, jak tylko: że Wzory sztuki średniowiecznej, mogą się niezmiernie przydać naszym malarzom i pisarzom powieści, będącym często w kłopotcie, jak ubrać swoich bohaterów, na czém ich posadzić, jak uzbroić itp.

Przyznam się, że dużo zachodu i kosztu dla tak małej dogodności, zwłaszcza że czy poecie, czy malarzowi nie na wiele się przyda biegłość archeologiczna, jeżeli tak jeden jak drugi nie mają poczucia i znajomości wewnętrznego człowieka, jeżeli jeden i drugi nie rozumieją ducha minionych wieków.

Takie to mniej więcej zdanie formowano sobie o celu i znaczeniu publikacji *Wzorów*—gdyż samego ucieszenia wzroku, lub pochełpienia się bogactwem, nie mogą liczyć do celów.—Przyczyną a jedna, dla której nie umiemy sobie zdać sprawy z tych dawnych zabytków, odkopiowanych z takim przepychem i sumiennością, tkwi, zdaniem mojem, nie w samym dziele, którego intencja była najzaszczytniejsza, ale w tém, że nikt po dziś dzień nie umie

sobie odpowiedzieć na pytanie: jaką jest sztuka polska, i w czém jój charakter odrębny?

Ambarasujące to pytanie jeden tylko Sobieszczański najwięcej objaśnił przez zgromadzenie i z grubsza uporządkowanie wszelkich zabytków starożytnój Polski tak w architekturze, jak rzeźbie, malarstwie, wyrobach, sprzętach i t. p. — Dzieło jego — to ojczyście muzeum, w którym pokazuje co znalazł w naszej ziemi — co zachowały podania i opisy — i dając przykład jak dalej iść należy, nie sili się rozwiązać zagadki — ale po prostu materiał archeologiczny gromadzi, ogląda i porównywa. Gdyby jego przykładem dalej prowadzono tę pracę na skromny przedsięwzięty rozmiar, możebyśmy i doszli nakoniec tych głównych, a wyrazistych znamion sztuki polskiej, którą zapowiadamy *a priori*, nie mając pewności, czy były jakie znamiona osobne odróżniające sztukę polską od włoskiej, niemieckiej i t. p. Nie podlega bowiem najmniejszej wątpliwości, że z nabytkami obcej cywilizacji, przychodzącej do nas z różnych stron, przychodził i popęd do sztuki — ale pytanie zawsze zostaje nierozstrzygnięte: czy na przedchrześcijańskiej płoncie szczepione uczucia i pojęcia artysty-

czne znoszone z cudzych krajów, przybierały z czasem jaki słowiański charakter?

Gdyby szanowni wydawcy *Wzorów sztuki średniowiecznej w Polsce* w dołączonych opisach do rycin, tłumaczyli każdy wzór, czyli zabytek sztuki, w sposób uczący nas, w czym są cechy sztuki polskiej i gdzie ich upatrywać należy, i jaką ideę wyrażają, co symbolizują? natenczas niktby nie śmiał i nie potrzebował pytać o wyjaśnienie celu publikacyi, historyk każdy zabytek związałby zaraz z epoką jego powstania i miałby wyobrażenie o stopniu kultury— artysta zaś wierząc, że pod tą firmą wyrażał się duch narodu, rozmyślałby i tworzył sobie pojęcia o kierunkach narodowej sztuki, które mogłyby niejako zastąpić tradycją, tę tradycją tak trudną do odzyskania, iż niektórzy przypuszczają, że jój nigdy nie było. Przypadkowie tylko wpadłem na tę materję i zatrzymałem się dłużej, nie żeby ją wyczerpać do dna — lecz że mi dostarczała ważnego argumentu o niestosowném przyswajaniu sobie ostatecznych wyników obcej cywilizacyi i kultury—czyli o tych forsowanych skokach, które mogą zdumiewać, ale rzetelnego postępu nie dają; raz że nie są wyrazem

żadnej potrzeby rzeczywistszój, po drugie, że tylko to nosi znamie własności narodu, co z niego wychodzi i na jego ziemi dojrzewa.

Poszło to jak mniemam, z potraconego projektu o wydaniu nagrobków — który, acz się tak prosty wydaje a tak dostępny, że tylko poń rękę wyciągnąć — czemuż ciągle był wymijany dla jakicheś wyrafinowanie szczytnych celów sztuki, których dotąd na horyzoncie naszym dopatrzeć się trudno.?

---

## X.

### SZTUKA POLSKA I SZTUKI PIĘKNE W POLSCE.

*Słownik malarzów Rastawieckiego i Pieśni ludu Kolberga.*

---

Dopiero od niewielu lat zaczęto u nas pisać o sztuce, szczególnie malarskiej, i to w sposób okazujący ogólne zajęcie się tym przedmiotem, co przekonywa o pewnym spopularyzowaniu się pojęć artystycznych.

To rozprawianie o sztuce gruntowne lub błędne, a najczęściej błędne, bo słabość ludzka więcej ma pociągu do rzeczy, której nie rozumie, kazałoby domniemywać się, że duch narodu uczuwa rzeczywistą potrzebę wypowiedzieć to pędzlem lub dłutem, czego jeszcze

niezdołał wypowiedzieć żywém i pisaném słowem.

Dążności téj nie możnaby nic a nic zarzuścić, jako odpowiadającej zwykłym warunkom rozwijającej się cywilizacyi; zachodzi tylko małe pytanie, czy w dzisiejszym stanie cywilizacyi wszystko odbywa się drogą instynktów wrodzonych, czy téż bywa przygotowane sztucznymi środkami?

Odpowiadając na to winienem zrobić drugie pytanie: co się działo ze sztuką w Grecyi, Rzymie i wiekach średnich, kiedy nie było gazet, ani osobnych artystycznych dzienników, ani drukowanych ksiązek o estetyce i o dziejach sztuki?

Oto działo się bardzo dobrze, bo jakoś wtedy rodziły się utwory nietylko zyskujące powszechny oklask w danéj chwili, ale i do dziś trwające jako wzór nieśmiertelny. Ustna pochwała znawców, entuzjazm rzeszy, wyrokował o dziele. Ztąd sztukmistrz zdobywał się na coś takiego, co zupełnie trafiało do ducha i wyobraźni narodu, co nosiło piętno i charakter zewnętrzny i wewnętrzny. Przy takiém usposobieniu, nie mógł on już hołdować żadnym zbiorowym teoryom, które dopiero wy-

łęły się w tak zwanych akademiach co czerpiąc z pewnych uznanych już wzorów, przestały czerpać z wiecznie świeżego źródła natury i ducha ludzkiego. Odkąd sztuka stała się świecką, czyli odkąd wyłamała się z pod władzy wszystko napełniającego ducha, odtąd zaczęła hołdować formie i znalazła się w kłopotcie i niemożności napełnienia jęj duchem, co się tém tłumaczy, że formę łatwo znaleźć, ale ducha pożyczyć trudno, kiedy go w piersi niema.

Otóż to są tak zwane sztuczne środki, któremi dzisiaj najwięcej posługują się i ci co piszą o sztuce i ci co ją uprawiają.

Pierwsi zazwyczaj niechcąc pozostać w tyle za tem, co się w innych narodach robi, uznają potrzebę pobudzać do uprawy różnych gałęzi sztuki; wychodzą bowiem z téj zasady, że aby postęp był zupełny, trzeba pielęgnować wszystkie owoce cywilizacyi. — Lecz w tym przypadku wyścigają najczęściej wrodzoną zdolność i czynność narodu, który niezdołwszy się jeszcze na płody godne historyi, już ma swoję historyę. Co do samych sztukmistrzów, ci będąc pod naciskiem opinii, rzucają się w zawód najczęściej bez usposobień du-

chowych, często bez wrodzonych zdolności, i przyswajając sobie obce formy i style, nabywając więcej lub mniej biegłości, że tak powiem rzemieślniczej, dostarczają wyrobów, ale ojczystej nie bogacą sztuki.

Ten sposób postępowania, nieodrodne dziecko dzisiejszej epoki analitycznej i eklektycznej, często nasuwa powątpiewania uwłaczające nie tylko zdolnościom, ale i duchowi narodu; bo jeżeli ten sam naród dowiódł twórczości swojej bądź w poezyi, bądź w wymowie, nie idzie zatém, aby duch jego nie mógł być już produkcyjnym w sztuce plastycznej. Przykłady czerpane z pochodzenia narodowego w historii, nic tu nie dowodzą, a przynajmniej nierozcinają stanowczo pytania; — rzecz bowiem pewna, iż pomimo całej świetności niektórych historycznych okresów pędzących cywilizacyjny ruch do najwyższych szczytów, mogło im nie dostawać tych właśnie warunków, co jedynie i wyłącznie zrodzeniu się i rozwojowi sztuki sprzyjają. Dzieje powszechne zachowały nam bijący przykład w Semickich narodach, u których niekwitło nigdy ani malarstwo ani rzeźba, pomimo, że wysoki stan ich cywilizacji miał wszelkie prawo do-



wieść twórczości swojej i na tém polu. Czemu to przypisać? Oto wyobrażeniu religijnemu, które zabraniało współubiegać się z Twórcą w dziele tworzenia istot, mogących cześć Bogu należną odbierać. Nie brakło więc owym narodom ani twórczych sił ducha, ani zdolności tworzenia, ale przeszkadzał warunek przywiązany do natury ich cywilizacyi. Na téjże zasadzie i historii polskiego narodu wzięta w najbujniejszej chwili szesnastego wieku, nie może świadczyć za nieudolnością wrodzoną naszemu plemieniu do sztuk plastycznych. Rycerski, polityczno-sejmujący, religijnie-polemizujący stan szlachecki, nie miał czasu zajmować się sztukami pięknymi; żywe słowo i czyn, absorbujące najżywotniejszą stronę ducha, wystarczały potrzebie; na wznoszenie i ozdabianie zaś świątyń pańskich robiono pobożne fundacye, i dość na tém; orężna szlachta umiała zrobić ofiarę z majątku, ale nie troszczyła się o to, czy Polak, czy Włoch czy Niemiec będzie murował, rzeźbił, malował. — W miarę wielkości funduszu starano się o sławniejszych lub mniej sławnych majstrów, w miarę gęściejszych fundacyi i krzewiącego się przepychu, cisnęli się zagraniczni kunstmi-

strze, a będąc zazwyczaj stanu mieszczańskiego, osiadali po miastach i wstępowali do cechów. Sztuka więc krajowa w dzisiejszym pojęciu wyrobić się nie mogła, bo ta część narodu co przechowywała tradycje, co czynami pisała historję, co życie Rzeczypospolitej skupiała w sobie wyłącznie, co bogactw szukała w roli, a sławy na polach bitew, ta się nie rozumiała na sławie artystowskiej, nie była zdolną do niezbędnej sedenteryi, ani też czuła potrzeby tłómaczyć to pędzlem lub dźwiękiem, co mogła publicznie wypowiedzieć słowem, lub napisać czynami. Wszędzie gdzieindziej, tak zwany stan pośredni, z krwi jednoplemiennęj, pielęgnował sztukę i robił ją tem samem narodową: u nas miasta przypuszczone tylko w rzeczach podrzędniejszych, jak rzemiosła i handel do ogólnego życia i ruchu, osiadłe zazwyczaj przez obcych przychodniów, mogły mieć rzemieślnicze bractwa i cechy malarzy i snycerzy, ale nie miały wyzwolonych w dzisiejszym pojęciu artystów, coby się wznieść mogli do wysokości narodowego ducha, i uznali się czynną jednostką w wielkich sprawach Rzeczypospolitej. Że sztuki piękne były u nas exotyczną rośliną, że

samodzielnie nie wystrzeliły na rodzinnym gruncie, przyczyną jest nie jakaś wrodzona niezdolność, ale skład społeczeństwa uorganizowanego na warunkach mniej przyjaznych temu rodzajowi twórczości. Dziś przeto z upadkiem tych warunków, z przeobrażeniem się tak uderzającym narodowego żywiołu, sztuki piękne coraz więcej zyskują adeptów, i naród zaczyna coraz więcej rozumieć ten język, którym uczucia swoje tłómaczy. Jestto zatem nowy rodzaj, w którym próbuje siłą twórczych nowy język, którym uczucia swoje tłómaczy. Kiedy Grecy pieśnią i czynem wypowiedzieli pierwszy nawał uczuć, a zapragnęli cześć swoją bogom okazać, nieśli im w darze malowidła i posągi: każde państwo stawiało w Delfach budynek i nazywało go swoim *skarbcem*, bo tam składano obrazy przedstawiające ich najsławniejsze zwycięstwa i stawiano posągi mężów zasługujących na najdroższą pamięć. Aczkolwiek zatem zwrot ten umysłów odpowiednio dzisiejszym kierunkom ducha, przygotowany bywa sztucznymi środkami piszących o sztuce, niemniej jednak wypływa z instynktowego pociągu, z potrzeby rzeczywistej. Jak we wszelkich początkach, tak i tu dają

się postrzegać liczne niedostatki: ślepe naśladownictwo, ciasnota akademicznych teorii, gonienie za formami, a nie za zgłębieniem ducha — jednakże nie można powiedzieć, żeby niezaczęto już odgadywać pędzlem tego języka, jaki się stanie kiedyś rzetelną naszą własnością.

Bardzo znakomite pióro w artykułach o *Sztuce Polskiej* rzuciło wiele powątpiewań co do przyszłości sztuki w naszym kraju. Piszący zasadził się głównie na tém, że z dawien dawna, a szczególnie w najświetniejszych chwilach Rzeczypospolitej nie sympatyzowano u nas z sztukami pięknymi. Chwilę tę przypadającą na czasy Zygmunta Jagiellonów tak kreśli: „Przepełniona i kipiąca życiem czara, wszystkie wtenczas u nas zalewała brzegi; krew gorąca i cheiwa czynów była wciąż tętnem mocnym a przyspieszonym; rozbudzone, a spotęgowane siły narodowe szukały sobie wszędzie pola do działania i wyrzucania się: wszędzie widać jakiś demoniczny i nieprzeparty popęd do spróbowania wszystkiego, do zawierzenia się wszystkiemu, do mierzenia się ze wszystkiem! Jeżeli więc kiedykolwiek, to wtenczas zaprawdę była dla

uas pora i sposobność doświadczenia sił naszych także w rzeźbie i malarstwie... Zachęty były tak wielkie i powszechnie, przykłady tak bliskie i liczne! — Dürer się prawie o Polskę ocierał \*), z Flamandyą tyleśmy w tym wieku mieli stosunków i związków; a Włochy, te Włochy, gdzie właśnie wówczas tworzył Rafael i Michał Anioł, Tycyan i Weronez, były prawdziwą Mekką, do którejśmy w celu nauki i oglądy tłumnie i niestanannie odbywali pielgrzymki. A jednak nawet i wówczas nieokazaliśmy do owych sztuk plastycznych ani powołania *ani nawet pociągu!*“

Zdaje mi się, że powyżej przytoczonymi uwagami o warunkach niesprzyjających sztuce plastycznej, starałem się usunąć to zaprzeczenie wszelkiego powołania do sztuk plastycznych w naszym narodzie: co zaś do twierdzenia, że nie mieliśmy nawet żadnego do nich *pociągu*; dobitniej jeszcze zaprzeczyć można historycznymi faktami. Szczególniej w XV wieku kościoły nasze, jak pokazują ślady, ozdobione były przedniemi rzeźba-

\*) Właściwie brat Albrechta Jan Dürer, który przyozdabiał malowaniami Zamek Krakowski.

mi w ołtarzach, które późniejszy zepsuty smak niby klasyczny, poniszczył; o wybornych bizantyńskich malowaniach świadczy kaplica św. Krzyża w katedrze krakowskiej, o dziełach dłuta niepospolitych, mówią nagrobki królów polskich na Wawelu; opisy i lustracje przechowały pamięć bogactw sztuki nagromadzonych po zamkach. Rastawiecki w przedmowie do drugiego tomu swego *Słownika Malarzów polskich* tak właśnie wyraża się o *pociągu* do sztuk pięknych Jagiellońskich Zygmunatów: „Zygmunt I sztuk wielki miłośnik i znawca, sprowadzał biegłych w każdym zawodzie artystów z Włoch i Niemiec. – Jan Jakób Caraglio odlewał mu medale, rzeźbił na kamieniu drogin; Jan Maryan Mosca wykonywał dzieła medalierskie i rzeźbiarskie; w tych ostatnich pracował Jan z Sienny, Bartłomiej florentczyk zarazem budowniczy, Mikołaj de Castiglione i kilku innych Włochów; Melchior Boys tudzież Albert Glim, raczej Hanns Klimm zowiący się, zdatni goldszlegerowie czyli złotnicy norymberscy, odrabiali królowi w srebrze wspaniałe ołtarzowe obrazy, Jan Dürer brat Albrechta ozdobił malarską pracą zamek krakowski, Suesa z Norymbergi

obrazy wzbogaciły główniejsze krakowskie kościoły. — Używał też król nie mało i własnych krajowych malarzy, z których kilku tytułowali się nadwornymi, co wyższej ich zdolności domniemywać się upoważnia. — Prowadzenie Zygmunta Augusta pod względem sztuk, było tylko przedłużeniem rządów ojcowskich. Król ten szczególniejsze miał zamiłowanie w kamieniach drogich i rzeźbionych, w kunsztownych wyrobach ze złota i srebra. Arcyzasobny a do podziwu bogaty gabinet jego takowych to kosztowności, oglądał i opisał nuncyusz papieżki w Polsce r. 1560 Buoniovanni biskup Kamerynu, przydając iż znalazł skarb ów króla polskiego, przewyższający wszystkie w tym rodzaju weneckie i papieżkie dostatki. Opis ten po włosku wydrukował Sab. Ciampi (Bibl. oritica).“

Przytoczenia te najoczywiściej dowodzą, równie jak wysoka wartość zabytków jeszcze tu ówdzie pozostałych, między innymi kaplicy Zygmuntofskiej na Zamku, że był pociąg i smak niezmyślony do sztuk pięknych; co więcej, publikacje takie jak: *Wzory sztuki średniowiecznej w Polsce*, jak *Słownik malarzów polskich* trzechtomowe dzieło, nic innego nie

dowodzą, tylko, że u nas od najdawniejszych czasów kochano się w utworach artyzmu. — Z tego powodu wyrażenie się autora rozprawki o *Sztuce polskiej: że w owych czasach (odrodzenia) nieokazaliśmy do sztuk plastycznych ani powołania, ani pociągu* — zda mi się być nie ze wszystkiém słuszne, bo przecież faktom i dowodom tak mozolnie, tak skrętnie zebranych przez naszych archeologów a i dochowanym zabytkom trudno zaprzeczyć. Nie mogło téż być inaczej; zważając bowiem na stosunki z Włochami i zachodem, na wymagania cywilizacyjnych postępów i nowości, i nasza kultura musiała układać się do równowagi, przybierając to wszystko co należy do warunków narodu zostającym na wyższym szczeblu wykształcenia. Owszem mieliśmy pociąg do sztuk plastycznych, jak również do wszystkiego co stanowiło polor zagranicy, ale nie idzie zatém, żebyśmy samodzielnie piastowali kwiat sztuki, żeby on z ducha narodu wystrzelał, jak wystrzeliły instytucye, życie społeczne i w pewnym względzie literatura. Dlatego bardzo słuszne są wątpliwości autora rozprawy, które jak na wstępie powiada, nasunęły mu się przez pytanie postawione w Towarzystwie



naukowym krakowskim (w oddziale archeologii): *Czy istnieje sztuka polska, a jeśli istnieje, jakie są jej cechy?* — O ile mi wiadomo Towarzystwo dotąd nierozwiązało téj kwestyi ani *pro* ani *contra*, co zapewne ztąd pochodzi, że w niemałym znajduje się kłopotcie coś stanowczego o tém istnieniu i tych cechach sztuki powiedzieć, kiedy ze wszystkich prac w tym przedmiocie przedsiębranych, nigdzie niemożna się domacać tych rysów charakterystycznych jakie powinny być własnością sztuki polskiej. Podobnie jak znawca za jednym rzutem oka poznaje czy malowidło jest bizanckie, niemieckie, włoskie, lub flamandzkie, tak powinienby poznawać charakter naszych obrazów nie z tego wszelako, że na nich zobaczy długie proporce i skrzydła hussarzy, delije i kiciaste czapki lub kontusze, lecz z ducha w jakim każda kompozycya oddana. W rysach tę szkołę odznaczających musiałby przemawiać osobny koloryt właściwy północnemu niebu, typowy wyraz fizyonomii, stósowna naturalność grup, i owa treść żywotna nie dająca się niczém określić, a pojętna li tylko temu, kto się wykarmił mlekiem matki, powietrzem téj ziemi,

podaniami, obyczajem, wiarą — a wreszcie, i to najgłówniejsza, na utworach naszej sztuki powinno być piętno ideału, który, jak pięknie autor rozprawki powiada: „zawsze wybranych, choć nie zawsze szczęśliwych znamionuje, powinny one mieć ten wyższy polot, który w zaświacie szuka rodzinnego sobie gniazda, tę potęgę natchnień, która nieraz ziemię utraci, ale rajską dziedzinę ułudy, jako swoją zadzierży.“ — Czy i kiedy potrafimy przykładami wykazać te wszystkie znamiona, jakie powinnyby cechować sztukę polską: nie mógłbym powiedzieć, zwłaszcza, że szczere wyznanie więcéj tu waży, niż najpiękniejsza ułuda. Szczerze zaś wyznać potrzeba, iż pomimo pięknego pocztu malarzy uznanych za naszych, bo liczba ich tysiąca dochodzi, nie natrafiłem jeszcze na żaden utwór ich pędzla, o którym z ręką na piersi, mógłbym wyrzec: oto jest dzieło mistrza! ono skupia w sobie wszystkie tajemnice naszego ducha, wytyka drogę przyszłości, i jest tak nasze własne, że go nam nikt zaprzeczyć nie zdoła.

Historia więc malarstwa polskiego, zebrana w trzecztomowym słowniku p. Rastawieckiego,

nie jest bynajmniej historią téj sztuki, ale zbiorem nazwisk malarzy, tém chyba sławnych, że sztuki ojczystej niepotrafili stworzyć. To zatém, co wszystkie inne narody uprawiające sztukę plastyczną, posiadają jako grunt i powagę, to jest tradycyę, nie powiem, żeby było naszym udziałem. Pracowite w téj materji dzieła, dowodzą najczęściej przeciwnéj rzeczy, jak zamierzały dowieść. Słownik ów malarzy, któremu największa należy się pochwała za staranne zebranie najdrobniejszych szczegółów i wskazówek, mogących rozweselić czoło niejednego zbieracza i archeologa, przeprowadza czytelnika przez tysiąc nazwisk, z których większa połowa, goła jak dłoń, nie przynosi ze sobą żadnego dzieła, coby o ich zdolności świadczyło, żadnego tytułu, prócz że w księgach magistratualnych lub cechowych stało: *pictor*. I liczba pozostałych pięciuset, byłaby jeszcze dość imponująca, gdyby w niej się mieścili sami krajowcy; lecz i tu większa część i to najznamienitszych, jest przybyszami z Włoch, Francji, Niemiec, Flandryi, bo zaledwie Nagler lub Fueselli wspomniał, iż ten lub ów przejeżdżał przez Polskę, już zaciągnięty został w szereg na-

szych malarzy. Wyborny to zresztą odwet za kilku znakomitych ludzi, jakich nam cudzoziemcy tak niesłusznie zaprzeczają. — Koniec końców na nasz rachunek bardzo mało zostaje. Ledwie kilka uznanych jak: Stoss, Ziarnko, Leksycki, Czechowicz, a nadewszystko i tylko Czechowicz, dalej Smuglewicz, Orłowski, Stachowicz... I możnaż na tych wątych filarach budować gmach ojczystej sztuki? Czy podobna upatrzeć w tém inną jaką tradycyę, prócz téj, że naród — i tu znowu cytuję słowo autora rozprawy — że naród ani przez cały ogólny ciąg swoich dziejów, ani w szczególnych epokach największego rozwielenia, nie objawiał najmniejszego powołania do plastycznej twórczości, i w téj dziedzinie ani jednego nie wydał dzieła, któreby zostało w wiekowej pamięci dziejów a powszechniej czci pokoleń. Świadectwo o sztuce dać tylko mogą utwory sztuki, a nie najwymowniejsze i najpracowitsze pisma. Gdyby do dni naszych nie przechowały się były posągi, fryzy partenonu, torsy i szczątki budownictwa greckiego, mielibyśmy słabe tylko wyobrażenie o sztuce plastycznej Hellady, a choćby natomiast znalazł się jaki spis wszystkich rzeźbiarzy i budowniczych,

jakie estetyczne uwagi nad płodami kunsztu starożytnego, nigdyby nie zastąpiło to braku dzieł dłuta lub pędzla. Najlepszy na to dowód, że dziś o malowidłach owych Apellesów, Zeuxisów i innych nie mamy prawie żadnego wyobrażenia, a przynajmniej bardzo małe, jakie można mieć li przez analogię odkrytych w Pompei i Herkulanum ściennych malowideł... Dlatego w tradycyi sztuki ma to tylko wagę co istnieje, co dotykamy zmysłami, co na nas wpływ wywiera. Próżna więc usilność wmawiać w siebie, że mamy historię sztuki, a tém samém tradycję żywą. Toż i dzieło p. Rastawieckiego nieprzystając być bardzo ważnym zbiorem wskazówek dla archeologa i kolekcjonisty, nie obudza w nas wiary, żeśmy mogli mieć i mieli narodowe malarstwo, bo obrachowawszy ściśle, p. Rastawiecki daleko więcej zrobił dla historii malarstwa w Polsce, niż sama sztuka malarska zrobiła, aby zasłużyć na swoją historię.

Niechciałbym wcale przez zdanie wypowiedziane wyżej, być źle zrozumianym, ale nie od owych luźnych rzeczników, co to sami nigdy nic nie zrobiwszy w życiu, czują się zawsze w obowiązku pisać po dziennikach sza-

bliste artykuły podejmowane w obronie narodowych ilustracji; tacy z podpisem lub bez podpisu małą różnicę robią na szali prawdy. Tém więcéj pragnę być zrozumianym—tak od autora Słownika, któremu oddaję wszelką słuszność pod względem tego, co w Słowniku założył sobie dokonać, jak od artystów, którym nie przeto odejmuję przeszłość sztuk pięknych w Polsce, aby ich serce napełnić zwątpieniem w przyszłość, lecz żeby niepotrzebném widmem i niejedną ztąd wyprowadzoną fałszywą teorią nie bałamucili sobie wyobrażeń, i nadaremnie nie gonili za tém, czego niema, a co właśnie potrzeba stworzyć. — Na pozór zdaje się nic, powołać do nieśmiertelności tysiąc imion wszelkiego gatunku piktorów—bo jużćie drukowany papier ma także swoją nieśmiertelność—lecz w istocie, obudza to w dzisiejszém pokoleniu malujących i rzeźbiących (najczęściéj nie z powołania), tak silną porcyę zarozumienia i pychy, iż więcéj im nie trzeba, jak chwycić za pędzel i paletę, aby znaleźć się na liście przekazanych drogiéj pamięci narodu, ma się rozumieć, jeżeli ktoś z równą skrupulatnością zechce dopełniać trzycetomowy Słownik malarzy polskich. — Otóż w tém wi-

dzę najwybitniejszy wpływ tradycji sztuki, ale czy korzystny? nie sądzę. — Wiem tylko, że więcej należy do środków ekscytujących, jak uczących i kształcących — z gołych nazwisk, z wycieńczeń tytułów obrazów, z rzadkich biografii, trudno nabyć pojęcia o duchu i charakterze tylu dzieł rozlicznych. Vasari ten Plutarch artystów, może zapalić, bo admiruje i opisuje arcytwory, na które patrzył, i kreśli ludzi, których znał. Powołanie tylu niepowołanych na reprezentantów historii sztuki krajowej, ośmiela tylko najrozpaczliwszą mierność, lecz choćby i nie ten wzgląd, może urojony — to samo już odwoływanie się do antedecencyi sztuki polskiej, której właściwie nie było, gmatwa zdrową myśl i poczucie, stawia niejako zaporę twórczości samodzielnej, tak niezbędnej, jeżeli na prawdę myślimy w sztuce plastycznej tam stanąć, gdzieśmy stanęli w poezji.

O ile tedy z powyższych przyczyn uważam podobne rozpalenie się dla sztuki najniższego stopnia środkiem artycyjalnym, o tyle znów wierzę, że dla każdego narodu przycho-  
dzą pewne momenta, w których próbuje się swoich w tym rodzaju tworzenia. Że i my

bliżsi go niż dalsi jesteśmy, dowodzą niektóre szczęśliwe próby uzdolnionych artystów, dowodzi sympatya publiczności dla płodów malarstwa i rzeźby. Utrzymują niektórzy, iż z powodu niedostatku u nas szkół malarskich i akademii sztuk pięknych, nie możemy myśleć, aby się sztuka wzniosła do tego stopnia jak gdzieindziej, że nasi artyści wyjeżdżając za granicę na naukę, tracą tym sposobem uczucia i pojęcia rodzinnego charakteru. Lecz na to znajdują odpowiedź w wyborném piśmie Waldmüllera (*Andeutungen zur Belebung der vaterländischen bildenden Kunst*), który z gruntowném doświadczeniem rzeczy dowodzi, jak właśnie akademie przyczyniły się do upadku sztuki, że tylko szkoły mistrzów podnieść ją mogą jedynie. I słusznie; są bowiem rzeczy, jak mówi, w świecie estetycznym, których się nigdy wyuczyć nie można, i o których stosowności lub niestosowności w praktyce daleko trafniej ostrzega nas wewnętrzne uczucie, niż wszystkie prawidła, niedające się do wszystkiego zastosować. Że nauka w szkole mistrza odebrana, usposabia gruntownie nawet do innych rodzajów twórczości leżących poza obrębem malarstwa, przekonywa przykład



Michała Anioła. Wykształcony na malarza w mistrzowskiej szkole Ghirlandaja, równie po mistrzowsku zdolny był używać dłuta, a kopiała św. Piotra, Kapitol, pałac farnezych, *porta pia*, i *Vigna Giulio* dają mu w potomności sławę niezrównanego architekta. Ma się rozumieć, że aby w takiej szkole skorzystać, trzeba przynieść do niej siłę twórczą, uczucie charakteru i piękności—bez tych przymiotów będą tylko takie same nazwiska, z jakich się składa słownik trzylitowy naszych malarzy; temi zaś przymiotami obdarzony młodzian, na tej tylko drodze nieakademicznej, może rozwinać w sobie i spotęgować dary wrodzone. Niepodlega bowiem najmniejszej wątpliwości, że gdyby akademickie nauczanie było właściwym środkiem tworzenia kunstmistrzów w wysokim tego słowa znaczeniu, natenczas sztuka w Europie musiałaby stać na takim szczycie, na jakim nie stała jeszcze nigdy; gdy nie ma jednego kraju, gdzieby nie było akademii malarstwa i rzeźby; a jednakowoż przekonujemy się, że z każdą ćwiercią wieku sztuka zostająca pod opieką akademii, coraz bardziej chromieje i tylko tam się krzepi, gdzie się od nich odstrychnęła.

Pytanie to wybornie i dowodnie rozstrzygnął Waldmüller, i właśnie przyszedł jakby w pomoc naszemu położeniu pod tym względem; bo chociaż nie mamy jeszcze z takim talentem mistrzów, coby otwarli swoje własne szkoły, zawsze wskazana jest droga, którą do prawdziwej umiejętności przyjsćby można.

Kilkakroć przytaczany artykuł o *Sztuce polskiej* zamieszcza wymowne ustępy, dążące do przekonania nas, że sztuka plastyczna, to dziecko pięknych stref południowych, nie może kwitnąć na północy. „W surowym klimacie, stępione zmysły, powiada autor, ani tak czujne są na zewnętrzne wrażenia, ani tak wprawne do ich zewnętrznego ukształcenia; wszystko co w Grecyi i Włoszech było naturą, we Francyi i Niemczech będzie tylko kulturą; mozolnym nabytkiem, co tam przyrodzoną własnością.“ W dalszym ciągu twierdzi, jako narodom północnym odjęty jest dar kształtowania plastycznego, który szczęśliwym i prawie wyłącznym jest udziałem Hellady i Italii, dlatego powinni pozostać w spiritualnych sferach sztuki, w których dźwięk jedyną jest formą uczucia, a słowo jedynym ciałem myśli,

czyli powinni przestać na muzyce i poezyi. Nakoniec zastosowując to do naszego borealnego kraju, powiada, że marmury smutnie odbijają od półrocznego śniegu, a wzrok nie-nawykły do światła i słońca, nie jest zdolny oddać téj nieskończonej skali farb i półcieni, która wciąż drży w powietrzu; uczucie kolorów ścina się pod szarą powłoką naszego horyzontu, a nagota, na której tylko kształcą się artyści, nie jest podobną przy głodzie i wstydzie.

Wszystkie te wyrzuty bardzo umiejętnie zestawione i wycelowane na to, aby nam odjąć wszelką nadzieję marzenia nawet o sztukach plastycznych — nie są przecież tak usprawiedliwione i umotywowane, żeby się nic nie dało przeciw temu twierdzeniu powiedzieć.

Podobnie jak poezya ludów północnych może iść o pierwsze z poezją uprzywilejowanych w dziedzinie twórczości ludów południowych, chociaż charakterem się różni — tak samo i sztuka północna, a zatém i nasza, może być różną charakterem od greckiej i włoskiej, szczególnie co do przepychu form, lecz za to wynagradzać te niedostatki siłą spirytualną.

Już nawet wieki średnie rozwiązały tę trudność, gdy często w utworach niecelujących pięknnością form, umieszczał artysta piękność duchową, wewnętrzną, czyli ten wyraz, który potężniej przemawia niż efektowo wystudowane kształty i bogactwo kolorów. To zwycięstwo myśli nad formą, ducha nad ciałem, długo może zastępywać nam upośledzonym dzieciom mrozów i śniegów, te korzyści jakie artysta pełnemi dłońmi zbiera pod pięknym niebem Italii. Nie będzie to nawet mozolnym nabytkiem, bo wielkim czuciem obdarzony mistrz z taką łatwością wytłumaczy świat swój wewnętrzny pędzlem, z jaką południowy bogactwo otaczających go przedmiotów nieba i ziemi w marmur lub na płótno przelewa. Świetność, bujność kompozycyi tryszczącej życiem, czar kształtów, gra tęczyowych barw, mogą nie wchodzić w charakterystykę sztuki północnej, za to inne przymioty, płynące z głębokości wewnętrznej, jak: odgadnienie charakterów, cieniowanie namiętności, wyraz zaświatowej zadumy, szczęścia w cierpieniu, przytém olbrzymiość i szorstkość natury tak jeszcze dziewiczo pięknej, nadadzą sztuce od-

mienne piętno — bo nieskończenie — choć inaczej utrzymuje hrabia w panu Tadeuszu:

do obrazu trzeba

Punktów widzenia, grupy, ansemlu i nieba;  
Nieba włoskiego!

Zapewne, może to będzie *gust Soplicowski*, jak mówi pani Telimena, ztémwszystkiém sztuka plastyczna w tych rysach i w tym duchu czerpiąca, stać się może równie oryginalną na północy, jak oryginalną jest na południu. Zresztą przychodzi mi jedna uwaga, której lekko zbyć nie można. Autor rozprawy z wielkim naciskiem przypisuje jednym tylko Grekom i Włochom zdolność do plastycznego tworzenia; ludziom zaś północy „brak przedewszystkiém téj intuicyi form, téj tajemniczej morfopedyi, która od kolebki prawie, bez jego wiedzy i woli, kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca.“ — Przyznaję, że zdolność tworzenia plastycznie wrodzoną jest u południowców, „których duch — jak mówi — nawpół się z materyi wyzwala, a nawpół jój ulega, nawet się w niej rozkoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiém jest kształtem, a uczucie, ledwiebyśmy nie rzekli, dotknięciem.“ — Jednakowoż wrodzone te ar-

tystyczne przymioty nie są żadną rękojmą, żeby jedynie na południu sztuka kwitnąć mogła — wszak dzisiaj ani w Grecyi, ani we Włoszech nie kwitnie, co dowodzi, że są pewne szczęśliwe chwile spływające na narody, aby tym sposobem objawiały bujność wewnętrznego i zewnętrznego życia — chwila przechodzi, a z nią wrodzona zdolność utracą siłę produkcyjną. — Wierzę i przekonany jestem, że Grecyi i Włosi poczynali w sztuce, że tak powiem: przez intuicyę — lecz czy twórczość ludów północnych drogą rozmysłu i zagłębiania się nie może nam odsłonić równie cudownych tajemnic serca człowieka i natury? Sama nagość cielesna, co ma być tak niezbędnym warunkiem do wykształcenia zmysłu artystowskiego, mniej tu potrzebna na północy, z wyjątkiem studyów anatomicznych, bo tu więcej nagota ducha przeważa, czyli: głębokość myśli i uczucia, zapanować musi nad formą, uszlachetnić ją, idealnie zrobić piękną, choćby pod najnieestetyczniejszym łachmanem lub siermięgą.

To pewna, że sztuka niekoniecznie jest przywiązana do jednego kraju, ani do jednego miejsca. Duch jój wieje od wschodu do zachodu, i wszędzie znajduje powołanych do

oddania mu hołdu, byle wprzód był poznany. Źródła na chrzest dla wybrańców tryszcze w każdej strefie — tém źródłem: prawdą i naturą — toż i Słowianie równie jak sięgnęli po mistrzostwo słowa, tak sięgnąć mogą po mistrzostwo w sztuce plastycznej — jeżeli bowiem w jednym dali rękojmię, dadzą i w drugim — bogactwo duchowe zawsze jest jedno i całe, tylko różne bywają wurunki, wpływające na objaw jego w dziełach twórczych.

Zdało mi się rzeczą potrzebną dotknąć téj walki wywiązanej między zaciętymi propagatorami sztuk pięknych u nas, a autorem dzielnej rozprawki: *Sztuka Polska*, który rzuca im rękawicę i aby zgniótł ich odrazu, neguje przeszłość i przyszłość malarstwa i rzeźby. Natarcie było bardzo na swojém miejscu, szczególnie na dzienniki, które zapalając się do każdego z przysłych Rafaelów, próbujących sił swoich w lada szkicu albumowym, do lada koncerciku wykonanego przed świątem Druskiennickim — do lada tenoru lub sopranu, podziwianego po rogatki warszawskie: sprawiały wrażenie, szczególnie za granicą, że musi to być jakiś raj ziemski, gdzie od rana do nocy o niczém nie ma myśleć ani co robić,

tylko admirować obrazy, klaskać wirtuozom, i unosić się w siódme nieba na fali tonów.... Z drugiej jednak strony zanegowanie sztuki było nieco za przesadne, tak dalece, że czułem się w obowiązku wystąpić nie jako pośrednik, bo tu nie idzie o pogodzenie zwąśnionych, ale jako zwolennik prawdy tak niezmiernie pożądanéj, zwłaszcza gdy bałamucenie opinii nie wchodzi u nas nawet w poczet półgrzeszków. — Zdania tego jednak nie stosuję do autora artykułu: *Sztuka polska*; bo pobudką do napisania téj diatryby przeciw artystom i rzecznikom artyzmu, było słuszne; oburzenie się jego na mimowolne może, lecz dość naiwne schlebianie nietylko całej artystomanii, jaka nas ogarnęła, ale i tym fałszywym wyobrażeniom, co miłość sztuki chcą nam dać za jedyny cel życia.

Ponieważ ustęp ten poświęciłem uwagom o Sztukach, nie od rzeczy będzie wciągnąć w tę całość nowo wydane dzieło: *Pieśni Ludu Polskiego*, zebrane przez Oskara Kolberga \*). Zdawało się, że od niejakiego czasu odstąpiła już naszych zbieraczy chęć gonienia za pieśnią

\*) Warszawa nakładem wydawcy, w Drukarni Jaworskiego. 1857. Serya I.



gminną, i podnoszenia jęj do wysokości doskonałych płodów sztuki. Takl był bowiem w pewnym okresie szal do tych pieśni, że tylko porównać go można z dzisiejszym entuzjazmem do nazwisk polskich piktorów, Bogu ducha winnych. Przeminęła gorączka, a co było dobrego przeszło już w wieczystą dzierzawę ojczystej literatury. Pojawienie się nowego Zbioru pieśni ludu dokonanego przez p. Kolberga, byłoby niekonieczną nowością, gdyby nie przynosiło nic więcej, jak oklepiane wyrzekanie Maćka na niestateczność Maryny, lub żale Kaśki za utraconym panięńskim wiankiem, lecz prawdziwie rozmiłowany w swoim przedmiocie autor zbioru, i pojmujący pieśń gminną ze strony jeszcze nieużytej i niewyzyskanęj, nie poprzestał na samych słowach pieśni, ale co daleko trudniejsze i mozolniejsze, zebrał do nich muzykę, tak jak mu ją lud śpiewał: „Muzyka zatem jest głównym przedmiotem tego zbioru, powiada w przedmowie. Uderzony wcześniej oryginalnością i krzepkością pieśni ludowych, od lat kilkunastu robiłem wycieczki po kraju w celu skrzętnego i wiernego ich spisywania; to tęż pochlebiam sobie, że w nieprzebraném u nas źródle melodyj

zaczepnąłem najciekawszy jej zapas; taki przynajmniej, jaki już potrafi dokładnie odznaczyć muzykalność ludu naszego. Oddaję nutę w nieskażonej prostocie, tak, jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystrojenia harmonijnego, bo mam przekonanie, że najdzielniejszą jest w samorodnej, niczym niezmaczonej czystości, jak ją natura natchnęła.“ W rzeczy samej takie melodye tylko co nie mają obcej przemieszki ze świata sztuki, stanowią główną wartość podobnego zbioru. Karol Lipiński acz wielki sztukmistrz, niedość zgłębił był to zadanie w muzycznych melodyach, dodanych do pieśni Ludu w Galicyi, a zebranych przez W. Zalewskiego. — Dzieło p. Kolberga wydane bardzo starannie, z melodyą poprzedzającą tekst, z oznaczeniem miejsca, gdzie melodia była wysłuchaną i z wskazówką zbioru, w którym się już znajduje, może się policzyć do rzadkiej liczby książek starannie i umiejętnie wydanych, a nadewszystko stanie się prawdziwym skarbem niewyczerpanego materiału dla każdego kompozytora muzycznego. — Przypuszczam też, że tym sposobem muzyka narodowa czerpiąc w tych melodyach, snadniej wyrobi sobie oryginalny charakter,

niż gdyby ciągle nasłuchiwać miała dolatujące nas zdala dźwięki Meyerbeerów i Verdych.

Ile dostrzegłem z przejrzenia książki, pieśni te i melodye pochodzą najwięcej z Mazowsza, z Lubelskiego, z Pomorza i niektórych stron Litwy — co składa tom dość obszerny — drugi, jeżeli ten będzie dobrze przyjęty, o czém ani wątpię, obejmie inne zapewne strony dopełniające całości.

Niedawno widziałem zacnego zbieracza pieśni i melodyj u stóp czarujących Pionin i w Tatrach, jak naprawiając słabe zdrowie powietrzem gór i leczącym źródłem, nie tracił ani jednej chwili i nawiedzał góralskie chaty, lub przestawał z bacami i juhasami na polanach, od których umiał wyłudzać melodye i słowa, zdaniem jego, nieustępujące pierwszeństwa innym. Wierny swemu zadaniu, z dziwną cierpliwością i wytrwaniem prowadzi podjętą pracę, godną powszechnego uznania, bo mu nie idzie o jakiś drobiazg archeologiczny, mogący obchodzić kilku amatorów, ale o odsłonienie tych skarbów twórczości, jakie lud nasz bezsprzecznie posiada, a w których może się najlepiej charakter jego odzwierciedla.

Dołożyć jeszcze i to powinienem, wracając do owego wydania *Pieśni Ludu*, że przy książce znajduje się kilkanaście rycin kolorowanych, wyobrażających ubiory wieśniaków z różnych stron kraju; w tém nie byłoby nic osobliwego, gdyż przy pieśniach dodawano je często—lecz zazwyczaj były to rysunki bez żadnej wartości, bo bez charakteru—tym razem rysowane są wybornie, i mogę po prawdzie powiedzieć, że pierwszy to w swoim rodzaju zbiór kostiumów, zasługujący na to miano i dający rzetelne wyobrażenie. — Dotąd zazwyczaj upiękniano artystycznie naszych chłopków—i byli nieznośni do patrzenia,—jak równie bez wartości dla malarza, coby tych studiów użyć chciał do swojej kompozycyi.

---

## XI.

### POEZJA CHRZEŚCIAŃSKĄ I DANTYSZEK.

---

Romantyzm, który trafnie ktoś zdefiniował „liberalizmem w literaturze“ dopuścił się wielu grzechów i zbroczeń przybierających zbyt jednostronny kierunek, szczególnie w tém, że jak wszystkiego rodzaju liberalizmy, tak i on, erę literatury poczynął rachować od napisania pierwszej ballady, a poczytując pracę poprzednich wieków, z bardzo małemi wyjątkami, za błahe, niebyłe i niepotrzebne, nieuznawał tém samém historycznego pochodzenia ani tradycyi.

Osobliwy ten sposób pojmowania przeszłości umysłowej narodu, odbił się szczególnie w pewnych pisarzach historii naszego piśmiennictwa, którzy wychodząc z tej zasady, że wpływ klassycyzmu nie dał się rozwinąć samodzielnej literaturze, że wolne ducha poloty skrępował obcemi formami, rzucili potępienie szczególnie na tych pisarzy naszych co pisali po łacinie. Skutkiem tego systematu uszczuplili oni granice umysłowej kultury, a nawet nie byli w stanie oznaczyć z czego i jak i dla czego Rej i Kochanowski zaczęli pisać po polsku? Tak znamienity początek wyglądał zawsze na skok gwałtowny nie dający się rozumnie usprawiedliwić żadnemi ułamkami przekładów biblii, ani pieśniami kościelnymi, ani temi okruchami pozmiatanemi z książkowych okładek; — były to bowiem twarde, bełkotliwe dźwięki języka usiłującego zostać piśmiennym, a nie jakieś odbicie się zrodzonej twórczej myśli, która pragnęła przemówić zarówno do uczonych i do prostaczków, do wielkich i do maluczkich.

Nie przypuszczenie łaciny do literatury narodu, było niczem inném tylko nieuznaniem ogromnego cywilizacyjnego wpływu wywiera-

nego przez kościół Rzymski w ciągu kilkudziesięciu wieków; a tymczasem najwyraźniej to wiadać, że nasi pisarze łacińscy, których szczególnie zbudził wiek odrodzenia, przygotowali te wyobrażenia w narodzie jakie Rej i Kochanowski rozszerzali i opiewali później w ojczystym języku. Propaganda reformacji usiłująca przyciągnąć klasy mniej wykształcone, pobudziła u nas kościół i wiernych mu, że myśl swoją począł również w języku dla większych mass zrozumiałym objawiać, do czego niemało przyczyniły się i zmiany w wewnętrznej konstytucji Rzeczypospolitej zaszłe; gmin szlachecki przypuszczony do obrad sejmowych, do współdziałania w rządzie, nie mógł używać mowy uczonych i dyplomatów.

Przejsie do własnego języka odbywało się u nas później niż gdzieindziej, bo w połowie szesnastego wieku. We Włoszech szkoła św. Franciszka Serafickiego wychodząca z łona samegoż kościoła odezwała się językiem ludu i przysposobiła przyjsie Danta i całą wspaniałą literaturę włoską. We Francyi trubadurowie zbudzeni wojnami krzyżowemi przygotowali tę literaturę co ze stopni tronu zapanowała nad wszystkimi różnicami idiomami

tów i prowincjonalizmów. Charakterystyczne te zmiany nowożytnej cywilizacji i literatury daleko wcześniej odbyły się na zachodzie i południu, niż u nas; opóźnienie to wszakże nie mowi na niekorzyść narodu, ani na niekorzyść kościoła, bo kiedy pierwszy zapragnął nowej formy cywilizacyjnej, drugi mu ją dał, nigdy i nigdzie nie chcąc zostawać poza obrębem życia w narodzie.

Mylne było to wyobrażenie, znajdujące nawet pewną powagę, jakoby kościół średniowieczny tamował swobodny rozwój ojczystego języka i piśmiennictwa, a tém samém, że z jego winy język i piśmiennictwo polskie rozwinęły się u nas tak późno i tak nieswojską formą. Postawiwszy natomiast pytanie: czy moglibyśmy byli z odrzuceniem formy cywilizacyjnej kościoła, to jest łaciny, przyjąć do tak wysokiej kultury równającej nas z pierwszymi narody, w piętnastém i szesnastém stuleciu, znajdziemy odpowiedź: że zapewne kultura nasza byłaby się rozwinęła na innych warunkach, może swojskich, samoistnych; że bylibyśmy mieli dochowane pieśni naszych gęślarzy, a ztąd i wcześniejszą ojczystą literaturę, któraby nie na odrodzonym klassycy-



zmie, ale na swojskich wyrosła sokach. Lecz co by się wtenczas stało z bytem i znaczeniem Rzeczypospolitej, czy oparłaby się mongolskim napadom, czy nie doznałaby losu Serbii i Bułgarii?—to nie wchodzi zazwyczaj w powierzoną odpowiedź teoretyków historycznych, oplakujących gorzkimi łzami stracone pieśni napół pogańskie i dzikie, które za zapewne duchowieństwo jako rzecz przeciwną nauce kościoła gorliwie tępiło. Nie przeczę, iż zaczynać literaturę zabytkiem piastowskim, lub dawniejszym co by stawał na równi Nibelungów lub Kalewalli, przyczyniłoby jej wspaniałości i ozdoby, ale z drugiej strony nie można tak za nic ważyć sobie ani tych praw Kazimierzowskich jakimi mało który naród wówczas się mógł pochlubić, ani zapominać o takich Długoszach, Witelionach, Grzegorzach z Sanoka, Kopernikach, Krośnianinach, Dantyszkach, dlatego, że pisali po łacinie. — Polskie piśmiennictwo było u nas tylko spularyzowaniem literatury łacińskiej, która dotknięta czarodziejską różeczką epoki odrodzenia, zaczęła od połowy piętnastego wieku dźwigać się i zbliżać do wielkich klassycznych wzorów. — Dlatego jedna i druga łączą się

nierozzerwanym węzłem; jedna przygotowuje drugą; jedna drugą objaśnia i dupelnia. — Ta sama myśl w dalszym ciągu, tylko w odmiennej formie. Niestosownie więc cłcić ją objaśniać i wywodzić od ułameków piosnek gminnych dziś pozbieranych, a poczytywanych za odwieczne zabytki, jakby te kiedykolwiek zostawały w związku z organizacją społeczeństwa i instytucyj w Rzeczypospolitej, jakby pisarze i poeci Zygmuntownscy nie byli wychowancami téj kultury chrześcijańskiej, europejskiej, tylko ogładzonymi wiejskimi bardami, co napół wierzą jeszcze w Lela i Polela. — Chęć ugminnienia i spoganizowania wielkiej przeszłości narodu, wchodząca w rachubę dzisiejszych zwolenników gminności i słowianomanów, naprowadziła na te nietrafne zestawienia i analogie, które każdego rozważnego badacza musiały zaraz uderzyć i wywołać zdziwienie, jakim cudem odbył się w literaturze polskiej ten nadzwyczajny skok z pieśni gminnej lub jakichś ułameków uronionych po kronikach, do tych Kochanowskiego ód i hymnów noszących cechę owych płodów sztuki, co są zazwyczaj wynikiem wykwintnej cywi-

lizacyi, na którą się kilka wieków tradycyjnie składało.

Rozważniejsze i głębsze prace nad dziejami piśmiennictwa naszego podały zapomnieniu ten rodzaj zapatrywania się na przeszłość umysłową narodu, a zarazem przywróciły łacinę do praw i znaczenia, odjętego jój przez romantyzm, który wolał rodowód swój wprowadzać od wymarzonych bardów ludowych, niż uznać pomimo umizgów do średniowiecznych zamków, baronów i turniejów, cywilizacyjną siłę kościoła i w niej szukać klucza do rozwiązania przyczyn nagłego wzrostu literatury. Romantyzm odwołujący się do wieków średnich i chrześcijaństwa, bo tak zaczął wszędzie póki nie skończył na gminności, nie chciał nic wiedzieć w swoim uwielbieniu dla pogańskiego Słowianizmu, o darach jakie przynieśli na tę ziemię kapłani rzymscy tworzący z surowych materyałów społeczeństwo prawdziwie chrześcijańskie. Była to nieloika, jeśli nie śmieszność nowatorstwa.

Taka luka zrobiona w ciągu i na początku literatury, spowodowała kilku piszących do ujęcia się za prawami łaciny; — najdzielniej jednakże, bo najpraktyczniej, poparł znacze-

nie i zaletę naszych poetów łacińskich Syrokomla, ogłaszając przekłady wytwornym rymem dokonane Elegii Janickiego i Kochanowskiego; poematu Klonowicza i Ód Sarbiewskiego. Nie wchodzę tutaj czy przekład nie jest gładszy i bardziej dzisiejszy niż same oryginały, czy zatrzymały się w nim jakie cechy stylu właściwe każdemu z tych rymotwórców; czy też znikły w tym harmonijnym dźwięku bardzo szczęśliwej faktury wiersza? — są to punkta mniejszej wagi, obok téj wysokiej zaślugi jaką ma tłumacz przyswajający dzisiejszym czytelnikom te wszystkie klejnoty naszej poezji łacińskiej zwykle pomijane z obojętnością, a nawet podane zapomnieniu u własnych rodaków, kiedy pośród oświeconych cudzoziemców oddawna doznawały więtości, i że tak powiem, propagowały poza granicami sławę narodu, co oświatą i duchową podniosłością znakomitych mężów, dotrzymywał kroku najprzedniejszym cywilizacyom.

Uronione te bogactwa odzyskał Syrokomla i przekonał zarazem, że łacina, acz martwy język, była naówczas jedynym środkiem, za którego pomocą naród dawał się poznawać innym narodom i zyskiwał to stanowisko wyż-

sze, co wpływa na interesa powszechne państw, a tém samém odgrywa nie niemą, ale czynną i umysłową rolę w pracy ogólnego postępu. Cała nasza literatura łacińska, była jedném słowem wymowną protestacją przeciw wszelkim zarzutom barbary i jasném świadectwem dokonanych postępów na drodze wykształcenia religijnego i umysłowego.

Cudzoziemcy do dziś szanować ją umieją lepiej niż my sami. Sarbiewskiego czytano i rozbievano po uniwersytetach niemieckich i angielskich, przekładano go wprzód niż go Syrokomla przełożył. — Edycye wychodziły wszędzie, tylko u nas najrzadziej. Rytm Dantyszka przed stu laty prawie wydał Böhm we Wrocławiu, teraz znowu wydaje go razem z hymnami Kopernika, Hippler, dołączając przekład obok tekstu. U nas o nie mało kto pyta. Co za szkoda, że Syrokomla nie zaczął od Dantyszka i nie przełożył tych hymnów pełnych prostoty i namaszczenia bożego, tém cudowniejszych, że wypłynęły z duszy długo miotanej burzami świata, długo olśniewanej blaskami tronów i dworów; a ciągle pojoniej czarującemi truciznami półbożków reformy

przemawiających z całą elegancyą i pychą klassycznego renesansu.

Ażeby zrozumieć nieraz wielkość człowieka i poety z innego czasu, nie należy go mierzyć na skalę dzisiejszych wymagań i pojęć, ale postawić wśród świata i ludzi, pośród których wyrósł w to, czém był. Z Dantyszka zostało dla nas trochę żalu do świata za jego niestateczne uciechy i rozkosze, i pobożność prostaczka wyśpiewana ubogim, skromnym rytmem na wszystkie uroczystości kościelne obchodzone na cześć Zbawiciela i Najświętszej Panny. Mała spuścizna! powie kto, tak mała, że może i niewarta świetnego rytmu i języka dzisiejszych poetów.— Zapewne, brylantów myśli, stylu Horacyuszowej werwy tu nie szukać, ale za to jest jakiś nieopisany urok wiążący z tych strof kościelnej łaciny, urok żadną sztuką niedający się naśladować, bo też wypłynął z głębi duszy co wśród otaczającej go wielkości i zaszczytów, sławy głośniejszej i dumę budzących przyjaźni, zzuwała ze siebie insygnia władzy, laury i herby na polu dowcipu, nauki, dyplomacyi zdobyte, i jakby w jednej koszulce z ułomnościami swemi stawała przed oblicznością Najwyższego Sędziego. Sato mo-

dlitwy pokajanego serca, przeto sztuki w nich niema, ani téż podług wymagań sztuki sądzone być powinny; a jednak zdaniem mojem najcenniejsze te kwiaty, jakie w tym rodzaju literatura nasza posiada.

Tradycja téj poezyi chrześcijańskiej była jeszcze bardzo żywą, i upowszechnioną za czasów Dantyszka. Poeta, malarz, rzeźbiarz, zgoła wszelki sztukmistrz w tém źródle czerpał natchnienie, bo tam spływało wszelkie uczucie i życie, tam się mieścił ideał najszczytniejszych tęsknot i marzeń. Potrzeba było aż zatrzęść podwalinami kościoła, aby tradycja ta tuląc się w cieniu katedr i klasztorów, zostawiła wolne pole interesom i widokom ziemskim, wśród których sztuka stała się świecką i poczęła hołdować sama sobie i dla siebie.

Poezya czerpiąca w źródle tak żywém jakim były tradycye cudowne sięgające jeszcze pierwszych wieków chrześcijaństwa, miała przyczynę i warunek swego istnienia w samym przedmiocie, który opiewała, była bowiem związaną z wyobrażeniami pojmovanemi i wyznawanemi przez ogół chrześcijaństwa; ztąd popularność jéj przechodziła wszystkie popularności, o jakie się kuszą dzisiejsi sztukmi-

strze napróżno; a choć o sztuce nikt wówczas nie rozprawiał, ani estetyk nie wydawało, jednakowoż sama ilość, wielkość i wyborność utworów osnutych na tych tradycjach i legendach, przewyższa szczytnością i siłą natchnień dzieła późniejszej sztuki świeckiej. Wielka rzeka poezji ożywiająca całe wieki średnie, podobna jest do tych ogromnych biegów wód nowego świata, co skrapiają tysiącomilowe lądy, a jednak źródło ich nieznanne gubi się gdzieś w rozpadlinie niedostępnych gór.

Porównanie to jeszcze z tego względu ma prawdę za sobą, że jak bardzo późno zaczęli się ludzie wywiadywać z kąd się biorą te wody co skrapiają ziemię, tak podobnie niedawno zaczęto wywiadywać się z kąd powstały te nieśmiertelne utwory, któremi zasilala się wiara naszych ojców? Wieki bowiem, które nimi się karmiły, nie dbały o ich historyczny wywód. Od piątego też do szesnastego wieku poetyczne tradycje o Zbawicielu, o Boga-Rodzicy, o Apostołach używały nieograniczonej powagi we wszelkich utworach swobodnej myśli. Potęga ta tradycyi poza granicami nauki i dogmatu rozszerzała się nieskończenie; one



to panowały udzielnie w duszy ludu, jak w wyobraźni poety i artyści, gdzie się przeobrażały w najwdzięczniejsze i najgłębsze utwory. Po tysiącu latach wiara utrzymująca te tradycje ostygła, racjonalizm wysuszył źródła żywej poezji religijnej, a długi szereg pomników literatury średniowiecznej popadł w głębokie zapomnienie.

Dantyszkowe hymny jeszcze należą do tego okresu żyjącej tradycji; cały cykl tak zwanych apokryfów tej epopei religijnej ludu, nie przeszedł był do zbiorów ułożonych systematycznie i krytycznie komentowanych, jak to później się stało. — Wyobrażenia te, wiara w nie, przenikła zarówno pierś uczonego poety, jak i prostaka; choć więc tu i ówdzie uczoność klasyczna wplatała jakie reminiscencje mitologii pogańskiej: Styxowi kazała płynąć w piekle, Febowi ziemi przyświecać, Parkom nie życia przecinać, ztémwszystkiém było rączej kwiatki stylu, niż sama treść rzeczy.

Powwyższy ten ustęp o poezji chrześcijańskiej zdawał mi się potrzebnym, dla oceny Dantyszkowych hymnów z tej strony z jakiej sądzone być powinny; inaczej, idąc za sądami historyografów literatury i krytyków

estetycznych, trzeba by je było odesłać do kategorii hymnów liturgicznych, o których sztuki-mistrze zazwyczaj mówią z politowaniem jakby o malarstwie robioném za pomocą patronów. Zawsze bowiem podług przyjętej reguły upatrują w płodach poezji kościelnej pewną dogmatyczną skamieniałość, zapominając czy nie wiedząc o tém, że dogmat był i pozostał dogmatem, a poezya karmiła się tradycjami religijnymi żyjącymi wśród ludu, które jęj dawały najobszerniejszą wolność. Najwięksi poeci średnich wieków nie narzekali na więzy dogmatu, owszem Słowo wcielone otworzyło przed nimi nieogarnione tajniki chwały niebieskiej, dozwoliło wznosić się i ściagać ideał miłości i ofiary, nieznany pogańskim piewcom. Jakaż to niezmierna różnica między hymnem Kleanta, a hymnem Ambrozyańskim! Mogli filozofowie starożytni za pomocą wyobrażeń pożyczonych ze Wschodu, rozgmatywać niekiedy który z istotnych przymiotów bóstwa, z czego współcześni ich poeci umieli korzystać; lecz nigdy żaden z nich nie umiał wnieść się do pojęcia o miłosierdziu boskiém; przywilej ten dostał się w udziale duchowi chrześcijaństwa, któremu dzieje zstąpienia i mąk

Zbawiciela na ziemi, dostarczyły w tym rodzaju niewyczerpanych skarbów. Poeta dotykając téj materji rozrzewniającej i szczytnéj zarazem, nie obawiał się tych przepaści jakie panteizm i fatalizm pokopał pod stopami pogańskich poetów; zamiast téż zbierać okruchy ze stołu filozofów (jak to i dziś się dzieje czasami) szukać począł natchnienia we własném sercu, i śpiewał równie wesoło jak betleemscy pastuszkowie: Chwała Panu na wysokościach!

Przypatrzmyż się bliżej człowiekowi, aby zrozumieć co sekretarza królów, posła do najpierwszych świata mocarzy, potężnego księcia kościoła, uczonego stojącego w rzędzie najślawniejszych uczonych, poetę lubiącego uciśzną grę świata, z sercem wrażliwém i tkliwém, wyobraźnią żywą i unoszącą, co mogło podnieść Dantyszka do wysokości téj pokory prostaczka pokładającej w miłosierdziu Pańskim tę jedyną ufność i siłę, jakiej w okazłościach i przepychach świata nie znalazł? — Hymny jego mówią to w pełnej szczerości, od której daleką jest wszelka sztuka. — Życie człowieka stwierdzi tylko tę prawdę.

Jan Dantyszek urodził się w Gdańsku w r. 1485. — Od lat dziecinnych okazywał on pociąg ku naukom, i myślą wydzierał się ku większym zawodom, jak rzemiosło ojcowskie. Rodzice postrzegłszy w nim niezwykle zdolności, oddali go do szkół gdańskich, gdzie zrobiwszy zadziwiające postępy, przeniósł się w czternastym roku do szkół krakowskich, a po ukończeniu tychże, do sławnej akademii. Studia klassyczne tyle mające wówczas więtości i nauka prawa, którym się poświęcił, usposobiły go do każdego zawodu. Wyprawa jednak przeciw Tatarom w roku 1502, a w następnym przeciw Wołoszy, oderwała go od nauk, i zrobiła żołnierzem. Po dwuletniej przerwie wrócił znowu do ulubionej poezyi; lecz nie na długo. W paranetycznym wierszu do Alliopaga (Knobelsdorfera) z żalem wspomina, jak:

Z uczonej szkoły wzięty na królewskie dwory  
 Pacholęciem, przeklinam ten los do téj pory.  
 Dwór, zaraza na ludzi, ściek wszystkiego złego,  
 Nauczył mię — lecz wstydę przyznać się do tego....

Młodzian natchniony miłością sztuki i nauk prędko musiał poczuć niesmaki do pustego dworskiego życia, a że ideał poetyczny uno-

szący się nad Italią najpierw zwykł pociągać ku sobie młodych marzycieli — toż i on postanowił krakowski dwór pożegnać i na klassycznej ziemi dalej poświęcić się nauce starożytnej. Rzemiennym dyszlem kołując na Danię i Niemcy, przeszedł Alpy, a gdy mu zabłysło morze, spuścił się do Euganeów, czyli mówiąc prostym językiem, znalazł się w Wenecyi, gdzie spotkawszy okręt mający odpływać do ziemi świętej, uczuł jakby boskie natchnienie do téj podróży....

Piękny opis téj żeglugi do Jerozolimy i Arabii, zostawił w kilkunastu wierszach wyżej wspomnianego wiersza do Alliopaga. Choroba na morzu, burza, pełno wspomnień klassycznych na widok każdéj wyspy, wylądowanie w Jaffa, eskorta arabska, mimo której nie uniknął po drodze bicia, urągania i błota, krótkie wspomnienie miejsc uświęconych męczeństwem Zbawiciela — oto cała treść ustępu. — Z powrotem zarwał tylko Włoch, nie na długo, bo snąć ciągnęła tęsknota do ojczyzny. — W 23 roku życia wrócił do Krakowa, gdzie jak pisze: poświęcony prostocie mędrca, pragnął daleko od światowego zgiełku na ustroju oddać się całkiem naukom i poezyi — lecz

inna padła mu kostka. Tomicki, biskup i kanclerz, mąż wielkiego światła w Kościele i Rzeczypospolitej poznał Dantyszka, i zaraz Zygmuntovi I na sekretarza polecił. W jednym wierszu wkrótce potem złożonym: *De virtutis et honoris differentia* opiewa on, że wiedział dobrze o niebezpieczeństwach grożących mu u dworu, i że długo walczył sam z sobą, dopóki się nie przeniemyślił dawniejszym postanowieniom, i ofiarowaną posadę przyjął. Raz w urzędzie, sprawował go biegle i pilnie, i tak prędko dał się poznać przyrodzonymi zdolnościami, umiejętnością języków, wybornym stylem łacińskim, że król Zygmunt używał go odtąd do najtrudniejszych poselstw i traktowań. Mianowicie w sprawach miast pruskich, które znał dokładnie, wiele usług oddał Rzeczypospolitej, powściągając i hamując niektóre miasta jak: •Gdańsk, Elbląg, Toruń, od wyłamania się od zwierzchnictwa Polski. Trudne to zadanie było pierwszą próbą w zawodzie publicznym; później czekały go świetniejsze poselstwa. — Na zjeździe monarchów w Wiedniu r. 1515 towarzyszy Zygmuntowi I i nietylko bierze udział w pracach dyplomatycznych, ale jako uczony i poeta repre-

zentuje godnie oświatę swojej ojczyzny, wobec znakomitości dworu Maxymiliana I, takiego Zygmunta Herberszteina, Richarda Bartolina z Perugii i Ursina Veliusa. — Po skończonym kongresie Zygmunt odjechał a Dantyszek zaszczycony jego pełnomocnictwem, został przy boku Cesarza Maxymiliana, który go kilkakroć razy do załatwienia trudnych spraw do Włoch wysyłał, a nawet jemu miał podziękować, że przyszło do zawarcia traktatu z rzeczępospolitą Wenecką.

Spędziwszy więcej trzech lat przy Cesarzu wrócił na dwór swego pana, lecz i tu niedługo zażywał wczasów; albowiem gdy wypadało upomnieć się Zygmuntowi o Księstwo Baru, zapisane testamentem przez Johannę królowę hiszpańską, matce Bony Sforcyi, doświadczony Dantyszek musiał jechać do syna Johannы, późniejszego Karola V, który podówczas mieszkał w Walladolidzie, i tak szczęśliwie trudny interes poprowadził, że ztamtąd poseł nasz pojechał do Baru, aby tam ułożyć się w imieniu królewskim.

Z powodu grożącej wojny od Solimana II, mogącej naprzód dosięgnąć Węgry i Polskę, bacznы Zygmunt znowu wyprawił Dantyszka

do Cesarza Karola V, aby zaniechał wojen prowadzonych na Zachodzie, a siłę oręża swego przeciw niewiernym obrócił; było to w r. 1521. — Odtąd życie naszego poety zdawało się nie mieć ani jednej chwili do poświęcenia muzom; przez lat bowiem dwanaście posłował z dworu na dwór. — Widzimy go już w Rzymie, gdzie wzywa o pomoc przeciw Turkom, już w Wenecyi i Ferarże, już Księstwo Baru odbierającego na rzecz swego króla; już zawikłania z powodu sekularyzacji zakonu kawalerów krzyżowych i lennictwa Prus wschodnich układającego. — Słowem, Dantyszek nietylko pracował dla swego pana, ale nadto Karolowi V tak się podobał, że go w wielu rzeczach się radził, ze sobą woził, a nieraz do bardzo ważnych spraw dyplomatycznych używał; między innymi, jak niektórzy pisarze jego żywota utrzymują, miał on mieć niepośledni udział w zawarciu pokoju między Karolem V a Franciszkiem I, który to pokój stanął w Madrycie.

Przy tak rozległych politycznych zajęciach odzywała się kiedyniekiedy miłość jego do poezyi, zwłaszcza jeżeli wielka jaka okoliczność obudziła tę żyłkę; a tym sposobem mo-



znaby go nazwać w części okolicznościowym poetą, ale nie w tém znaczeniu ubliżającym, w jakim miano to daje się rymowanym pochlebcą. Dantyszek umiał się wznosić nad wypadki i ludzi, ogarniać je wzrokiem wieńczym, i nieraz zapłakać nad niedolą padołu. Smutny stan Europy w r. 1529 natchnął go elegią: O nędzy naszych czasów — powodem do tego był traktat Cesarza Karola V zawarty z Papieżem w Bolonii. To pojednanie najwyższej władzy duchownej, z najwyższą władzą świecką napawało piękną nadzieją, że dla rozdartej religijnemi sporami Europy, nastąpi pokój.

Jak Owid hesperyjski — powiada on na wstępie téj elegii — na wygnaniu w Tomach uczył się wierszować po gotycku i sarmacku, tak i on Sarmata, oddalony od ojczyzny, chciałby hesperyjską mową zanucić pieśń wyciśniętą obecnych czasów niedolą. Niech preto czytelnik przebaczy usterkom zewnętrznym, a za to nie gardzi treścią:

„Byleś myśl moje schwycił, nie stoję o słowa.“ —

tak się odzywa w sposób malujący własność jego utworu i przystępuje do skreślenia zbyt

smutnego obrazu ówczesnego świata. Napomina on pany chrześcijańskie, aby zabiegali złemu, mianowicie wkłada na nich powinność pomścić się na Turkach za bitwę pod Mohaczem i za spustoszenie ziem chrześcijańskich. Papież i Cesarz, których charakter wybornie kreśli w kilku rysach, głównie odpowiedzialni są za całość wiary świętej — jakoż zaklina ich na władzę powierzoną im od Boga, aby zaniechali politycznych i religijnych waśni, i związani sojuszem, stawili czoło wdzierającemu się pogaństwu.

Pogląd wyższy nad wszelkie egoistyczne cele stronnictw spornych między sobą, dokładna znajomość bieżącej polityki, wzniosłe myśli i obrazy obok prostoty i powagi, a przytém gorące pragnienie dobra państw chrześcijańskich, podnoszą ten utwór do najznakomitszych owego wieku — czego dowodzą liczne po sobie idące edycje w Bolonii, Krakowie i Kolonii.

Dantyszek stęskniony za krajem, znużony dworem i pracami, pragnął powrotu, ale Zygmunt nakazywał mu nie odstępować Cesarza. Jeździł więc z nim to do Augsburga, to do Akwisgranu, to do Bruxelli, to do No-

rymbergii na sejmy Rzeskie. — W ostatniem tém mieście znalazł się pośród licznego grona uczonych i poetów — było najmilszy żywioł jego, w którym pełną piersią oddychał. — Oprócz Eobana dawnego swego przyjaciela jeszcze z akademii krakowskiej, poznał się i zaprzyjaźnił z wszystkiem co otaczało dwór cesarski najświetniejszy w Europie. Z tego powodu pozostały liczne po nim korespondencye z ministrami, uczonymi, poetami, kunsztmistrzami, a nawet monarchami: Taki Eobamus, Ursinus, Velius, Herbersztein, Bartholinus, Jan Wese, Perenot Granvella, Spiegel, Duplicius Schepper, marzyciel Walder, jeniałny poeta Janus Sekundus, zgoła pisarze i dyplomaci pisywali doń nieustannie, a nawet sam Ferdynand Korteż, którego poznał był w Madrycie, nie przestawał pisywać do niego już po wyjeździe do Meksyku. Z pewnym rodzajem dumy wspomina o tém Dantyszek w swoich rymach:

Listy szły od przyjaciół; Korteż téż pisywał,  
 On wielki, co zamorskie państwa pozdobywał,  
 Co po znak koziorożca od równików włada  
 W oddali mię pamięta i czasem zagada.

Uczeni różnych narodów poczytywali so-

bie za zaszczyt być przyjaciółmi Dantyszka. — Dwie najpierwsze głowy ówczesne: Erazm Roterdamczyk, to uosobione ognisko naukowości europejskiej, i Hozyusz ten wielki mąż kościoła, mówią o nim z uwielbieniem w swoich pismach. A jakąż miłością, jakim zaufaniem zaszczycały go takie znakomitości, jak Janus Sekundus, najprzedniejszy łaciński poeta, który posyłał mu do przejrzenia swoje rytmy, i kilka elegij jego osobie poświęcił. Podobnie Eobanus poświęca mu trzecią księgę swoich: Poetycznych Lasów — a Dupliciusz Schepper, kochający go jak ojca, pisze doń: Jeżeli by nieszczęście miało mię dotknąć kiedykolwiek, do nikogobym nie poszedł, tylko do ciebie, drogi mój Dantyszku.

Z takiego to koła uczonych przyjaciół zagranicznych wyrwany został nakoniec nasz poeta. Król Zygmunt listem własnoręcznym (1530) ofiaruje mu wakujące biskupstwo chełmińskie, i on załatwiwszy sprawy poselskie, pełen radości wraca pod koniec 1532 r. do ojczyzny. Pragnienie wniścia w stan duchowny dla łatwiejszej poprawy żywota, oddawna już nurtowało w jego sercu. Czego się nigdyś lękał dla duszy, to i znalazł na dworach.

Prawda, że na drodze honorów świetnie porobił zdobycze; że wiadomościami, zręcznością prowadzenia interesów, wypróbowaną wiernością i gorliwością w służbie swego pana, wyniósł się tak wysoko, jak może nigdy nie marzył — a jednak na drodze cnoty nie mógł się pochlubić takimi postępy. Te śluby niewinności, pokory, które niegdyś złożył był w młodszych latach u grobu Zbawiciela, zwiertzały w długim życiu dworskim, a przestawanie z wykwintnie wykształconymi lecz lekomyślnymi humanistami, co dla zewnątrznie powabnych kształtów klassyczości pogańskiej, wyrzekali się ducha chrześcijańskiego, popchnęło go błędną drogą, gdzie coraz więcej czuł, że się oddalał od tych chrześcijańskich ideałów, jakie napełniały niegdyś młodą jego duszę....

W wierszu do Grinei, sam wspomina na ten peryod burzliwy:

Młodzieniec gorący,  
Rad wpadałem w Cyprydy ogród czarujący,  
Święte kadzidła sypiące na ołtarz Pańi,  
Z wiązką zielonych mirtów i róż i lilii. ..

a później w przypisku do Herberszteina, jakby robiąc summę z téj mądrości, co ją zdobył

na świecie w piętnastoletnich poselstwach — powiada: „Wszystko próżność, jedna tylko miłość ku Bogu trwa wiecznie.“

Odtąd wszystkimi siłami pragnął przez pokutę i umartwienia dostąpić w duchu świętego spoczynku, odmienić żywot i wyłącznie oddać go na służbę Bożą. — Dawny jego przyjaciel i dobrodziej Piotr Tomicki dał mu święcenie kapłańskie i biskupie w r. 1533.

Zarząd biskupstwem w ziemiach pruskich wymagał człowieka z energią i głową. Nie tylko trzeba się było opędać różnowiercom, ale nadto stawać w obronie stanów, ilekroć Rząd okładał tę prowincję zbytniemi ciężary. Dantyszek umiał tym trudnym obowiązkom podolać, jednocząc interes prowincyi z dobrem Rzeczypospolitej. Niebawem przybyła mu wyższa godność; bo gdy zawakowało biskupstwo warmińskie, dostał je — co więcej: Karol V ofiarował mu kapelusz kardynalski, Bona takież ze swój strony — lecz zacny mąż podziękował, powiadając, że biskupstwo i łaska króla polskiego wystarczają mu. Zaszczytów więcej nie pragnął, a całą usilność tylko do tego zwracał, aby na urzędzie biskupim zrobić wszystko dobre, co się da zrobić. Użyty je-

szcze pokilkakroć do różnych spraw politycznych, powołujących go do dworu i za granicę, zakopał się do końca dni w ulubionej Warmii. — Było też niemało kłopotu z powierzoną mu owczarnią. Nowa nauka łącznie z zepsuciem obyczajów poczęła przebozem wdziierać się do jego dyecezyi, a chociaż od czasu do czasu ciskał ostre mandaty przeciw protestanckim kaznodziejom, jednakowoż niepodobna mu było odeprzeć téj zarazy. — Mało który z ówczesnych dostojników kościoła znał tak wybornie tajemnice sekciarzy jak Dantyszek, większa bowiem część tychże zostawała z nim w stosunkach literackich, jak Melanchton, Sabinus, Isinder, Eobanus — poufnie też, przyjacielsko zbijał błędy ich i opłakiwał je. Umiał też energicznie wystąpić, gdy się rozuchwalała herezya. Skulteta, którego naukę cenił, kazał przecież wydalić z kapituły i kraju; Gnafeusa humanistę i poetę skoro począł wicherzyć słowem, złożył z Elbląskiego rektoratu. — Zgoła na wychowanie i szkoły pilne miał oko, ponieważ w nich widział rękojmię utrzymania wiary przodków, nie tylko więc samym ściganiem kacerzy oczyszczał je, ale nadto kosztem swoim dawał młodzieży uczyć

w Rzymie, aby na świątłych i pobożnych ludziach nie brakło dyecezyi.

Pomimo prac przywiązanych do godności biskupiej, modlitwa i nauka zapełniały resztę chwil Dantyszka. Usunąwszy się od zgiełku dworskiego świata, wracał czasami do ulubionej poezyi, ale nie było to już owe igranie pustemi słowami, popisywanie się erudycją klassyczną jak w utworach młodości—ale coś głębszego treścią, choć w ubożuchnej formie. Chrześcijański mędrzec nauczony przez długoletnie doświadczenie, przez pokutę i modlitwę, patrzeć na sprawy téj ziemi okiem jedynej prawdy, inaczej pojmował poezyę, niż pałający żądzą użycia, klassycznemu libertynizmowi hołdujący humanista—inaczej śpiewał pobożny i pokorny kapłan, niż pyszny i lekomyślny dworak. Jeżeli dawniej zakładał wszystko na wykończonój formie, jeżeli pragnął błyszczeć obrazami, metaforami i czytaniem się w klasykach, dlatego może, aby pokryć tym blichtrzem niedostatek wewnętrzny, to w hymnach, umyślnie słabiej naciągnął struny swój lutni, aby tém mocniej pieśń pełnej prawdy wdzierała się do serc słuchaczów. Hymnów tych złożył trzydzieści.



Hozyusz wydał je w roku 1548 po raz pierwszy bez nazwiska autora, i wyborną do nich przedmowę napisał. Modlitwa i rozmyślanie duchowne, główném były zajęciem ostatnich lat życia naszego Dantyszka; jako więc kwiat i owoc tych rozmyślań pobożnych, potrzeba uważać te hymny. — W przedmowie do czytelnika wyrzeka się wszelkich reminiscencyj klassycznych: „Ani dziewięciu siostróm, ani Apolinowi śpiewam te hymny, ani tryska tu źródó z pod kopyt uskrzydłonego rumaka — bo w téj książeczce stoją krwawe znaki ran Chrystusowych, męczeństwo i śmierć krzyżowa poniesiona niewinnie.....“ A dalej znowu w prologu mówi o naturze wiersza użytego w tych pieśniach, usprawiedliwiając niby odstęstwo swoje od wykwińtów klassycznego renessansu: „Nie pogardzaj tym krótkim wierszem kościelnych pieśni — są one bez fałszu, nie kąpane w zdroju aońskim, nie woniejące Cyrrhy poetycznym gajem — lecz ranami boku Chrystusowego..... Często Spondeus zastępuje tu miejsce Jamba, i nietrudno z Dimetrem się zgadza.“

W epilogu przy zamknięciu hymnów powiada: *Sequuti nobilem Prudentium quantum*

licebat, lecz w rzeczy samej zbliża się on w nich więcej do hymnów zawartych w brewiarzu, niż do Prudencyusza, który ucieka się do wszelkich środków retoryki i nie gardzi nawet obrazami mitologii pogańskiej, gdy tymczasem Dantyszkowe hymny są bez wszelkiej pretensyi do próżnych ozdób, co i w powyżej cytowanych wierszach wypowiedział, a co i w ciągu święcie dotrzymał. Osobliwa rzecz, z jaką wstrzemięźliwością umiał odsunąć od siebie wszelką pokusę czerpania w tém bogactwie klassyczném, na jakim się prawie wychował—a jak przejął się tym duchem prawd chrześcijańskich, które wtenczas tylko bywają najwymowniejsze, jeżeli je nie pstrzy retoryka, wtenczas najwdzięczniejsze, jeżeli są w surowej prostocie, bez żadnych ozdób.

Otóż właśnie serdeczną prostotą tych hymnów góruje Dantyszek nad wieloma poetami ówczesnymi, co mieszając mitologię starożytną do wyobrażeń chrześcijańskich, często robią się tak wymuszonymi. Jak zaś w duchu pobożnego natchnienia je składał, jak uważał je za modlitwę raczej, niż dzieło autorskiego popisu, potwierdza ostatni wiersz: ad pium Lectorem, gdzie się lituje nad marnościami au-

torskiej sławy, która nie towarzyszy nam w kraje czarnego Plutona, która jednego grzechu nie odkupi, ani też imieniowi naszemu i książkom naszym nieśmiertelność zapewnia.

Lecz jeżeli chcesz świadectwo, żeś tu żył, zostawić,  
 Żyj tak, aby cię Chrystus mógł przyjąć i zbawić;  
 Li przezeń nieśmiertelne uśmiecha się życie.

Zaledwie Dantyszek skończył był księgę swoich hymnów pisanych z taką miłością, z takim namaszczeniem, gdy przyszły nań nie-moce ciała. Spoufalcony oddawna z myślą o śmierci, spokojnie oczekiwał ostatniej godziny i zgasł dnia 27 Października 1548 na rękach swego ulubieńca Knobelsdorfa, który go nie odstępował przez ciąg całej choroby pielęgnując jak ojca rodzony syn.

Opowiedziałem piękne to życie, biorąc pochop z tych hymnów tworzonych, jak mówiłem, pod drgającym jeszcze wpływem owęj tradycyi poezyi chrześcijańskiej, co niebawem miała pierzchnąć przed pompą sztuki świeckiej i czczością racjonalizmu.

## XII.

### TAJEMNICE TŁUMACZEN

Przekłady greckich poetów i hymnów kościelnych.

---

Najprostsze sposoby najtrudniej się przyjmują i wiele potrzebują czasu zanim się przyjmą.

To można zastosować do tłumaczeń z jednych języków na drugie, którym po większej części niczego nie brakuje, tylko życia i duszy czyli ducha ożywiającego autora.

Tłumacze, najczęściej bez wrodzonego talentu, silą się oddawać słowa, nie geniusz utworu; nie dbają o przelanie treści żywotnej, o napełnienie nowego ciała wewnętrznym du-

chem pierwszego twórcy, ale i duchem ludu, a jednak zdaje się im, że są tłumaczami.

Nie zwracano na to uwagi, że wyrazy nie tylko wyrażają ducha samego autora, ale jeszcze i ducha narodu, do którego należą: słowa bowiem, sąto cudowne symbole, nie tylko wieków i ludów, lecz i różnych narodowości i najrozmaitszych plemion. Można by postawić twierdzenie, iż nigdy słowo nie jest w stanie oddać wszystkich a wszystkich odcieniów myśli. Porównajmy wzruszenia serca i delikatne cieniowanie pojęcia naszego z zasobami języka, a przekonamy się, że te zasoby, jakkolwiek ogromne i bogate, zawsze nie dorównają wyobrażeniu lub namiętności jaka ma być przez nie wypowiedziana. Mowa ludzka, ten wyraz materialny, ten symbol żyjący myśli i obrazów i uczuć rodzących się w naszej głębi, chociażby jak piękna, silna i malownicza, będzie niczym więcej, tylko odbiciem się, tylko cieniem treści. W naturze naszej tyle jest tajemnic, tyle nieokreślonych zagadek; tak trudno nam nieraz, tak niepodobnie wyrazić, co się w nas dzieje, że musimy przyznać, iż język mówiony u każdego narodu jest z natury swojej narzędziem niedoskonałym, zmien-

ném, sztuczném, dającym tylko słabe wyobrażenie o naszych uczuciach, boleściach lub rozkoszach. Śpiew słowika, prosta nieraz melodia dumki, daleko więcej wypowiedzają, niż najśliczniejsze wiersze wypowiedzieć są w stanie. Dlatego też kto wiele przeszedł w zawodzie życia, kto głęboko badał społeczeństwo, przypomni sobie jak niejeden leciuchny odzien, niejeden rys w lot dojrzany i pochwycony, gdyśmy go chcieli uwięzić w wysłowieniu, zacierał się lub przechodził w ciężką popolitość. Gdy tedy, jak usiłowałem pokazać, nigdy wyobrażenia i uczucia jakiegobądź narodu nie mogły znaleźć dla siebie doskonałego symbolu, tedy i następstwa wynikające z tego założenia, muszą uderzać swoim niedostatkiem.

W samém przejściu z pomysłu do wyrażenia go słowem, odbywa się już, że tak powiem, pierwsze tłumaczenie, a w téj czynności, koniecznie musi się zatrzeć najważniejsza i najlotniejsza częśćka myśli pierwotnej. Cóż dopiero, kiedy przyjdzie tłumaczyć z jednego języka na drugi, kiedy dwa instrumenta zarówno niedoskonałe i nastrojone na ton odmienny, będziemy chcieli zgodzić ze sobą.

Jeżeli Homer nie zdołał wszystkiego wypowiedzieć co chciał i czuł, jakżeż inny język nieużywający większego przywileju, będzie mógł oddać pierwotwór homeryczny? Rzecz widoczna, że jeszcze więcej niż sam Homer oddali się od myśli oryginalnej, która się poczęła we wnętrzu poety. Trudności te powiększą się nieodzownie w miarę, jak obyczaje i język ludu jakiego, będą się różnić między sobą, w miarę jak uczucia, wyobrażenia i obyczaje narodu, którego utwór się tłumaczy, w niczym nie będzie podobny z uczuciami, wyobrażeniami i obyczajem tłumaczącego narodu. Biedaczka myśl, co się już nieco zatarła przechodząc w słowo, urania coraz więcej z swojej istoty, krusząc się przez wciskanie w odmiennie formy gramatyczne, przez narzucanie sobie odmiennych własności, przez oddanie wyrazami niemającymi tej donośności co w pierwotworze. Już Rzymianie źle pojmowali i nie byli w stanie oddawać pomysłów homerycznych, chociaż łączyły ich jeszcze węzły wspólnej z Grecją cywilizacji; że nie zostawili ani jednego przekładu Iliady i Odysei, to samo najlepiej dowodzi, jak niezmierny był przedział między ich sztuczną literaturą,

a poezją Grecyi, która podyktowała prawa sztuce. Jeszcze bardziej, gdy nowożytny świat wyszedł z gruzów starożytnego, gdy społeczeństwo urządziło się feudalnie, gdy pogańskie niewolnictwo zaczęło tracić swój charakter, gdy indywidualność niewiasty rozwinęła się pod opieką chrześcijaństwa, zgoła, gdy wszystkie przeobraziły się stosunki, inne nastąpiły wyobrażenia, inne obudziły się uczucia i dążności, jeszcze bardziej Homeryczna pieśń odsunęła się w głąb i jeszcze mniej znalazło się analogii między starożytną a nowożytną cywilizacją. Z Homera został tylko szkielet, cień prawie, który potrzeba było erudycją odgadywać, ożywiać natchnieniem. Mimo tego tłumaczono go wszędzie, na różne języki europejskie, ale tak, że ani charakteru, ani owój poważnej bohaterskiej prostoty nie umiano w nim zostawić. I nie dziw, bo duch cywilizacji epoki Homerowej przechodził wiedzę i czucie najzawołanych jego tłumaczy, co pojmowali klassycyzm starożytny tak, jak go pojmowała tak zwana literatura odrodzenia się nauk, nieumiejąca odgadywać ani stanu społecznego epoki bohaterskiej Grecyi, ani rozumieć związku między światem bogów a ów-



czesnymi ludźmi; albowiem co do tego ostatniego punktu oświecano się tylko mitologią rzymskich pisarzy, pozbawioną już tego ducha głębszego, który ożywiał religię pierwotnych Hellenów. Ztąd też czyny i mowy bohaterów pelazgicznych przekręcane są nie miłosiernie; a uniknąć tego było niepodobna nie znając klucza do téj cywilizacyi starożytnéj.

Pomimo najlepszych studyów, z wszelkiém tłumaczeniem dzieje się to samo, co z operacją chemiczną, w czasie której ulatnia się treść ciał poddanych analizie. — Nigdy też sztuka tłumacza nie może zapobiedz aby się nie ulotniła i nie zwietrzyła najistotniejsza część oryginału; przybliżenie tylko może być większe lub mniejsze, i w tém cała zasługa, aby jak najbliżej zetknąć się z oryginałem. Przekalkowanie samych słów, choćby w porządku jak idą po sobie w tekście, nie daje bynajmniej zadowalniających wypadków; owszem, ten rodzaj niewolniczego tłumaczenia okupywany bywa kosztem i dobrego smaku i harmonii i natury języka, którym się tłumaczy: tak dalece, że czytając podobny przekład

tyle się zeń korzysta, ile z samego oryginału, kiedy się go nie rozumie.

Uważałem, porównywając różne przekłady Homera, że nasz język ma niezmierną wyższość nad innymi do oddania wszelkich cudownych własności pierwowotworu greckiego, a to z téj przyczyny, że podobnie jak język grecki jest malowniczy, pierwotny, prosty w swoich wyrażeniach, a przytém jakby stworzony na oddanie kształtów i barw, tak i nasz, lubo nie w tym stopniu, ale bardzo przybliżenie posiada te same przymioty, zwłaszcza odkąd zrzucił ze siebie pęta frazeologii i zaczerpnął téj naturalnej swobody i malowniczości, jaka znamionuje pieśń gminną lub powieść. Każdy język urobiony na szkolnej loice i retoryce, rozumujący i metafizyczny, mający zdolność oddawania odcieniów myśli, a nie zewnętrzzną stronę rzeczy, nigdy nie podoła Homerowi, i jeśli się porwie nań, przegra sprawę, jak ją przegrali bez apellacyi Cesarotti, Pope, Bignan, nasz Dmóchowski i tylu innych, co mimo zdolności pisarskich, minęli się z oryginałem.

Niektórzy przyjmują za zasadę, że tylko ta epoka zdolną jest przekładać jakiego staro-

żytnego autora, która zostaje w analogii z tą epoką w jakiej żył ów autor; lecz w dziejach ludzkości trudno znaleźć dwie epoki, kropla kroplę podobne sobie, zwłaszcza, że różnica narodowości i wyobrażeń religijnych zawsze będzie niezmierna. Mimo tego jest w tém cokolwiek prawdy, gdy między innemi, przekłady biblii lub Homera dokonane w wiekach czerstwiejszój i prostszej wiary, rycerskości i śmiałych przedsięwzięć mają dziś dla nas jakąś woń starożytną, jakąś wielkość w prostocie, a w samém słowie związłą moc i coś tak wyrazistego, że nowszy pisarz może i płynniej i wdzięczniej i głębiej to samo powiedzieć, ale sposób jego powiedzenia nie zawsze potrafi tak uwydatnić kształty zmysłowe, ani tak je narzucić barwami, jak to umiały robić wieki mniej wykwintnój cywilizacyi.

W niewyrobytych jeszcze językach było coś, co miało analogię z homeryczną lub biblijną prostotą. Na dowód weźmy jeden ustęp z Iliady przełożony przez Jana Kochanowskiego; o ileż on bliższy swego wzoru, od późniejszych z przeszłego wieku tłumaczeń! Jeżeli czego żałować, to że Kochanowski nie dokonał całego przekładu Iliady, nie już rymem,

bo ten widocznie mu zawadzał i plątał potoczność opowiadania, ale wierszem białym użytym tak szczęśliwie i wzorowo w *Odprawie Posłów*. Spokój, powaga, zwięzłość i dosadność słowa, a nadewszystko to odgadnienie greckiego ducha, którym Kochanowski wyprzedził wszystkich nowożytnych pisarzy, co go odgadnąć usiłowali, zgoła te nieoszacowane w tłumaczu przymioty, mogły przyczynić się do prawdziwego wzbogacenia naszej literatury przekładem, któremoby równego nie znalazł w żadnym języku. Kochanowski, prawdziwy twórca poetycznego naszego kodeksu, miał już przecucie pieśni gminnej, jak tego ślad zostawił w *Świętojańskiej Sobótce*, był więc w części panem tajemnicy odsłaniającej zagadkę wieków *Iliady* i *Odysei*.

Rzecz dowiedziona, iż sam język książkowy, czyli taki, jakim go robią ciała akademiczne, lub szkolna retoryka, lub nareszcie wykwintne wymagania wyższych towarzystw dworskich, nigdy nie podoła tej swobodnej prostocie cechującej zazwyczaj wszystkie utwory młodzieńczości narodów; nie podoła tym epópejom religijnym, bohatyryckim, jak biblijne ustępy, jak *Edda*, poemata homeryczne i t. p.

Dzisiejszy nasz język, ile stracił na zwiększości, barwności i tój męskiej energii będącej własnością pisarzy Zygmuntofskich, tyle znowu zyskał na giętkości dającej się użyć do każdego przedmiotu; bogaty w cieniujące wyrażenia zdolnym się staje do oddania wszelkiej myśli lub obrazu, a i prostym być umie przez przyswojenie sobie form i wyrażeń i toków mowy, pieśni i powieści gminnej. Władając nim, czyli będąc panem starego naszego języka i nowego żywiołu, można się już łatwiej pokusić o przelanie na polskie tych nieśmiertelnych wzorów, które zawsze będą wszystkich tłumaczów przyprawiać o rozpacz.

Tu już zasada o analogii epok nie może na nic się przydać; bo kiedyż było więcej przeciwieństwa jak między naszym czasem tak prozaicznym, tak niebohатыrskim, tak analitycznie wytrzeźwionym, tak skierowanym do drobnych praktycznych celów, a między temi epokami pełnemi syntezy, wiary wszystko przenikającej, i pędzącej do odegrania wielkich scen życia. Małość mierzy się tu z olbrzymiością, chłód z ogniem, bardzo względne prawdy, z prawdami nieprzełomnymi, półcharaktery z charakterami jednego odlewu.

A jednak mimo téj sporności i właśnie dla téj sporności, epoka nasza zdolną jest więcej niż inne, odwzorować sobie ten świat starożytnego ideału, który swoją cudowną urocząścią tém więcej pociąga, im większe koło siebie spostrzegamy braki. Tkwi bowiem w zadaniu idei nowożytnéj pewna dążność usiłująca rozprzestrzenić pole umysłowości przez przyswojenie sobie słowa i wyobrażeń różnych narodów i różnych epok cywilizacyi, przez zaszczerpienie swojskiéj literatury na pniu innych literatur, zgoła pewne zbratanie się duchem w narodach. Widoki te literalne i zbyt filozoficzne, nigdy nie mogły powstać w myśli Rzymian, co choć tak spowinowaceni z Grekami, że ich wzięli sobie za mistrzów, przecież nie umieli wnikać w ich ducha, tylko chcąc sobie oszczędzić trudu tworzenia, korzystali po prostu z form wynalezionych przez Greków. Zasada plagiatu tak była zakorzenioną w Rzymie, że nikt się zapewne nie dziwił, kiedy pokazała się Eneida obciążona łupami zdartemi z epopei Homerycznéj.

Ta właśnie sympatyczność duchowa i umysłowa między dzisiejszemi narodami robi zadanie tłumacza łatwiejszém o wiele niż da-

wniej; toż i tłumaczenia dosięgają wyższej doskonałości i już zaczynają wchodzić w skład bogactw intelektualnych każdej literatury.

Wszakże obok tego jak zawsze, wyradza się rzemieślnictwo i na dużyście. Niech tylko jakie znamienite dzieło ukaże się gdziekolwiek, zaraz dzielą je między takich wyrobników tłumaczy, którzy najczęściej nie mają innej zasługi, prócz pośpiechu w robocie. Nakładcy idzie też najwięcej o pośpiech; byle gruby sens materyalny został mniej więcej wiernie przekopiowany; o resztę mniejsza. Bo cóż obchodzi spekulanta, że publiczność nawyka do złęgo stylu i nabiera fałszywego wyobrażenia o pisarzu w ten sposób pogwałconym? Stawić tłumaczenie na wysokości sztuki, jest dziś prawie niepodobieństwem, tak dalece zajęły się tém zadaniem mierności i tak dalece spospolitowano ten zawód, że choćby i wyższy talent poświęcił sumienną pracę i długie lata przekładowi jakiego znamienitego utworu, to pewno nie znajdzie czytelników, a nakładca, odeszle go do kategorii wyrobników pióra. Włoskie przysłowie: *Traduttore-traditore*; może się najlepiej stosować do téj śnieci zanieczyszczającej wszystkie żyjące literatury. Od-

kąd robienie książek pomieślało się z wyobrażeniem o tworzeniu, czyli produkeyi z ducha i serca, odtąd zawód wydawcy i autora spłynął niby w jedno, odtąd nasuwa się konieczność częstego wytykania granicznych kopców między rzemieślnikiem a sztukmistrzem. Podobnie i w tłumaczeniach, jedne są, które żadnego zysku nie przynoszą literaturze, drugie, które tyle wazą co najoryginalniejsze utwory. Wiadomo przecież jaki obrót i wzrost nadały literaturze niemieckiej przekłady Vossa dokonane w przeszłym wieku. Dość przeczytać wyborne dzieło Cholewiusa w roku zeszłym wydane, w których kresląc stan literackich pojęć w Niemczech i niedołęstwo płodów sypiących się z pod piór, wskazał zaraz inny zwrot inny polot, kiedy piszący skąpali się w przyswojoném sobie homerycznym źródle.

Wielkie wzory nigdy nie byłyby takimi, żeby nie miały owój własności zaszczepienia ideału, a tém samym wznoszenia nas nad poziom codzienności.

Owóż, choć to nie zastanowiło nawet dzisiejszych krytyków, co z wyżyn swoich ledwo półgębkiem raczą uwzględnić tłumaczenia,



choćby najklassycyźniejszych autorów, postrzegam nieśmiały jeszcze, lecz dość już wyraźny przekłón ku studiom starożytnym, szczególniej Greckim, co choć niepostrzeżenie i niegwałtownie, zawsze jednak nie pomału przyłożą się do nadania płodom wyobraźni owego stępla nie tak łatwo ścierającego się w steku pospolitości.

Ostatnich kilka lat przyniosło nam wcale nie złe przekłady Sofoklesowych trajedyj przez Kaszewskiego. — Tłumacz użył rymu, i w tém dowiódł, że szczerze myślał o wykonaniu artystycznego przekładu; lubo z drugiej strony wiersz jego niema jeszcze téj gibkości, styl téj mocy i malowniczości, aby zupełnie wypowiedał myśl oryginału z właściwą mu precyzją, a razem, żeby te zabytki oddawał z ową starożytną śniedzią nadającą świeżemu przekładowi pewną oryginalność, a co tylko potrafi poeta umiejący wcielić w siebie ducha. jaki nieraz ukrywa się pod zmartwiałą formą lub zwietrzałym słowem...

Małeckiego *Elektra* ma wiele wartości pod względem filologicznym, zaleca się wiernością; ależ właśnie to zbytnie trzymanie się oryginału odjęło przekładowi jasność i wdzięk. —

Tłumacz nie szukał w toku polskich wyrażen się szczęśliwego oddania myśli textu greckiego, ale szedł posłuszny za nim. — Obrany w przekładzie miarowy wiersz zdał mu się być łatwiejszym do ścisłego odwzorowania oryginału, a tymczasem podejrzana ta, a zawsze monotonna miarowość, popsuka potoczyłość dykcji, i ledwo, że nie zdefigurowała Sofokla.

Wszystko to są próby wielce zaszczytne i wielkiej ceny, bo łamią te lody jakie nas dzielą od starożytnych, bo przygotowują język i formy zapomocą których zostaną kiedyś przyswojeni naszej literaturze, niewątpię, lepiej i prawdziwiej niż ich przyswoić sobie umieli sami Niemcy, służący dotąd tłumaczom naszym za wskazówkę w sposobie, w jakim wykonywać się mają przekłady klasyków.

Najświeżej ogłoszone tłumaczenie Eschylesowego *Agamemnona* przez Węclewskiego ma już wybitniejsze zalety, wiersz biały, nie bez szczęśliwych zwrotów i trafnych wyrażen pozwala czytelnikowi dopatrzeć tych piękności, jakie się mieszczą w Eschylu; lubo nie powiem, żeby sposób oddania myśli i obrazów

nie już do życzenia nie pozostawiał; brakuje tych dotknięć mistrzowskich co jedném słowem, jednym zwrotem ożywiają cały obraz; a przecież w Orestei, a szczególnie w Agamemnonie pełno jest miejsc porywających poezją. Między innymi ten ustęp, którybym nazwał pierwszym pomysłem telegrafu, o ileżby urósł pod piórem poety :

Hafajstos z szczytów Idy światłym blaskiem cisnął  
 Więc gorzał stos po stosie, aż ognisty goniec  
 tu dopadł. — Z Idy bowiem Hermesowej skale  
 Na Lemos, z téj zaś wyspy w zgórzu Zeusa, Athos,  
 trzeciemu z rzędu, świecznik jasny przekazano.  
 Górząc nad falami, jakby po wód grzbiecie  
 Pojeżdżał, zar sosnowej główki się pomykał  
 rozkosznie, a strzelając złotem, niby słońce,  
 Makistu strażnikowi bystro w oczy spojrział.  
 Bez zwłoki tenże baczny, snem bo nie zmorzony,  
 posłańca urząd wiernie pełni i zażęga  
 płomienny stos, co w dali do Euripu nurtów  
 w Messapios stróżom głosi wynik boju trudów.  
 Na przemian ognionośną wieść ci pchnęli dalej,  
 pod kopcem suchym wrzosu iskrę rozdmuchawszy.  
 Obfita żagiew, pożar szerząc niesłabnący,  
 równinę wzdłuż Azopu przeskoczywszy, niby  
 Księżycy blask, dosięga Kiteronu epok,  
 I budzi straż następną do przesłania znaku.

Nie zaniechała przeto straż daleko widnej  
 pochodni żar rozniecić silniej, niż poprzednie.  
 I przez Grogopis wody przerzucona światłość,  
 Wdzierając się na szczyty góry Egiplanktu,  
 Napędza do pospiechu straże nie leniwe.  
 Podniety nie żalując wysadzają w górę  
 Niebawem, słup ognisty, że ponad zatoki  
 Sarrońskiej, brzegiem wzniosłym przeniósł płomień silny.  
 A wyrzeliwszy wyżej, Arachnejskich dobiegł  
 chochołów i strażnicy tuż w pobliżu miasta.  
 Następnie do Atrydów grodu tego zajrzał  
 od łuny Ideowej nieodrodny promień.

Zawsze mniemam, że to miejsce jak tyle  
 innych w tej trajedyi obfitującej w pierwszego  
 rzędu myśli, sytuacje obrazu, mogłoby lepiej  
 być oddane; twierdzą nawet, że rymowy prze-  
 kład nicby nie uronił, a jeszcze ożywił i po-  
 dniósł, bo to pewna, że rym tak niezbędny  
 w naszej poezyi, mimo wszelkich prób unika-  
 jących go, nie jest zawadą w ręku mistrza,  
 a zawsze dzielnym środkiem w artystycznie  
 skończonym odwzorowaniu oryginału. Ci,  
 co narzekają na te więzy krępujące swobodę  
 i wierność tłumacza, czemuż nigdzie nas nie  
 przekonali, aby przekłady prozą lub wierszem  
 białym nie pozostawiały nic do życzenia? Je-  
 żeli to ma być jednak koniecznym ułatwie-

niem, niechże pociągniętą będzie granica między przekładami li gramatycznymi jakie służyć mogą uczącym się starożytnych języków, a przekładami mającemi przyczynić się do wzbogacenia naszej literatury. Środek łączący te dwa zadania, a nieodpowiadający całkowicie żadnemu, musi wydawać niesmaczne płody.

Wracając do *Agamemnona* p. Węclewskiego, mam jeszcze dołożyć, że tłumacz w chórach, których Eschylosesowe trajedyje mają najwięcej i to olbrzymich lirycznych piękności, widział potrzebę uciec się do rymu, jakby téj saméj potrzeby nie było i w części czysto-dramatycznój? Wszakże tak w wierszu jaki obrał, jak w rymach, które rozproszył, niepodobna dopatrzeć się ani muzykalnój harmonii, bez którój niema poezyi lirycznój, ani jasnego sensu, bez którego znowu nic być nie powinno. — Prawda, że chóry Eschylosesowe są ciemne, teksty poszarpane tysiącami lat, przeskoki gwałtowne, metafory niespodziane, ale dla tego wypadało w przepolszczeniu nadać temu szyk zrozumialszy, bo myśli zawsze dopatrzeć można, a dopatrzywszy, oddać przystępniejszym tokiem. Wezmę tę strofę opisu-

jącą zamordowanie Ifigenii, śliczną, jak płaskorzeźba z naczołka jakiejś świątyni;

Więc gwałtu wędzidło zamienić jój każe.  
 Szafranowa sukienka do ziemi spłynęła,  
 A ona wszystkie ofiarników twarze  
 Wzrokiem zebrałym o litość objęła;  
 I piękna by posąg, wydobyć chce głos  
 Jakim niegdyś przy ucztach w komnatach rodzica  
 Słuchaczy czarowała, gdy rodzica los  
 Szczęsny nie rzadko wstydliva dziewica,  
 I ochocze biesiady umysłem chętnym  
 Opiewała głosem ponętym.

Obrałem najszczęśliwszą strofę, a nie mogę powiedzieć, żeby przekład odpowiadał duchowi tego obrazu z jakim go Eschylos napisał, a choć z tak słabem rymowaniem, nieodał przecież tłumacz tego miejsca jak w oryginale, gdzie Ifigenia na ofiarników rzuca z oka strzały wzywające politowania *βέλει φιλοίκτω*. Ta właśnie plastyka stanowi jedną z głównych właściwości greckiej poezji, i tylko poezją można jej podołać.

Uwagi te płynące z żywej przychylności dla tłumacza zmierzają do tego, aby go pobudzić do nadania najwyższej doskonałości prze-

kładom, które zapewne dokona uzupełniając nam całą trylogię Oresteii. Główna tu rzecz tak opanować myśl oryginału, aby w przepol-szczeniu nie odstąpić od rzeczy i to samo powiedzieć, tylko w tonie nierażącym naszego ucha, ani naszego pojęcia.

Studia Greckie rozpoczęte tak szczęśliwie wzbogacą się jeszcze przekładem dzieł Platona, które wygotował p. Bronikowski z Poznńskiego. — Uprzejmy tłumacz pozwolił mi czytać jedną z Platońskich rozmów szczęśliwie bardzo przelaną na ojczysty język, co wróżyć mi pozwala, że z poznaniem tego ojca filozofii niejedna myśl poważniejsza i głębsza przyjmie się w umysłach, a raczej niejedna stara prawda wyprze błąd nowy uchodzący za prawdę.

Do liczby przekładów mogących mieć znaczenie w naszej literaturze kładę niedawno wydane *Hymny kościelne*, tłumaczone przez księdza Metropolitę Hołowińskiego. Hymny te opiewające chwałę Boga i Świętych Pańskich, złączone ściśle z liturgią kościoła Rzymskiego, nigdy nie przestaną rozlegać się w przybytkach poświęconych chwale bożej, bo jak

mówi stare łacińskie przysłowie: *qui cantat bis orat*. Nietylko są one częścią integralną liturgii, ale będąc utworami wielkich ojców kościoła i świętych, przez to samo wzbudzają to poszanowanie jakie wierni mają dla świętego słowa, niemniej uważane pod względem poetyckiej, literackiej ich wartości, przedstawiają się nam jako jedyny skarbiec liryki chrześcijańskiej.

Po wykwintnym artyzmie pogańskich poetów, zjawia się ta prosta pieśń, złożona wcale nie klasyczną łaciną, gwałcącą prozodyę, używająca nawet rymu, pieśń tak biedna, tak pogardzona w swojej zewnętrznej postaci, jak który z niewolników przywleczonych z nad Dunaju co nawet nie jest człowiekiem w oczach każdego z tych purpurowych poetów uwięzionych różami co w kole biesiadników spitych Massykiem lub Falernem filozofują nad życiem, które im ucieka...

Biedna pieśń! plunąłby na nią autor listu do Pizonów, jak na niezgrabnego niewolnika, coby mu stłukł dzban etruski... biedna! ale treścią wyższa, jak wyższe niebo nad ziemią; ale podnosząca upadających pod cierpieniem,



ale rozszerzająca horyzonty życia po granice wieczności...

W chrześcijańskiej poezji rzecz można, nie było żadnego przejścia, bo co ten duch zaraz w początkach owiał, przybierało formę znikomą, łachman żebraczy, pod którym rosła myśl ofiary, uczucie nieskończoności, wiara w nieprzemienną prawdę. To już się stało cechą nieodłączną od poezji chrześcijańskiej, nowożytniej, która odzywając się do prostaków, nie mogła być wykwintną, bogatą w ozdoby, nastrzępioną erudycją. Ztąd i hymny kościelne możnaby nazwać rodzajem poezji gninniej, z tą różnicą, że się odzywały niewłaściwym każdemu narodowi językiem, ale językiem powszechnym, słowami kościoła. Prostota jest wybitnym ich znamieniem, ale prostota połączona z tą szczytnością, jakiej używa cel wielki opiewania chwały Bożej; z tej przyczyny i przekład hymnów należy do niepospolitych trudności, bo walczyć trzeba z jednej strony z przesadą i wymuszonnością, a z drugiej z zaniedbaniem trącającem o trywialność. X. Hołowiński szczęśliwie wyszedł w wielu hymnach z tej próby, lecz w ogóle

dał przekład więcej kunsztowny niż tego rodzaju liryka znosi; przekład, który może zachwycić każdego wykształconego czytelnika, ale nie wiem czy potrafi te dawniejsze przekłady wyrugować, jakie się mieszczą w naszych śpiewnikach, przekłady proste jak kantyczki, źle rymowane, bez wdzięku stylu, ale jakoś odpowiedniejsze duchowi nabożeństwa.

Weźmy ten ambrozyański hymn: *Splendor paternae gloriae*. X. Hołowiński tak go tłumaczy:

O blasku ojcowskiej chwały!  
Przyjścia sądu błyskawico;  
Wieczny dniu! tworzysz dzień biały,  
Światła światło i krynico.

Istne słońce spuść twój promień,  
Niech wiecznym blaskiem w nas pała;  
I Ducha świętego płomień  
Rozlój nam po zmysłach ciała.

Śpiewnik kościelny taki przekład nieznanego autora podaje:

Jasności z ojca płynąca!  
Z światła światło wydająca,

Dniu wszystkich dni, źródło lśniące,  
 Cały rok oświecające.  
 Wnijdź słońce z którego śliczny  
 Blask pochodzi ustawiczny.  
 Jasność swą Ducha świętego,  
 Racz wlać do serca naszego...

Te *zmysły ciała*, daleko zrozumiałej zastą-  
 pione są sercem, a wiersz: Światła światło  
 i krynico, nietyłe obrazowy co: *Źródło lśniące,*  
*Cały rok oświecające.*

Również w pierwszym wierszu, niezna-  
 jomy tłumacz w prostocie swojej: pokazał się  
 prawdziwym malarzem, gdy powiedział:

Jasności z ojca płynąca  
 Z światła światło wydająca.

Niepodobna oddać wyobrażenia o osobie  
 Boga Ojca, bardziej do zmysłów przemawia-  
 jącego. Dzisiejszy przekład kunsztowny, nic  
 przecież nie maluje

O blasku ojcowskięj chwały  
 Przyjścia Sądu błyskawico !...

Z porównania tych dwóch przekładów,  
 widzimy jak w dawnym wieje pobożny duch  
 i prostota, a w nowym więcej sztuka i świa-

towa wykwiłtność przebija. Odnosi się to i do całego przekładu. Dlatego zdaniem mo-  
jém, umiejętną i delikatną ręką poprawiony  
text dawnego śpiewnika, zawszeby miał pe-  
wną wyższość.

---

### **XIII.**

#### **FAŁSZYWY POMNIK I ARCHEOLOGICZNE ZABAWKI.**

---

Jednego dnia majowego — a maj w tym roku miał przeciw swemu zwyczajowi, kilka-tnaście dni dziwnie pięknych. Otóż jednego dnia majowego, zrobiłem małą wycieczkę w okolicę Krakowa, nieznaną mi dotąd, zapewne dlatego, że często przejeżdżałem koło niej w wagonie kolei.

Przekonywam się coraz więcej, że lot kolejowy największym jest nieprzyjacielem poznania kraju w jego drobnych, często wiele znaczących szczegółach, a to dlatego, że lenistwo nasze woli niekosztowny a powierzch-

wny rzut oka na okolicę, mijającą jak senne zjawisko, niż pofatygowanie się na własnych nogach do miejsc godnych widzenia z blizka.

Z tego punktu wychodząc, mógłbym twierdzić o dzisiejszych wagonowych turystach, że taki, co obleciał całą Europę wagonem, mniej zasługuje na tytuł wojażera, niż dawniej ten, co z Mało- lub Wielkopolski dojechał z wszystkimi popasami i noclegami nie dalej, jak do wód szląskich.

Ten kraj widział i ludzi — tamten wiezie ze sobą tylko karczmę, a mówiąc polityczniej: hotel — bo towarzyszy zbiera sobie na stacjach, które są karczmami, i sam w takich karczmach wysiada. Poznaje więc tylko tłum różnorodny, ale nie poznaje ludzi na tle ich miejscowości.

Otóż od lat ośmiu jak jeżdżę koleją do Krzeszowic, zawsze migała mi przed oczyma zielona dolinka, zamknięta dwiema ścianami wzgórzów porośłych lasem — to był Zabierzów, o którym regularnie jaki Krakowianin dawniej daty, znajdujący się w wagonie, zaraz rzecz wszczynał, opowiadając o skale z napisem, o miłości Kmity do Bonarówniej i o jego Wertycyznej śmierci.

Romantyczna legenda i romantyczna dolina mogła zawrócić głowę każdemu i mnie niezawodnie zawróciłaby, gdybym na nieszczęście nie czytał był kilku powieści i romansów na tém tle osnutych.

Motyl najpiękniejszy, póki lata i póki go ciężką ręką nie złapiesz; kwiat najwonnejszy, póki na swojej łodydze. To samo i z legendą: nie odrywaj jój od skały, źródła, ruiny, bo zwietrzeje—jak również wymyśloną nie chciój ozdabiać miejsc uroczych, jak robionym z papieru bukietem skronie prostej wieśniaczki, lub madonę Rafaela.

Jednakowoż zawsze ciężył mi na sumieniu wyrzut, dlaczego znając mniej więcej wszystkie piękności okolic Krakowa, nie zebrałem się dotąd na zwiedzenie Zabierzowskiej doliny.

Otóż jednego dnia majowego puściłem się na tę malowniczą pielgrzymkę, ale nie koleją żelazną, tylko zwykłą drogą, którą ludzie chodzą: przez pola, wzgórki, łąki, laski, parowy, aby używać wrażeń tysiąca najrozmaitszych widoków, zmieniających się za każdym zakretem ścieżki, lub załamkiem wzgórza. Szedłem od strony Bielan, i mogę powiedzieć,

że nieraz zdumiony stawałem. Kiedy znalazłszy się na jakim grzbiecie pagórka, ogarniać mogłem nieścigniony okiem pejzaż noszący na sobie podwójny charakter; po jednej bowiem stronie roztaczał się przedemną wspaniały widok na okolicę najeżoną czterema pasami gór, topniejącymi w błękitno-szarawej mgłę, tak, że ostatnie pasmo tatrzańskie potrząśnione śniegiem, z trudnością dawało się od obłoków odróżnić— wszystko zaś przybierało w pewnych porach dnia, łudzące podobieństwo z falami mocno rozhukanego morza. Po drugiej znowu stronie na spływających wschodziasto wzgórzach, kończących się nadwiślańską płaszczyzną, wśród mnóstwa ugajonych wiosek i zielonych smugów, czerwieni się długa pręga, powycinana w igły wież i kopuł — to Kraków siedzący sobie na zbożowym łąnie. — O ile tu znać gospodarną rękę ludzką pracującą na wdzięcznej roli — o tyle tam, ku górcom, widać tylko fantazyjną naturę dziką i ostrą jak wiatr, który ztamtąd pociąga....

Rzecz godna zastanowienia, że dopiero romantyzm nowszych czasów rozlubował się w tych górach, kiedy dawniej w klasycznych wiekach rzeczypospolitej nikt się nie intere-



sował niemi. Dzisiejszy poeta lub powieściarz dałby wiele za dobrą legendę o jakim karpackim opryszku — dawniejszy, płynąc zbożem ładowną komięgą po Wiśle nie raczył nawet spojrzeniem pozdrowić malowniczych wierzchołków.

Pociąg ku obrazowaniu natury, ku pejzażowi, widocznie dziś przemaga; jest to jakby nowy zmysł, który nam przybył. Czyżby dlatego, że dawniej szukano praw mądrości i wszechmocy bożej w społeczeństwie ludzkim -- a dziś szukamy Boga w naturze i jej pięknościach, jakby z ludźmi nie było już warto przestawać, ani zastanawiać się nad nimi?

Może to przywidzenie, lecz tak mi się wydaje, że w tym symptomacie przebija się więcej mizantropii, niż przypuszczamy, niż wolno przypuszczać pod szumnymi godłami filantropii i ludzkości.

— Wielkie pozory często okrywają wielką nicość.

Ależ jak widzę, nie doprowadziłbym i siebie i czytelników do skały Zabierzowskiej, gdybym nad wszystkiém co mi się przedstawia, miał robić podobne wnioski.

Idźmy więc dalej — już niedaleko. Drożyna pod górę krzakami i lasem obrosła prowadzi mię do celu — spuszczam się w gęsty las, za którym odsłania się równa i zielona jak bilard łąka mająca takie same lesiste góry po drugiej stronie.

Obejrzałem się dokoła po tym zachwycającym obrazie, po tym uroczym zakątku, jakby umyślnie schowanym przed ciekawością ludzką — ale skały, owój Kmitowskiéj skały dopatrzeć nie mogłem. .

Na paręset kroków odemnie spostrzegłem grupę chłopaków wiejskich, leżących na przykopie ciągnącym się wzdłuż wielkiego rowu, przerzynającego poprzek dolinę. Dobiegłszy do nich, zapytałem: gdzie tu jest skała Kmity?

— Ot tam! — ze dwudziestu żołądzi!

Spojrzałem za wyciągniętą ręką chłopaka, i oko moje zatrzymało się na wysokiej jak wieża skale, wyrastającej u podnoża lesistej góry, ale zarazem zaintrygowane drugą połową odpowiedzi, zwróciło się na bliską grupę parobków, którzy leżąc na brzuchach i paląc cygara robili poobiednią partyę maryasza.

— A przejdzie tędy do skały? zapytałem znowu.

— Nie przejdzie, bo rzeka—skupuję pamił.

Żaden z nich nie raczył spojrzeć na mnie, tak byli grą zajęci! uważałem nawet, że ich gniewało moje natręctwo, przeto o wdaniu się w jaką dłuższą rozmowę niepodobna było myśleć. Puściłem się więc przez łąkę wprost ku skale, rozmyślając o błogich darach cywilizacyi, i o zielonych stolikach zastąpionych tak szczęśliwie przez zieloną murawę.

— Niebawem stanąłem u celu wycieczki.

— Kilkunastosażniowa skała, stercząca prostopadle do poziomu łąki, a raczej do zwierciadła Rudawy, płynącej u jej stóp, jest prawdziwą osobliwością, bo w pasmie wzgórzów, do których przypiera, nie widać podobnych skał; zato po stronie gdzie stałem, odpowiednie wzgórze jeży się łomami pogruchotanych szarych piaskowców, wprowadzie mnieź malowniczych, lecz zawsze naprowadzających na domysł, że przed wieki tworzyły one jakby mur olbrzymi, który woda Rudawy podmyła, i przerwała, i ciągle unosząc po kawałku, zrobiła sobie wygodne przejście.

W rzeczy samej skała, dziś przechrzczona mianem Kmity, przedstawia jakby jeden słup rozwalonej bramy. Koryto brudnej Rudawy, wylewającej czasem na całą szerokość łąki, trzyma się resztek tych ruin, datujących zapewne od potopu.

Fizyonomia tego miejsca, krom bardzo malowniczego uroku, ma jeszcze coś niezwykłego, co rozbudza naszą fantazyę. — Cisza zamkniętej doliny, te wzgórza lasem porośłe, ta rzeka i nad nią stercząca skała, są gotową dekoracyą do bardzo dramatycznej sceny. Wyobraźmy sobie rozbity w dolinie namiot podróżującej księżniczki, która albo się posila podróżnym obiadkiem, albo téż szuka ochłody w nurtach ruděj rzeczutki, albo śpi na trawie; wyobraźmy ją sobie bardzo piękną, bardzo bogatą i postawmy na szczycie skały jakiego karpackiego Fra-Diavolo, pożerającego łąkowym wzrokiem jēj obiad, jēj klejnoty i jēj wdzięki.... Jakżebyśmy drżeli o los nieszczęśliwej księżniczki.... Lecz cyt! Karpacki Fra-Diavolo śpiewa długą arya, z której dowiadujemy się, (bo śpiewa wyraźnie), że jest przebranym kochankiem księżniczki, i że chce ją porwać i uprowadzić na swój zamek.... Spada

więc jak orzeł na łup swój.... porywa, uprowadza, jest goniony, nie daje się dogonić i t. d.

Widzimy jak wyobraźnia mogłaby nieskończone dziergać przygody na tle pięknego widoku natury; miejsca bowiem urocze rozbudzają fantazyą poetyczną, wprawiają w pewien rodzaj twórczego natchnienia. Że to jest własnością naturalną, najlepiej dowodzą wszystkie legendy i powieści gminne, przywiązane zazwyczaj do ruin zamków, do skał, mostów napowietrznych, pieczar, przepaści i t. p.

Rozróżnić tu jednak wypada wałęsającą się fantazyę, kaprysy wyobraźni dzisiejszych i dawniejszych romansistów, od téj pozytywności, jaka znamionuje wszelkie utwory gminne, zawsze bowiem i najdziwaczniejsza legenda lub podanie ludowe, osnute bywa bądź na prawdziwém zdarzeniu, bądź na wyobrażeniach mających styczność z ułamkami jakiej dawniej religii, pomieszanej z pojęciami chrześcijańskimi. Nic więc dziwnego, że uczeni badacze przeszłości narodów, nie pomijali podobnych legend i tradycyj, a chociaż te nie dostarczały im faktów, mogących wytrzymać historyczną krytykę, niemniej jednak znachodzili w nich ślady najdawniejszych wyobra-

zeń religijnych i społecznych. — Legenda przeto stała się wielce szanownym materiałem, równie dla historyka jak dla poety, który widząc w niej złożone stare ziarno samodzielnego ducha, przenosił je na pole dzisiejszej uprawy, i wyprowadzał kwiat swojski, wypielegnowany wszystkimi środkami sztuki.

Cała najświeższa literatura nasza obmyła się w tém nowém źródle, surowy materiał został użyty przez mistrzów sztuki; a to zetknięcie się z samorodnym natchnieniem i pojęciami pierwotnymi, naprowadziło niejako na drogi właściwe równie pod względem formy jak ducha. — Największa przeto wartość tych źródeł, tego surowego materiału w tém się mieści, jeżeli do tych zabytków przywiążem tę samą wiarę, jaką w nich gmin pokłada, który dla próżnej zabawki, czyli dla kaprysu niema zwyczaju tworzyć. — Poeta przynajmniej powinien mieć tę prostotę wiary i to przejęcie się ilekroć dotyka podobnego przedmiotu i chce go nam podać za utwór wyobraźni ludowej, upiękniony tylko środkami sztuki nowoczesnej. — Uważam zaś za cel zupełnie chybiony, wszelkie usiłowania sztuki w podrabianiu takich źródeł i surowych materiałów.

Naprzód, że surowy a fałszywy materyał nie bogaci literatury, tak jak podrobiony dyplom lub kronika nie bogaci historii; podrugie, że byłaby to zabawka niekosztująca wielkiego wysilenia, aby na podobieństwo mnóstwa autentycznych legend, podań i powieści, układać nowe i przypinać je do pewnych miejsc, które jak nam się zdaje, powinnyby mieć swoje legendy, a jednak ich nie mają. Zapewne urocza to rzecz, kiedy jaka ruina, jaka stroma skała lub pieczara, opowiedzieć mogą o olbrzymach lub walecznym rycerzu, o nieszczęśliwym kochanku zabijającym się z miłości, lub o duchach strzegących zaklętego skarbu. — Wprawdzie w Skandynawii, w Niemczech, Szkocyi, Bretanii za każdym krokiem napotyka się na tradycye tego rodzaju — ale nie idzie za tém, aby lud naszej ziemi miał taką samą zdolność czy potrzebę ubarwiać kwiatami wyobraźni każdy gruz zamkowy, każdą skałę, źródółko, figurę, nie dlatego, żeby bogactwo jego fantazyi było mniejsze niż Skandynawów, Bretonów, Szkotów, lecz że najdawniejszy świat jego mityczny o wiele był prostszy, zatém nietyle skomplikowany, co u innych ludów więcej posunionych w przedchrze-

ściańskiej cywilizacji; co się zaś tyczy udziału w życiu dziejowém, wiadomo nam bardzo dobrze, jak mało obchodziło go to, co się działo w sferze panującej klasy. Legend przeto i podań, podobnych do legend i podań północy i zachodu, daleko mniej mamy, a i te co są zebrane, w bardzo małej tylko części wyszły z ust gminu.

Rozostają więc podania i legendy narodowe—skarb bardzo drogi, bo ściśle połączony z historią tak Rzeczypospolitej jak pojedynczych domów. Część ich przechowała się w kronikach, część w tradycyi rodzin, część w ustach ogółu, lub w pomnikach. Wszelkie fałszowanie takich podań jest nieusprawiedliwioną lekkomyślnością, bo odejmuje wiarę w te co są.

Szereg tych uwag przelatywał mi po myśli przez cały czas moich odwiedzin u skały Kmity, która jest sobie dokumentem geognostycznym, ale legendowo - historycznym nie jest bynajmniej.

Ktoś, co się zapewne naczytał lub nasłuchał legend zamków i skał nadreńskich, miał znaleźć urywane słowa wyryte na głazie, słowa krótkie ale wymowne: *Sroga miłości mojej*



*moc dręczy duszę — Wiara — Bóg — Miłość,*  
 a poniżej nazwiska: *Kmity i Bonarówny*, a na-  
 wet i rok 1515. — Znowu na mniejszej obok  
 skale miały się znaleźć także urywane wyra-  
 zy, czy końcówki, z których złożono wiersz  
 taki z ortografią niby szesnastego wieku:

Kthory z was przyjdzie thu  
 Mając męztwo w owym dniu  
 Tho i radost może mieć —  
 Zasie kthóry przyjdzie thu  
 Ma strapienie w owym dniu  
 Tho i spokój może mieć.

Dzisiaj to wszystko wyryte jest ogromnemi-  
 zaczerntonemi literami na ścianie pionowej  
 skały; a nawet żeby już żadnego świadectwa  
 nie brakowało, dołożono: że z téj skały rzucił  
 się w Rudawę Stanisław Kmita, który potykał  
 się mężnie z Tatarami pod Wiśniowcem w ro-  
 ku 1512. Przyczyną jego śmierci miała być  
 nieszczęśliwa miłość do Bonarówny z Balic,  
 a nieszczęśliwa dlatego, iż dumni Kmitowie  
 nie chcieli mu pozwolić żenić się z mieszczanką.

Nie mam tu zamiaru historycznie zbijać  
 téj bajki ukleconej z powierzchownych skazó-  
 wek, dość tylko zrobić uważnym na ducha jój,  
 aby odgadnąć, w jakim się czasie zrodziła.

Kinita zostaje samobójcą, bo mu nie dają zenić się z mieszczańką krakowską! — Zapomniał kompozytor téj legendy, że ród Bonarów łączył się z najpierwszymi domami, między innymi z domem Pilawitów Kamienieckich. — Ale już mniejsza o te widoczne brednie, bo tu się nasuwa najprostsze archeologiczne pytanie: gdzie ślad tych dawnych napisów? gdzie aby jedna litera?

Nadaremnie szukać po wszystkich bokach skały — najbujniejsza chyba wyobraźnia (tak w archeologii niepotrzebna) mogłaby w odwiecznych wyźłobieniach, datujących od pierwszej formacji tych skał, znaleźć jakie podobieństwo, do którego z alfabetów runicznych lub gwoździowych, ale nigdy do charakterów szesnastego wieku, choćby rytych drżącą ręką idącego na śmierć kochanka. — Ktoś sobie zmyślił to wszystko — i podrutował przed laty w Pszczółce, w Przyjacielu Ludu, w Opisie Krakowa, w Pamiętce z Krakowa i t. d. Do stało się to nawet i do zbioru Legend Krakowskich, drukowanych podobno w Gazecie Warszawskiej przez p. Łepkowskiego, który zapewne w tym razie zamieniwszy lupę archeologiczną na dźwięczną citharę, przejął

się wiarą ludu i uwierzył — w bajkę świeżej fabryki.

Najgorzej jednak zgrzeszył ktoś, co pozwolił sobie sfabrykować monument. — Drukowanym rzeczom można dziś wierzyć lub nie wierzyć, ale ryć na samorodnym głazie napisy mające trwać wieki, to już więcej niż *licentia poetica*. Może kto powie, że tu nie idzie o żaden wielki fakt historyczny, tylko o nie-szczęśliwą miłość dwojga kochanków. — Przyznaję; jednak nie widzę powodu dawać tej sfałszowanej parze to samo nieledwo znaczenie, co sławnym po świecie pamiątkom He-loizy i Abelarda, Julii i Romea.

Wielkie to kłamstwo wielkimi wydłutowane literami przez jakiegoś miłośnika fałszywych pamiątek, odejmuje cały urok tej uroczej Zabierzowskiej dolinie, która była bardzo piękną, bardzo sielską, póki nie miała pretensyi zrobić się ostatnią kartką wertery-cznego romansu.

Zdaniem mojem większą wyświadczyłby przysługę jaki miłośnik prawdy, coby kazał zdrapać dłutem ten napis, niż ów, co go wyryć kazał. Dolina nie straciłaby nic na tém, owszem zyskałaby, zapraszając do miłych rozmy-

ślań, gdy teraz bałamucąc niedorzeczną legendą, nasuwa fałszywe wyobrażenia o usposobieniu moralném naszych pradziadów, którzy mogli miłość czuć równie namiętą, jak w najromantyczniejszych peryodach naszej literatury, ale inaczéj wychodzili z niepodobieństw i trudności połączenia się, jak przez samobójstwo. — Kroniki domowe zachowały nam jeden taki wypadek owego Żółkiewskiego, co zakochany w Daniłowiczównie udał, że się chciał przebić sztyletem w oczach panny, aby wzbudzić jéj afekt ku sobie, tymczasem zawiodła go własna ręka, i uderzenie było silniejsze niż zamierzył. Konając wyrzekł: „Nie chciałem tak.“

W czasach religijniejszych samobójstwa były bardzo rzadkie, a najrzadsze może samobójstwa z miłości.

W epoce Russa lub Getego, Rance byłby się niezawodnie rzucił ze skały, lub zastrzelił, a choć to już był wiek XVII, nie odważył się na to i został trapistą. Cóż dopiero dopuszczać podobny wypadek w początkach panowania Zygmunta I, kiedy jeszcze niesłychać było o tym wpływie włoskich obyczajów, którym zazwyczaj tyle złego u nas przypisują,

ani o Werterze, który wprowadził w modę samobójstwa z miłości.

Kamienny ten apokryf nic a nic nie przyczynia interesu, ani wdzięku cudnym okolicom Krakowa, ale że uwłacza prawdzie historycznej, a nawet poetycznej, to więcej niż pewna; i przyznam się, nie zrobił na mnie innego wrażenia jak te, które ma każdy miłośnik starożytności, wchodzący do sklepu brokantera, sprzedającego podrabiane miecze, zbroje, szyby malowane, bożki egipskie, talerze Bernarda Palissy, Etruski i t. p. graty dla nasyceń próżności pieniężnej, lecz w znawcy wstręt tylko budzące.

Próżność archeologiczna zaczyna, jak z tego widzę, rozwijać się zaraz w początkach tej świeżej u nas nauki—co dowodzi tylko to, że archeologia traktowana jest dotąd, jak zabawka umysłów, nieumiejących zająć się czém lepszym.

Ten i ów rad wielce, że go tytułują archeologiem, że zasiada w komissyach wyznaczonych *ad hoc*, wierzy nakoniec, że jest głębokim badaczem i znawcą starożytności, kiedy nie jest niczém więcej, tylko prostym kolekcjonistą—bez kolekcyi.

Archeologia oprócz tego, będąc jak wiemy, ostatecznym dopełnieniem wiadomości historycznych, każe się koniecznie domyślać, że ten, co się jój poświęca, umie historję na palcach; — tymczasem wielka liczba naszych archeologów wtenczas dopiero zaczyna się uczyć historyi, gdy im takowa potrzebną jest do objaśnienia jakiego zabytku. Co za rezultat ztąd wynika? łatwo się domyśleć. Zamiast wyjaśnienia, następuje zagmatwanie; gdyż taki, co szuka wyjaśnienia zabytku po historyach, których nie zna, zazwyczaj gromadzi wszystko, co mu pod rękę padnie, i chrzci mianem dowodów, chociaż takowe nie obstają za dowody, po jakich bystra głowa Zadyga odgadła nieznaną osobę z suczką.

Od czasu, jak wyraz *Archeologia* zaczął się plątać po pismach czasowych — a będzie temu lat dobry dziesiątek, ośmieliłbym się zapytać: gdzie jest choć jedno odkrycie, choć jeden pomnik odnoszący się do starożytności słowiańskiej, wyświecony i wyrozumowany gruntownie? Do jakiego ludu należą te rozkopywane mogiły? te urny, te narzędzia i bronie kamienne? Domyśłów śmiałych niebrak, bo te niewiele kosztują — ale proszę o dowody,

dowody namacalne i zgodne z tém, co zapisane w dziejach. Powiadają, że nie mamy muzeum, gdzieby na zgromadzonych wykopaliskach można było robić porównawcze studia, zapewne, ale gdzieindziej są muzea i także wykopaliska; potrzebaż je znać w całej rozciągłości, żeby o swoich można było coś sądzić.

To samo stosuje się i do zabytków z naszych wieków średnich. Kiedy się co znajdzie podobnego, będą domysły najsprzeczniesze i najśmieszniejsze; jedynie z téj przyczyny, że archeologowie *narodowi*, nie pofatygowali się jeszcze do poznania starożytności średniowiecznych w całym chrześcijańskim świecie. Nietrudno téż słyszeć takie kwalifikacye: że każdy obraz malowany na złotém tle, należy tém samym do szkoły bizantyńskiej, lub lada okno niezasklepione w ostrołuk, odesłane bywa do architektury romańskiej.

Od poczynającej umiejętności zapewne nie można wiele wymagać, gdyby tą umiejętnością nie była archeologia, która niczém innym nie jest, tylko prostym wynikiem studyów historycznych. Lelewel nigdy się nie kwalifikował archeologiem, a jest nim w całym słowa znaczeniu; podobnie jak są archeologami:

Maciejowski, Gołębiowski, Sobieszczański, choć tylko spisywali i klasyfikowali zabytki odnoszące się do przeszłości narodu.

Spytaj lada porządniejszego brokantera w Niemczech lub Holandyi o jaki przedmiot starożytny, a wnet ci oznaczy jego wiek, jego pochodzenie i cel użycia. U nas nie spotykamy się z tą biegłością, mianowicie u patentowanych archeologów; chociaż mam to przekonanie, że mieliśmy i mamy znawców, którzy znali się i znają na zabytkach starożytnych, ale o nich nie piszą; zostawując ten trud tym, którzy się nie znają wcale, a pochopni są do tworzenia systematów i domysłów.

Nicby nie szkodziła ta zabawka archeologiczna, gdyby nie pociągała za sobą téj niestosowności, iż jaki taki, co zebrał kilka starych garnków, lub oglądał parę karabel i ostróg, nie uważał się już za dzielnego pracownika w archeologii, i zamiast pracować na seryo w dziejach, nie poprzestawał na czczym tytule.

Narody daleko posunięte w kulturze, dopiero wtedy zaprzatają się archeologią, gdy kraj swój dobrze poznają, a nadewszystko dokonają co najważniejszych robót na polu historii; wreszcie nauka ta aż wtedy zaczyna



badaczów obchodzić, kiedy muzea ich zostaną napełnione najrozmaitszemi przedmiotami starożytności; albowiem, żeby mieć wyobrażenie rzeczy, trzeba ją widzieć zbliska, lub w rysunku, żeby ocenić, trzeba porównywać; a porównywać nie można, kiedy się niewiele widziało i czytało.

---

## XIV.

### IMPROWIZOWANA LITERATURA I PODRÓŻE HISTO- RYCZNE J. U. NIEMCEWICZA.

---

Wielka część piszących dzisiaj ubiega się przede wszystkim o oklask pewnej opinii, dogadza jej nie oświecając, unika prawdy, żeby nie niepokoić sumień, rozdmuchuje pospolite namiętności, żeby wywołać wiatr pomyślny, i zyskać choćby krótkie powodzenie.

Podobni oni są w tém do tych aktorów, co wiedząc o złym smaku publiczności, źle grają, aby na oklask zarobić; niektórzy z nich mogliby nawet dobrze grać, gdyby smak publiczności był dobry.

Wyjątkiem są ci, co grają najlepiej jak mogą, nie oglądając się na galeryę.— Powyższe te porównania odnoszę szczególnie do płodów piśmiennictwa podawanych na gorąco, czyli do całej improwizowanej literatury, która przekroczywszy granice przepisane sobie prawem własnej natury, zapanowała udzielnie.

Póki improwizacya mieściła się w ramach dziennika, nikt na to nie sarkał. Bieżąca rzecz wymaga nagłości pióra, śmiałych skoków, niekiedy namiętnych uderzeń, bo jój zadaniem przygotowywać drogi do nowych widoków, zwalczać dawne błędy lub nadużycia, prostować sądy, słowem, tworzyć lub niszczyć.

Cudowne to narzędzie, ale tylko narzędzie, którego los mniej świetny, lubo posłannictwo zaszczytne. — Taka dziennikarska improwizowana literatura buduje lub niszczy, ale sama znika bez śladu. Gdyby jaki naród nie miał nic więcej do pokazania, tylko podobne płody, okolicznościami bieżącemi wywołane, a poświęcone chwili; właściwy skarb literatury byłby nadzwyczaj ubogi, a raczej tak podejrzanej zamożności, jak te banki co wielekroć więcej wypuszczają papierów, niż mają zakładowego kapitału. Dlatego też tak bywało, że

obok hałasliwego, chwilowego piśmiennictwa, obok téj improwizowanej *mówionej* literatury, była inna, niemieszająca się bezpośrednio w ten gwar, spokojna, rozmyślna, głęboka, że tak powiem *pisana* literatura, istny kapitał zakładowy, na którego rachunek i w imię zasobów, puszczano tak hojnie papiery i zdawkową monetę.

Widzieliśmy to u nas, jak między innymi w ścieraniu się romantyzmu z klassycyzmem, kiedy pisma czasowe wrzały teoryjami nowych estetyk i dawnych poetyk, pojawiały się obok tych sejmikowych gwarów, dzieła to jednéj to drugiéj chorągwi, ale dzieła pisane na przeżycie.

Byłto naturalny bieg rzeczy, i nikt na to nie nastawał. Dziennikarstwo zyskiwało tylko na tém, bo miało z czego się zasilać. Język i styl wyrobiony w pomyślanych na cichości dziełach, moc wyrażen, sztuka obrazowania, zwroty i figury, zgoła wszystkie indywidualnych talentów zdobycze, stawały się pomału własnością pochopnéj do pióra rzeszy, która odrazu przychodziła do gotowego, z tą nie wszystkim dostrzeżoną różnicą, że przynosiła ze sobą przymioty rozwodniające, czyli zro-

zumiałej: to co było energiczne, ściśnięte i zbite, roztwarzała wodą własnej nicości; co było jednego rzutu zaokrągleniem, rozdrabiała, lub w nieforemną składała bryłę. Dzisiaj można by w tém widzieć symptom pewnego opadnięcia sił twórczych, brak intuicyi i pracy wewnętrznej — bo to prawda, że większa część obecnie piszących przeżuwa jeszcze te idee, jakie rzuciła młodość pełna poetycznego zapалу, pełna rojeń i utopii o losach ludzkości, ale razem pełna niedoświadczenia i nieznamośności rzeczywistego świata, a nadewszystko tych prawd, które dlatego że mają formę, byt i powagę uświęconą błogosławieństwem wieków, raziły jój poetyczną pychę i niezregulowaną fantazyę. Taka niekarność w pierwszych chwilach romantyczno - narodowego ruchu, kiedy wszystko tchnęło młodzieńczą świeżością i wonią, daleko mniej była rażąca i szkodliwą, niż dziś, kiedy tyle mgieł poszło na dół, a tyle odkryło się blizkich ugorów i ruin nakazujących uprawiać i dźwigać niejedno, co odpoczywało w zapomnieniu, lub zdeptane było nierozumnie.

Improwizacya na pewne temata na nic się tu nie przyda, bądź ją się poda w formie ro-

mansu, czy poematu, czy dramatu, może bawić, rozrywać w chwili beczynnej nudy i czezości, ale pożywnym pokarmem nie jest bynajmniej.

Nie chciałbym, żeby czytelnik posądzał mię o chęć potępienia wszystkich utworów poetycznej fantazyi i uczucia, bo znam cały ich urok i rozkosz jaką przynoszą, jeżeli są takie, jakimi być powinny.

Na nieszczęście, które sobie można tłumaczyć niepomyślném położeniem dziennikarstwa, gdzie rozbiory kwestyj bieżących i wszystkich pytań zblizka obchodzących społeczeństwo, nie znajdują przystępu, a może piór ukwalifikowanych, literatura przemożną ręką opanowała kolumny dzienników. Romans i powieść przyjęły tam na siebie powinność nie tylko bawić, ale częstokroć dotykać tych pytań, jakie społeczność rzucała sobie co chwila. Tym sposobem robiła się polityka romansowa, a romans politycznym; co więcej, sąd nawet krytyczny ulegał tym widokom, bo najczęściej i najlepsze płody szły na potępienie, jeżeli ten, co je pisał, miał nieszczęście nie zyskać afektu redaktorów; jak znowu nie żałowano pochwał najmniejszym elukubra-

cyom, tam gdzie zachodziła kamraderya i afekt. Cała ta jednak robota prowadzi się krytym sztychem, albowiem nikt jeszcze nie dopatrzył ściśle określonej opinii tych dzienników; są tam bowiem więcej żołądkowe humory, kaprysy, osobiste przywidzenia, drobne rywalizacje, wzajemne przekomarzania się, a nie jakaś na ściśłym rozumowaniu, lub na sile przekonania oparta opinia.

Nie można jednak powiedzieć, żeby niektóre pisma nie wstępowały na właściwszą drogę i nie brały swego zadania sumiennie i na seryo. Wszelako trudny to krok, zwłaszcza kiedy się ma do czynienia z publicznością łaknącą zabawki a nie światła, przedstawiającą na dorywczych namiętnych sądach, bałamuconą krzyżującymi się opiniami, które są bez żadnej podstawy. Grzech dziennikarstwa, które nie myślało o tém nigdy, jak na pewnych uświęconych zasadach wykształcić sobie publiczność czytającą, stał się dziś zbyt bijącym w oczy, żeby go dostrzedz nie można, żeby nareszcie walka w naprawieniu dokonanego już złego, nie była trudną.

Szczególniej literatura w ściśłym znaczeniu doznała przez dzienniki niemałego uszczerbku,

przez to, że miała zastąpić te braki, jakie się uczuwać dawały w części nieliterackiej. Romans i powieść zajęły tam wszechwładne miejsce, dostarczając dzień w dzień pokarmu, który ani tuczył, ani uczył, bo nowych, głębszych natchnień i studyów nie przybywało, a potrzeba cisnęła codzien napęłniać kolumny. Sztuka więc poważna, wyższa sztuka nie mogła wyżyć na skromnym chlebie improwizacji, która brała z gotowego, obracając się ciągle w kółku jednych i tych samych idei i figur; bo ażeby wystarczyć na potrzebę dziennika, nie było czasu do przetrawienia i wypracowania. Co gorsza, prawdziwe nawet talenta wyczerpywały się przedwcześnie tém przerabianiem i rozwodnianiem pierwszych, niekiedy szczęśliwych prac swego pióra. Rozrzutność sieje ale nie zbiera. Utwory, krózych przeznaczeniem żyć w przyszłości, wyzuły się dobrowolnie z tego przywileju, i poprzestały na dziennem zajęciu; a chociaż później wychodziły w osobnych odbiciach, tworzących nieposiekaną całość, mimo tego nosiły w sobie zaród śmierci, mający źródło w improwizacji pospiesznej a przewlekłej. Starożytna mitologia wyobraża czas w postaci



starca uzbrojonego kosą, —symbol ten dobrze zastosować można do płodów improwizowanych: starzec bowiem wszystko niemiłosiernie kosi co tylko na świat przychodzi przedwcześnie i bez niego

W kompozycji dzieł sztuki, improwizacja może tylko być szczęśliwym przypadkiem, nigdy regułą. Jeżeli natchnienie zapuka do drzwi autora, i usiądzie obok niego, niech sobie improwizuje, niech słowa cisną się pod pióro, niech się wyprzedzają uskrzydłone myśli, a energia słowa przepojonego uczuciem pali papier! Któż temu nie przykłaśnie, kto błogiej nie pozazdrości chwili?! Sąto jak wiemy najszcześniejsze, choć rzadkie momenta, sztuka podnosi się, porywa poetę, który uczuwa w sobie nieznaną siłę i udziela jój czytelnikowi; entuzjazm jego serca przelewa się prądem elektrycznym w moją duszę. Ztémwszystkiem gdzie ów uprzywilejowany człowiek, któryby miewał takie natchnienie na każde zawołanie, i nie potrzebował tylko zadzwonić, aby takowe spływało do jego pracowni? — O jeżeli jest gdzie ów wybraniec — dajcie go nam, niech sobie improwizuje bez końca i miary, a pewnie nigdy nie będziem utyski-

wać, że nas zarzuca swemi płodami, lub że pisze przyspieszoną prędkością. Gdy jednak jeszcze się nie znalazł tak szczęśliwy geniusz, a nieznanne nam jest pióro, któreby latając od rana do nocy sypało same klejnoty — przeto zawsze uważam owego mitologicznego staruszka, za niezbędnego pomocnika w każdym płodzie, jeżeli nie ma chęci liczyć się do poronionych. Wprawdzie jednemu praca tworzenia idzie szybciej, drugiemu tępiej; ale czy w jednym czy w drugim przypadku, który jest dla czytelnika obojętnym, pozostaje prawo wymagać po piszącym, ażeby dzieło swoje doprowadził do téj doskonałości, na jaką może się zdobyć jego talent. Przeciwnie, jedyny sposób, ażeby nigdy téj doskonałości nie osiągnąć, jest ciągle improwizować spore tomy romansów, powieści, podróży i poematów, w miarę jak bezdenna czeluszka dziennika dopomina się o swoją strawę, w miarę, jak natarczywy nakładca ofiaruje hojną zapłatę. Gość niebieski nietylko nie daje się zatrzymać tak długo jak pióro bieży, ale nigdy podobno się nie zbliża do stolika, gdzie się odbywa ta pospieszna fabrykacya na zimno, z pomocą patronów w kreśleniu charakterów

a raczej figur, i z pomocą kombinacji, które dostarczają kilkanaście kategorii głównych z małemi odmianami; wszystko zaś zaprawia się ostrym sosem ironii przeciw urządzeniu społeczeńskiemu, i kilkoma naciągnionemi efektowemi sytuacyami, aby podrażnić ciekawość czytającego.

Że to nie żadna przesada, odwołuję się do pamięci czytelników, aby raczyli powiedzieć, ile to jest takich publikacyj w tym rodzaju, coby zostawiły w umyśle jaki ślad trwalszy, coby wprowadziły cię w nowy świat myśli i uczuć, coby zaszczepiły w wyobraźni jaki wzniosły ideał, któryby się unosił nad powszednią rzeczywistością i rozświecał ciemne i smutne drogi żywota?

Nie wątpię bynajmniej, aby pisarze nasi wyższego polotu, nie byli w stanie zdobyć się na coś podobnego, ale nie zdobędą się dopóki nie zrzucą przekonania, że pospieszna produkcyja, co to niewyschnięta jeszcze już idzie pod prasę, prawie zawsze niema przyszłości; że to, co chwilowa wywołała potrzeba, mija z nią razem.

Przeniesienie się literatury w pisma codzienne, ma to konieczne następstwo, że ta-

kowa staje się improwizowaną, a stając się taką, musi spekulować tylko, żeby bez trudu zajmować niezatrudnionych, żeby fantazyę ich zaprzętać, nie tykając umysłu i serca; bo aby opanować te dwie władze, potrzeba spotęgować siłę umysłu i serca w samym sobie, co naturalnie kosztowałoby zbyt wiele i nauki i krwi własnej.

Sumienność tak niezbędna w dziełach sztuki, wychodzi coraz więcej, ze swoich karbów i zamienia się w zręczność, jest to nowa faza nierokująca dla naszej literatury wielkiej świętności; a lubośmy jeszcze nie doszli, do czego dość zwawo dążymy, jednakowoż spokojny dostrzegacz może już wskazać wyraźne symptomata téj nowój choroby. Ze nową jest w literaturze polskiej, o tém niema najmniejszej wątpliwości; bo za jakichże to czasów drukowano tyle bez żadnego celu, jedynie aby podsycać i karmić ciekawość rzeszy? wprawdzie z intencją moralizowania jój, lecz wiotka nauka zazwyczaj w las idzie; w tych bowiem utworach część nauczająco-moralna bywa powszechnie mniej powabną, niż fikcja zawierająca głowę bardzo improwizowanemi scenami.

Że tak się dzieje we Francyi, Niemczech, Anglii — nie przeczę, ale za cóż koniecznie ma się dzieć w naszym kraju, kiedy w tém więcej jest sztucznego wyteżenia, niż rzetelnój potrzeby? Przecież bez improwizowanej literatury całe trzy wieki mają się czém lepszym poszczycić, jak kilkudziesięcią tomami niestrawnych kłamstw takiego lekarza - autora, na którym może najwięcej ciąży ten grzech improwizatorstwa. Któż jeżeli nie on improwizował jeografię, ludzi, przygody? Kto z całym urokiem przybywającego zdala peregrinanta prawił niestworzone rzeczy o sobie i o tych ziemiach, gdzie nigdy nie był, a wykształcony świat stolicy słuchał go, wierzył mu i poklaskiwał, chociaż ruskie przysłowie mówi: *na seło duryty*. — Ztémwszystkiém niepodobna rzucić nań kamieniem, bo on odpłacając za sympatyczny oklask, brnął dalej, mówiąc sobie zapewne w duchu: jeśli was to bawi, dla czegoż mam skąpić konceptu, zwłaszcza kiedy towar popłatny? — I sypały się podróże po Skandynawii, Anglii, Francyi, Hiszpanii, Maroku, a nawet po rodzinnych ziemiach, a kiedy mu już łądów zabrakło, zajrzał podobno na księżyc, która to podróż musi być niez-

wodnie najwiarogodniejsza, przynajmniej nie-  
prędko znajdzie się śmiertelnik coby powie-  
dział: mylisz się panie doktorze, to nie tak,  
ja tam byłem!

Szalone powodzenie improwizowanego li-  
terata, który bądź co bądź nie jest bez przy-  
rodzonego talentu, skończyło się, czy nie  
skończyło się, nie wiem, ale to wiem, że od  
niego wyraźnie pochyna się era improwizowa-  
nia dzieł, a każde po cztery tomy.

Nic dziwnego, lekarz, łatwiej niż zwykły  
profan, odgadł słabość publiczności; w tém  
tylko niedobłą przyjął metodę, że zamiast lé-  
czyć z choroby, on ją powiększał. Bądź jak  
bądź, śmiały ten improwizator zrobił prawdzi-  
wą rewolucją w państwie naszej literatury,  
a rewolucją na korzyść piśmiennego proleta-  
ryatu, z téj miary, że pokazał własnym przy-  
kładem jak można pisać książki z niczego,  
a zaczepiać o każdy przedmiot bez przygoto-  
wania się do niego, a brak oczywisty zastępy-  
wać fraszkami powszedniego życia, anegdo-  
tami i plotkami.

Wziąwszy sobie za cel bawić opowiada-  
niem własnych przygód doznanych nietylko  
w obcych krajach, ale na ziemi rodzinnéj, opi-

sywał wycieczki w strony, które mógł poznać tylko z daleka lub powierzchownie. — Jakoż w rzeczy samój, nic o nich nie powiedział takiego, coby nie było lepiej znane z podań ludzi, którzy wiarogodne zebrali postrzeżenia na miejscu. Natomiast sztukował hojnie drobnostkami z prywatnego życia na jakie się co dzień patrzy; wyprowadzał na scenę osoby, nazywając je bez ogródki po ich nazwisku familijném, albo téż nadając im bardzo przezroczyste pseudonimy. Gdyby jeszcze zachował był tę delikatność i na karb tych osób nie kładł żadnych śmieszności, lub nie wystawiał ich w niepoehlebném świetle, łatwiej byłoby do przebaczenia; jakkolwiek wprowadzanie takie na scenę figur niehistorycznych, ani głośnych w świecie, zawsze tak jest nieprzyzwoitém, jak pokazywanie na kogoś palcem w miejscu publiczném.

Pierwszy to krok do gorszącego nadużycia niepraktykowanego dotąd w naszej literaturze, aby nawet kąty domowe ze swemi mieszkańcami, nie były wolne od figurowania w dziełach panów autorów zakłopotanych czém je zapełnić. Co więcj, raz przekroczona granica przyzwoitości, otwierała obszerne

pole do wetowania wszelkich osobistych uraz i zawiści. Przypuśćmy, że tutaj nie przyjęto pana autora tak pochlebnie jak sobie rościł, owdzie starto zuchwałe zdanie, gdzieindziej nie odpowiedziano na dziką pretensyę; tu ktoś krzywo na niego popatrzył, może na pierwszym nie posadził miejscu, a słów jego nie uważał za wyrocznię, owoż zemsta! trzebaż go za to wsadzić w powieść lub podróż, skarykaturować, okryć śmiesznością lub błotem, i żeby się przed odpowiedzialnością zasłonić, a dla tego swoje zrobić, zostawić mu własne jego nazwisko rodowe z małą przemianą jednej literki. — Cóż to za pociecha dla świata lubiącego komeraże i zawsze bardzo uszczęśliwionego na widok cierpienia każdej miłości własnej!

Jestto jedna z najpospolitszych ułomności natury ludzkiej, cieszyć się z drobnych upokorzeń bliźniego, ale jój exploatować niegodzi się autorowi umięjącemu szanować swoje powołanie. Tymczasem exploatacya zakątów prywatnego życia prędkie u nas zrobiła postępy; rodzaj ten zapewniał najkorzystniejsze książkom powodzenie; i nie myłono się, bo na



słabość ludzką daleko więcej można rachować niż na poważne przymioty rozumu lub serca.

Tajemnica ta tłumaczy mi po większej części przyczynę powodzenia naszego Lekarza-Autora; potoczne plotkarstwo zmieszane z małymi skandalikami, trafiło w zepsuty smak publiki, lubo i tego nie można zaprzeczyć, że żywość matamorskiego opowiadania, śmiałość w dopadaniu każdego przedmiotu, ciętość dialogu, i ten sposób śmiania się z własnego dowcipu, który nie zawsze bywa dowcipnym, mogły na razie zawrócić głowy, jak szalona polka po której można skakać do upadłego, ale która przecież od symfonii Beethowena lub mazurka Chopina daleka, jak ziemia od nieba.

Powie kto na to: polka do tańca, symfonia dobra do koncertu, czemużby i płody Lekarza - Autora nie miały mieć miejsca w literaturze? Zapewne że mogą mieć; ale gdyby ta polka wymagała skoków i figur gorszących, za które policja wyprowadza z miejsc publicznych, toby ją przecież wyrzucono z repertuaru muzycznego.

Jak każde tak i literackie ciało, powinno mieć swoje granice, poza które przekroczyć

jedno jest, co przენiewierzyć się statutom niepisany'm wprowadzie, ale nadany'm sobie i zachowywanym w uczuciu własnej godności. Rozbić je daleko mniejsza sztuka, niż przechowywać i przestrzegać.

Długi czas Republika literacka siedziała u nas na tém prawie, i zyskiwała sobie powszechny szacunek — dopiero swawola improwizatorów zakłopotanych, z kąd tu snuć wątek, kiedy go w sobie nie było, rzuciła się na to bezdroże.

Ponieważ dotykając téj materyi, napomknęło się o licznych podrózach w obczyźnie i kraju popisanych przez Lekarza-Autora, a z których wątpię czy kto odniósł więcéj pożytku, jak że się pustą gadaniną odurzył — przeto niech mi wolno będzie, dla pocieszenia czytelników, przebiez wraz z nimi Podróże historyczne Niemcewicza.

Podróże przygotowane były do druku jeszcze przed trzydziestu siedmiu laty, a chociaż dopiero w bieżącym roku wyszły na widok, nie straciły nic na interesie, pisał je bowiem mąż niemałego w kraju znaczenia, nie żeby wysokie urzędy piastował, lecz że był niejako uosobieniem myśli, przechodzącéj przez cię-

żkie próby, kołatającej się przez lądy i oceany, błyskającej wreszcie pośród cząstkowych i pozornych urzeczywistnień swoich nadziei, myśli co nie gasła, nie robiła ustąpień, tylko tradycyjalnie przechowywała drogą spuściznę, bez téj nieszczęsnej przymieszki teoryj i experimentów socyalno-politycznych, które tak mocno zawichrzyły pojęcia, tak ostudziły uczucia...

Samo to puszczenie się na podróże po kraju, zupełnie niepraktykowane u nas do czasu Niemcewicza, pokazuje jak wielostronnie pojmował swoje zadanie. Wskazać bowiem narodowi miejsca w dziejach pamiętne, otworzyć zapomniane grobowce, świątyniom i zamkom kazać opowiadać własną historję, przepatrzyć archiwa, na dzieła sztuki zwrócić uwagę, równie jak na ślady dawnéj zamożności, kultury i przemysłu, było to jedno, co każdą stopę ziemi uświęcić i przywiązać do niej przez powinowactwo historycznych prochów spoczywających w jéj głębi.

Niemcewicz zawsze miewał takie obywatelskie pomysły. Pisma jego pod względem sztuki niekoniecznie wytrzymują próbę, ale gwoli ducha, który je ożywia, pozostaną nie-

tylko wierném odbiciem się swego czasu, ale jakby wyznaniem wiary, na którą znaczne umysły zawsze podpisać się mogą. Pomysł historycznych podróży powziął on zapewne w tych kilkokrotnych żeglugach swoich do Zjednoczonych Stanów. Stęskniony za rodzinną skibą i ludźmi, musiał śród puszczy i cywilizacyi nowego świata, nieraz ślubować sobie, że za tę pielgrzymkę, do której los zmuszał, warto kiedyś zrobić nieprzymuszoną na własnej ziemi.

Po raz pierwszy w roku 1811 puszcza się w podróż po Krakowskiem, Sandomierskiem i Lubelskiem, gdzie rzeczywiście znajduje się najobfitsza kopalnia zabytków starożytnych, bo historia wypisała się tam wymownemi charakterami. Podziwiać należy, jak wtedy już kiedy badania archeologiczno - paleograficzne, daleko na niższej stały stopie niż dzisiaj, uwaga jego zwracała się na ważne przedmioty i niekiedy odgadywała je szczęśliwie. Wszakże, ile uważałem, nietyle go zajmowało odczytywanie zatartych nagrobków i innych napisów, nietyle silił się unosić nad spotykanemi malowidłami, ani nad odgadywaniem do jakiej szkoły lub mistrza należą; pieśni jeszcze i le-

gend gminnych nie poszukiwał, dla słowiańszczyzny pogańskiej nie exaltował się więcéj niż dla cywilizacji przez kościół, ale za to wciąż zaprzętała go ta myśl: jakimby sposobem zwiedzane przez siebie kościoły, zamki, mogiły, pobożowiska, ożywić wspomnieniami historycznymi i przelać je w serce ludu, aby zamieniły się w żyjące podanie.

Czy się tradycya da zaszczepić tym sposobem? nie jestem pewny, ale tyle przynajmniej wierzę, że historia tak spopularyzowana żyłaby nie w samych książkach bibliotek, ale i w uściech.

Wyobrażam sobie jak ciężko musiał się zasmucić nasz podróżny, kiedy zrobił małą próbkę w Krasnymstawie i zaczął wypytywać jakie wspomnienie zostało w gminie o głośnym fakcie historycznym, którego ten zamek był świadkiem. On, co liczył zdarzenie to do najgłośniejszych tryumfów Rzeczypospolitej, ani przeczuwał nawet, żeby było tak zapomnianém, jak zobaczymy z własnych słów jego:

„...Równó ze świtem poszedłem zamek oglądać. Już tylko dwie z niego ściany zostały, świadczące jednak piękną strukturę gmachu tego. Zatopiony w myślach, gdy na

nie poglądam, widzę wychodzącą z bliskiego domu mieszczankę, a mniemając, że przez podanie, okoliczności o więźniu przeszły do dzisiejszych pokoleń: moja panno, rzekłem, wielkie rzeczy działy się w tych murach, wielcy książęta siedzieli w nich, dziś co za różnica! Prawda, odpowiedziała kobieta; matka moja powiadała mi, iż było wesoło, kiedy tu pani Szlubowska mieszkała! Jeszczem był w osłupieniu nad niewiadomością, która mieszkanie to pani Szlubowskiej, za znakomity w dziejach naszych uważała wypadek, gdy m postrzegł przechodzącego dziada kościelnego. Ten starzec z siwą brodą, pomyślałem sobie, zapewne zna więcej. Staruszkę, rzekłem, w co się to ten zamek obrócił, od tego czasu, co w nim wielcy książęta siedzieli! Oj prawda — odpowie — pamiętam ja jak było wesoło, kiedy w tym zamku pan Oboźny siedział; co to za tańce, jakie biesiady, grała muzyka... Poprzeostałem rozmowy...”

Jak ze wszystkich okoliczności Ursyn nasz lubił brać wątek do swoich apologów, tak i tu widok bociana poprawiającego swe gniazdo na wierzchołku murów zamku Krasnostawskiego natchnął go taką apostrofą:

„Szanowny, rzekłem, bocianie!  
 Ty coś zapewne dobre wychowanie  
 Odebrał od swych rodziców;  
 Co z gniazda tego odwiecznych dziedziców  
 Ród swój prowadzisz, kiedy, chociaż dumni,  
 Tak są ludzie nierozumni,  
 Że nawet w miejscu na którym mieszkają,  
 Co się tam działo nie znają:  
 Ty, coś światlejszy nad nich tysiąc razy,  
 Powiedz krótkimi wyrazy,  
 Co ci twój ojciec, pradziad osiwiwały,  
 O Krasnymstawie podały.

Tu bocian dziób swój otworzył czerwony,  
 Coś zaklekotał; ale los odwieczny  
 Zbyt życzeniom naszym sprzeczny,  
 Nie chcąc by człowiek był nadto uczony,  
 Sprawił, że ludzie, choć pilnie słuchają,  
 Nie rozumieją co bestye gadają.

Zważając kiedy ta podróż była pisana, należy przyznać Niemcewiczowi pierwiastkowa uwagę, zwróconą na obojętność ludu dla podań historycznych; później często téj myśli używano przeciw klassie reprezentującej naród i wyrzucano jój, że nie przypuściwszy ludu do udziału w życiu publiczném, odepchnęła go tém samém od swojej historii. Zapewne, ale nie mogło być inaczej jak było w owym składzie Rzeczypospolitój, a nawet w za-

dnym innym kraju, z wyjątkiem może jednéj Hiszpanii: lud nie utrzymywał historycznych tradycyj, a jeżeli utrzymywały się jakie o zamkach i ich baronach, to po największej części dlatego, że ucisk ich i zbrodnie silniej się piętnowały w pamięci gminu, niż patryarchalny łagodny stosunek szlachty naszej do włościan. Rozszerzona tylko oświata po szkołkach wiejskich, mogła być podawać wiadomość własnych dziejów, lecz jak wiemy, nowszych to dopiero czasów usiłowanie. Wtenczas kiedy Niemcewicz jeździł do Prus królewskich wyznaczony przez dyrektora edukacyi publicznej (w roku 1812) dla zwiedzenia szkół publicznych, w jakże opłakanym stanie znajduje szkoły parafialne szczególnie po koloniach; rozkazu władzy edukacyjnej uczenia się krajowego języka, nie zachowywano tam wcale, a w Brzozowie pod Chełmnem otaczają go poczciwi włościanie, skarżąc się na nauczyciela, że ich rodzinnęj mowy uczyć nie chce.

Pierwszą jak wspomniałem podróż, odbył Niemcewicz w najhistoryczniejsze strony, bo w Krakowskie i Sandomierskie. Nie trudni się on, a przynajmniej nie goni za próznemi czę-



sto opisami prywatnych domów, nie łapie słów poufnej pogadanki, skandalów nie wyszukuje, osób po nazwisku przy niezaszczytnej okazji nie wymienia, ale pilnym okiem śledzi, gdzie jaka z przeszłości droga pamiątka, i choć ją nie zawsze umie ocenić i dokładnie opisać, jednakowoż znosi po cegiełce do świątyni historii. Ztąd wielce interesującą jest ta podróż, iż często wymienia takie zabytki, o jakich już dziś nie wiemy, chociaż dopiero czterdzieści kilka lat upłynęło od czasu jak patrzył na nie.

Wypisać niektóre, zda mi się rzeczą potrzebną, ażeby mogły posłużyć za wskazówkę dla dzisiejszych poszukiwaczy starożytności.

I tak: w Samsonowie znajduje stary dworzec modrzewiowy, z malowanemi dawniej ściany w jakieś postacie ludzkie, wszystko to pokryło bielidło, jak i tę belkę, którą odkrobawszy, wyczytał rok 1123. — Jeżeli jeszcze budynek ten utrzymuje się, a napisby się sprawdził, byłbyto najszacowniejszy architektoniczny zabytek.

Znowu w pałacu biskupim w Kielcach widział, jak mówi: w suficie wyborne malowanie. Na jednym obrazie król bogato ubrany

po hiszpańsku, po jednej stronie kanclerz w polskim ubiorze i hetman z buławą, po drugiej osoby w cudzoziemskich strojach, przed królem obcy posłowie.

Podróżny nasz, nie umie się domyślić co ten obraz wyraża, a jeszcze mniej, kto go malował; nie wie również jakie to bitwy przedstawiają cztery inne obrazy na suficie.

Daléj, przybywszy do Jędrzejowa, ogląda celę Kadłubka. „Jest przy wchodzie, powiada, kamień potężny, na którym wryty śmiałym i czystym rysem wizerunek Kadłubka w postaci rozdierającego ubiór biskupi, z pastorałem przewróconym do dołu.“ — Jeżeli ten kamień istnieje, jaka szkoda, że go nie mamy we Wzorach sztuki średniowiecznej; jeżeli znikł — gdzież się podział? A jest obawa czy go zły los nie spotkał, bo Niemcewicz dodaje, iż ówczesny Opat Drzewiecki przyrzekł mu, że ten kamień osadzić każe w ścianie, aby nie był deptanym i zatartym.

Gdzież są te rzadkie dyplomata, które oglądał w Miechowie? Ów list patriarchy Jerozolimskiego z roku 1162 tak dobrze zachowany wraz z pieczęcią; owe nadania Leszka Białe-

go, Bolesława Kędzierzawego, Przemysława i t. d.

A u nas-że w samym Krakowie w kolegium wielkiem, czyż nie wymienia dużego obrazu przedstawiającego Władysława Jagiełłę i Jadwigę klęczących przed krucyfiksem, a za nimi stojącego biskupa? — Gdzież się podział ten obraz, o którym oprócz tego wiemy, że istniał, gdyż znajduje się dawny drzeworyt robiony podług niego.

Tyniecki klasztor jeszcze wówczas nie spalony piorunem, ani ze swoich skarbów odarty, zawierał wiele ciekawych pamiątek; dość wymienić historię Kazimierza (Mnicha) w dwudziestu obrazach, jak mówi: „kompozycyi godnej zalety“ tak dalece, iż uważa obrazy te godne ogłoszenia rylcem. Tamże w katalogu bibliotecznym, uderza go rzadkość bibliograficzna, miała to być książka polska: Nabożeństwo do N. P. w r. 1498 drukowane; ale książki téj nie można było znaleźć. W archiwach widział także najdawniejsze nadania — ale jak powiada, z poodrzynanemi pieczęciami za przeszłego rządu austriackiego.

W Wislicy widział Niemcewicz „piękną wypukło-rzeźbę wyobrażającą Kazimierza W.

trzymającego kościół ten i ofiarującego Najświętszej Pannie.

W Zawichoście w Franciszkańskim klasztorze widział wizerunek Bolesława Wstydliwego, fundatora klasztoru, ale zdjęli go mnisi i natomiast zawiesili nowo-malowany, ozdobiwszy go orderem św. Stanisława!

W Kraśniku, w refektarzu kanoników Bożego Ciała portret Michała z Tęczyna Rabarzyńskiego malowany, jak twierdzi rok 1468. Tęczynski miał tam być przedstawiony w krótkim po kolana żupanie, opasany szeroko, zpod żupana tego obszerne ponsowe spodnie wchodziły w żółte ciżmy; na barkach ferezya z ryśiami, kołpak soboli z piórem leży na stoliku, w tyle marszałkowska laska. Autor uważa to za wierny strój polski — co znowu wprawia w pewną wątpliwość, gdy porównamy te stroje jakie się przechowały na różnych z owego wieku zabytkach niezgodne z tym opisem.

Tamże oglądał piękny nagrobek Jana Chrzciciela Tenczyńskiego — płaskorzeźba wyraża młodzieńca i dziewicę w młodości, nachylone ku sobie, z napisem: *Quae vita conjunxit, mors in tumulum reduxit*. Jestto aluzja do jego miłości dla Cecylii Szwedzkiej.

W Zamościu miał widzieć bardzo pięknej roboty dzieło, które miasto Ryga ofiarowało niegdyś Zamojskiemu.

Zgoła wszędzie gdzie był, zanotował jaką osobliwość godną bliższego rozpatrzenia się; wszakże w miarę jak ku Rusi kieruje swoje kroki, zabytki cenne zmniejszają się, a natomiast innego rodzaju przychodzą ciekawości, jak mogiły i pobożowiska, wspaniałe pałace panów, bogate naukowe zbiory, a nade wszystko bogatsza ziemia.

Podróże te odbywał on w rozmaitych latach. Pierwsza w Krakowskie przypadła na rok 1811; druga do Prus królewskich w 1812 w tej zwiedził on część Wielkopolski aż po Chełmno, i tam udręczony widokiem wyniszczonych siól kontrybucyami Napoleońskimi, gdy ujrzał w jednej wsi parobków zmiatających omaszczone kartofle z dużej misy, zawołał: „Wyznać należy, że po chrście świętym, kartofle są największym dobrodziejstwem ludziom użyczonem przez niebo!“ — Szkoda, że wydawcy tych podróży nie wyrzucili tej apostrofy, od której śmieszność pada na zacne cienie Ursyna — bo czy on sam mógł przypuścić przy całej filantropii, aby niebo przed

wynalezieniem kartofli nie obsypywało ludzi swemi dobrodziejstwami?

Podróż na Wołyń i w Brzeskie odprawił w 1816 r. i zwiedza Poryck Czackiego, pobojowisko Beresteckie, Zakłady Krzemieńca, cudowne miejsce Poczajowskie, opisał jeszcze Wiśniowiec, Dubno, Łuck, Woronczyn generała Kropińskiego, Brześć litewski, Terespol i t. d.

W 1817 zwiedził Prusy polskie i książęce, tę część najmniej opisywaną i znaną u nas, Gdańsk, Królewiec, Elbląg, całą Warmię i t. d. W następnym roku przypadła podróż po Wołyniu, Podolu, aż do Odessy, a właściwie aż do Mikołajewa, bo aż tam dotarł. Żałować należy, że drukowano z defektowego rękopisu; ustęp bowiem o Szczęsnym Potockim, z którego jak powiada przypisek: „Sześć kart brakuje,“ byłby podał wiele takich rysów, które Niemcewicz jako naoczny świadek sam zebrał. Sądzę nawet, żeby go był dość bezstronnie ocenił, w początkowej bowiem wzmiance o panu Szczęsnym oddaje mu sprawiedliwość, że to on nauczył szlachtę bogatszą mieszkać na Ukrainie, którą pierwszy zaczął cywilizować.

Podróż do Litwy w 1819 i do Galicyi odbyta dopełnia niejako całego obrazu, do któ-

rego jednak brakuje niektórych części; słowem jest to dzieło może mniej będące na wysokości dzisiejszych historycznych badań i wiadomości, ale zato pod względem zamiłowania rzeczy krajowych, gorliwości wskrzeszania drogich pamiątek i odnoszenia wszystkiego do jednej obywatelskiej myśli, o wiele przewyższa te dzisiejsze wycieczki poświęcone albo pustym i drobiazgowym macaniom archeologicznym, albo podkądzielnym bajkom zbieranym i podawanym ze skrupulatnością godną lepszego przedmiotu.

Jednej tylko rzeczy dość wyżałować nie można, iż wydawcy ogłaszając te podróże historyczne drukowali je bez poprawek i stosownych objaśnień. Ś. p. Ursyn był mąż gorącego serca i tęgiego charakteru, ale historyk niezawsze skrupulatny, a często przepuszczający najgrubsze błędy, ztąd, że nie lubił móżolnie ślęczyć nad papierami, i po większej części zdawał się na podręcznych skryptorów. Wydawca powinien był grubsze pomyłki bez skrupułu poprawić, a niedokładności historyczne przypisami sprostować i wyświecić; nie godziło się bowiem téj zacnej pracy puszczać

w świat z takimi błędami, które nie mogą wytrzymać najmniejszej krytyki.

Nie mając zamiaru występować tu z bardzo łatwą erudycją historyczną, którą byłaby po niewczasie, bo dzieło wydrukowane — dodam to tylko, co z czytania tych podróży mocno utkwilo mi w umyśle. Czy niegodziłoby się mieć już do tego czasu takiej podróży po wszystkich prowincjach, ozdobionej rycinami, a obejmującej dokładne opisy okolic i mieszkańców. Tyle w tym rodzaju dostarczono już materiałów przygotowawczych, że dość byłoby podzielić pracę pomiędzy kilka lub kilkanaście osób, aby każda objechawszy najlepiej sobie znane strony, wypracowała opis swojej części, z czego by tak interesująca całość powstała. Nie będąc zwolennikiem dzieł zbiorowych w literaturze, w tej kategorii zrobiłbym wyjątek, tém więcej, że są części kraju różniące się pomiędzy sobą, a tém samém potrzebujące być badanemi przez tych co w nich długo przebywali.

Gdyby Podróże historyczne tylko tę myśl wzbudziły, już byłoby za co podziękować wydawcy tego dzieła, tak samo, jak wydawcom Starożytnéj Polski, Balińskiemu i Lipińskiemu



należy się wdzięczność, że pod względem historyi i miejscowych instytucyj, podziałów administracyjnych, obliczeń statystycznych, złożyli wyborną całość, którą tylko nowemi badaniami uzupełnić należy, abyśmy przyszli do dzieła dającego nam poznać wielki, lecz należący do przeszłości obraz kraju.

---

## XV.

PISMA PERYODYCZNE I TEKA WILEŃSKA.

---

Litwa może się nazwać ubłogosławioną ziemią, nietyle pod względem czarujących okolic, bujności gruntu, przyjaznego klimatu, ruchu cywilizacyjnego, ile, że wydała wielkiego wieszca, który wyśpiewał duchowe jój tajemnice, i takimi urokami potrząsł jój ciemne lasy i ciche zaścianki, że kto jój nie widział, zbiera go tęsknota jak za nieznaną kochanką.

Cudowna to kolej, którą poszli nasi śpiewacy ześpiewujący w jeden chór tony rodzinnych zagonów! Pieśń lecąca pod obłoki, nie

napotykając krańców, służyła niejako za posłankę wzajemnych wynurzeń się z tęsknot i słodkich myśli. Witano ją też serdecznie i mieszczono w pamięci serca, gdzie się tworzył idealno-uczuciowy organizm, który popolicie i właściwie zowiemy duchem.

Po zerwanych stosunkach życia, po przebrzmiałych znajomościach i przyjaźniach, po straconych koligacjach, zarosłych drogach domowych, słowo pieśni brzmiące starą powieścią krzyżacką, już anegdotą popularnego potentata, już wiejską półpogańską pieśnią, już roztaczające tajemnicze dziwy puszczy niezbrodzonych, czarownych Ponar i nadniemeńskich dolin, ożywiało tradycyę, wiązało rozbryznęte części życia w całość, odnawiało powinowactwo historycznej rodziny.

Szanowny z wielu miar autor *Wieczorów Pielgrzyma* nazywał tę dążność powiatowszczyzną, gniewał się na to podnoszenie cech plemiennych i tych różnic charakterystycznych, zapominając, że tym właśnie sposobem części przychodziły do uznania się w swoim jestestwie, aby tém szczerniej skupić się w dziedzictwie ducha. — Geniusz poety nie zmylił się w drodze, którą pokazał. Nowi Lu-

mirowie ześpiewywali, jak w staroczeskim za-  
bytku, serca do serc, a kaźden kolebkę swojǎ  
umiał przystroić takiemi kwiatami fantazyi, że  
splecione razem, wydawały się jak ta ró-  
wnianka położona w ofiarze na oltarzu Boga-  
Rodzicy w dzień Jój uroczystości.

Po pierwszym wylewie uczuć powitania,  
po tych wynurzeniach się z wspomnień, na-  
stępuje zazwyczaj trzeźwiejsza spowiedź o oso-  
bach rodziny, o sprawach domowych, o sta-  
nie majątkowym, o widokach gospodarczych,  
zgoła te tysiączne drobiazgi życia z których  
się składa egzystencya człowieka. Podobną  
koleją szły rzeczy w świecie umysłowym,  
w pracy piśmiennój. Obok poezyi powstawa-  
ła proza, obudzająca nie mniejsze zajęcie. Po-  
wieści opowiadały obraz towarzyskiego życia;  
pokazywały ludzi w zapasach z losem, z nie-  
szczęściem; dusze wzniosłe i poświęcające się,  
to znowu upadłe, znikczemnione; surowy, tra-  
dycyjny obyczaj obok samolubstwa nurzają-  
cego się w zmysłowości z wszystkiemi cecha-  
mi duchowego odstępstwa; wiarę religijnǎ  
przekazanǎ od ojców obok indyferentyzmu lub  
pysznego mędrkostwa. W formie téj najwię-  
céj dawało się zmieścić, była więc najpopu-

larniejszą; choć jako płód fantazyi powieść, nie miała téj ścisłości jakiej wymaga się, gdy rzecz idzie o pewne dane. Najważniejszą w tém rolę odgrywały poszukiwania historyczne, robione na stósownej skali; archeologia wydzie-  
rała ziemi, lub ponieważ, dalekie wskazówki mogące niejedno wyjaśnić; lub badany pod  
względem podań, pieśni, obyczajów, dostar-  
czał ciekawych postrzeżeń, jeżeli nań umiano  
patrzeć bez czułości sielankowej i bez  
chytrego celu używania go za puklerz do ście-  
rania się z innymi warstwami towarzyskimi;  
najwięcej zaś oświecały o stanie prowincyi  
opisy podróży dające tak dobrze poznać i stan  
społeczeństwa i jego oświatę i obyczaj i go-  
spodarstwo obok kreślonych z humorem fizyo-  
nomii miejsc, tłumnych zebrań odpustowych,  
jarmarcznych, wyrobów i kondescencyi.

Piszący w tych różnorodnych przedmio-  
tach tworzyli literaturę prowincyi, wychodzi-  
ły wielotomowe książki, które w spokojném  
zaczysku kiedykolwiek można było przeczy-  
tać, bez zaciągania jakiegokolwiek obowiązku  
względem ich autorów, czyli bez téj solidar-  
ności jaka łączy czytelnika z piszącym, jeżeli  
tenże chce obudzić interes bieżącej chwili. —

Rzecz bowiem pewna, iż piśmiennictwo ograniczone na samych dziełach wielotomowych, tworzonych oderwanie od interesu chwili, aczkolwiek może wydawać i wydaje doskonałe, wypracowańsze pod każdym względem płody, jednakowoż nie zaspokaja téj potrzeby codziennój budzącej się w czytelnikach z powodu tysiącznych kwestyi życia czy publicznego, czy ekonomiczno-gospodarczego, czy wreszcie naukowego i artystycznego. Jest to własnością wykształcenijszej publiki, że jest ciekawą najświeższych nowości, chce posłuchać zdań większego świata, aby zorientować się w kwestyi nieraz zbyt jednostronnie, lub niepraktycznie pojmowanej; potrzebuje téż i pewnych potrąceń i wskazówek, aby skorzystać ze skarbów leżących odłogi bo niepostrzeżonych dotąd; słowem publiczność potrzebuje organu budzącego ruch i życie przez odświeżenie myśli zatęchłych jednostajnością nawyknień.

Takiego organu, któryby umysłowe i materialne interesa przedstawiał i rozwijał, chociażby w bardzo szczupłych granicach, nie miała Litwa od czasu jak Dziennik Wileński przestał wychodzić.

Później *Wizerunki* naukowe zapelniały same przekłady z *Revue Britannique* i innych; czasami tylko zaplatał się jaki ułamek z historyi naszój lub z literatury, ale i to było lepsze jak nic. *Atheneum* wydawane przez Kraśzewskiego miało wyborne artykuły książkowe; a choć ducha czasowego pisma nie miało mogło się być wyrobić.

Nie jest to bynajmniej rzeczą tak łatwą jak się wielu zdaje znaleźć się w każdej danój chwili, ogarnąć ją, a przynajmniej zrozumieć i wytłumaczyć; zwracać bacność na proste lub krzywe kierunki, na symptomata czasu, umieć dobre wyprowadzać, lub wstrzymywać na pochyłościach, — czyli poprostu, być pośrednikiem między odgrywającą się historją na bliższych lub dalszych scenach świata, a tymi co na nią patrzą, stanowi właściwe zadanie czasowego pisma. Rola objaśniacza, komentatora, a niekiedy przewodnika zostawiona jest dziś tego rodzaju pismom, do czego koniecznym warunkiem znaleźć się w rzeczywistości jaka jest, a umiejętnością, rozpatrzenie się w niej i dokładne poznanie organicznego jój składu, i sił żywotnych, produkujących, aby je do celów użytecznych prowa-

dzie. Same najwznioślejsze teorye nie są bynajmniej praktyką, a przenoszenie się myślą w wieki przeszłe, lub przyszłe, aczkolwiek odsłania piękne poetyczne światy, niema téj ściśłości zastosowawczej jaka niezbędna jest w organie, który chce być tłumaczem potrzeb i interesów bieżących. Wyższe kierownictwo duchowe bywa zazwyczaj udziałem wieszczów i myślicieli; czasowe pismo o ile w jęgo mocy, powinno owładnąć terażniejszość rzeczywistą, dotykając, choćby w najdrobniejszym zakresie, który choć nieznacznie rozszerzy się, bo to pewna, że wszelkie ustępstwa zdobywają się miłością prawdy i spokojną a wytrwałą pracą.

Pismo czasowe nieodpowiadające temu warunkowi choćby w najdrobniejszym punkcie, przestaje nosić właściwą sobie cechę i zamienia się w zbiór artykułów różnorodnych, jakie zazwyczaj czytujemy w publikacjach na intencją pogorzalców lub potopielców. Nie oto bowiem idzie, aby pióra miały pole exercycyi lub popisu, ale żeby żywotność i czynność społeczna znalazła swój organ, słaby lub silny, w miarę jak stosunek miejscowy pozwala.



Ważność i użyteczność pism czasowych uznana została przez wszystkie rządy, które, czy je w ciśniejszych, czy luźniejszych trzymają karbach, czy są w nich interesowane, lub nie, zawsze jednak uwzględniać mogą wyraz opinii kraju, jeżeli takowa wyrażona jest w tonie przyzwoitym i umiarkowanym, oparta na pewnych niezbitych faktach i danych, a odznaczająca się praktycznym poglądem. Trzeba pamiętać, że i najliberalniejszy rząd nie słucha pierwszego lepszego gazeciarskiego krzyku, ale rad zastanowi się nad przedmiotem ułatwiającym mu dokładne poznanie miejscowych stosunków i potrzeb. Zapewne, przypadki te mogą być częstsze lub rzadsze, odpowiednio do usposobień i trybu machiny rządowej, ale zawsze sumienne, nienamiętne a gruntowne przedstawienia zyskują pewien wzgląd, pewien szacunek dla organu publicznego, który w drodze obustronnego zaufania może niejedną oddać przysługę. — Aczkolwiek w obecnej chwili wielka jest wszędzie pochopność do dziennikarstwa, mianowicie w Warszawie, jednakowoż trudno się dopatrzeć w dziennikach jój, z małym wyjątkiem, odpowiedniego celu. Trochę historii, trochę

strofologii, trochę miejscowych plotek, nadmiar gawęd o sztuce i sztukach, dużo powieści dla zabawy i wczasu, a zresztą bardzo mało, lub ~~nie~~ tego, co treść publicznego organu stanowi.

A jednak ten stan dziennikarstwa acz tylko ograniczony do teoretycznych rozpraw w dziedzinie sztuki i literatury, do moralnych obroków i buletynów z pola przedstawień sceniczno-baletniczo-koncertowych i sprawozdań turystów, przerzucających przez nogę całą cywilizacją Zachodu, zapewne żeby pokazać wyższość swojskiej kultury — wielką jest jeszcze zdobyczą, gdy zważymy, że inne prowincye i tego nie mają.

Były uniwersytet Wileński na Litwie, zasiawszy ziarno oświaty w obywatelstwie, utrzymujące się dotąd, zrodził w umysłach potrzebę zostawania w nieprzerwanym stosunku z pracą i ruchem myśli europejskiej, a tém samém narzucił konieczność przyczepienia swego ogniwa do wielkiego łańcucha cywilizacji. Stan wyższej kultury nie może się obejść bez ognisk, gdzieby spływały pomysły i zdania, te owoce nauki; — ztąd też nieprzerwanie widzieliśmy uczonych i pisarzy litewskich,

uprawiających niwę umiejętności i poezyi; wychodziły od czasu do czasu dzieła ważne i pracowite badania, niepoślednie utwory fantazyi, ale usiłowania te pozostawały bez kierunku, bez skupienia się, bo nie było organu, któryby zdawał z nich sprawę, utrzymywał ruch, wytykał kierunki, zaspokajał potrzebę dowiedzenia się, jaki postęp zrobiła ta lub owa umiejętność, nakoniec zwracał uwagę na brak i zapomnienia wymagające uzupełnień; a co najważniejsza, któryby przystępnemi czynił większej massie czytelników te pytania, o jakie świat spiera się, zastosowując obejrzenie i rozwiązanie onych do miejscowości. Cóż dopiero powiedzieć o zaszczepieniu dobrego smaku w publiczności, o wyrobieniu sądu nad dziełami piśmiennictwa i sztuk pięknych; przecież rzecz wiadoma, iż publiczność w massie wzięta, nigdy nie jest zdolną osądzić jakikolwiek talent, albowiem zasady, podług których to się dzieje, nie rodzą się z nami, jak mówi Goethe; a przypadkiem nie można ich téż nabyć, bo tylko dochodzi się do nich przez ćwiczenia i studia.

Ucieszyło to nas niepomalu, gdy przed rokiem pisma donosiły o mającym wychodzić

Tygodniku Wileńskim. Projekt upadł i tylko został list Kraszewskiego, w którym zacny ten pisarz skreślił drogę, po jakiej pismo to powinno postępować. Rady były dobre i trafne, lubo niewyczerpujące do gruntu zadania pisma peryodycznego. Na tym punkcie stała rzecz aż do chwili pojawienia się pierwszego zeszytu Teki Wileńskiej, wydawaną przez Jana ze Śliwina, znanego z prac na historyczno-archeologiczném polu.

Wydawnictwo Teki przybrało formę zbiorowej książki; bo nie ogłasza ani programu, ani prenumeraty, ani oznacza terminu wychodzenia zeszytów. Nie widać też w pierwszym zeszycie tej jednej, przenikającej całość zasady, i tego koloru, który powleka zazwyczaj prace wypływające z grona pisarzy reprezentujących pewną opinię; skutkiem tego postrzegać się daje rozstrzelanie zasad, wyobrażeń i dążeń— czy dlatego, aby otworzyć arenę do starć polemicznych? Nie sądzę, przynajmniej uważam to za niepraktyczność szkodliwą dla pisma, z tej miary, iżby niebawem zmieniło się w arsenał polemizujących diatryb, z których czytelnicy daleko mniejby skorzystali, niż z syntetycznie podobnych artykułów; te bo

wiem dotykając najróżnorodniejszych przedmiotów tém więcej rzucają na nie światła, im więcej kieruje nimi górujące pryncypium i przekonanie. Światło i siła powinny mieć ognisko rzeczywiste, aby przez pryzmat pisma wylewała się siła i światło. Samo pismo niech będzie wynikiem założenia, a nie środkiem, przez który do założenia dojść można. Tak pomyslane i prowadzone pismo miałyby niezaprzeczoną podstawę swego istnienia, albowiem przedstawiłoby nie zbiorowisko indywidualnych widoków i zdań, ale pewną stronę społeczeńskiego organizmu.

Nie podaję tych uwag na potępienie Teki; pojmuję bowiem trudności z niepodobieństwami graniczące, zwłaszcza że wielka część pracowników rozrzucona po kraju, ulegając różnym miejscowym wyobrażeniom, nie przywykła do walk opinii, niepatrząca na ich odbicie się w rzeczywistości, a przeto nieprawna w ocenianie donośności symptomatów i pojawów epoki, niełatwo pojmuje potrzebę ześrodkowania sił duchowych.

Szlachetne usiłowania byle miały początek, znajdują zapewne w dłuższem trwaniu przedsięwzięcia, sposób odpowiedzenia słu-

sznym wymaganiom. Czas odkrywa wiele tajemnic; praktyka więcej uczy, niż najlepsza teoria.

Przypatrzmy się zatem bliżej artykułom w Tece Wileńskiej zawartym.

Szereg ich rozpoczyna poezya.

Kantata: Franciszek z Assizu (Assyżu) wyszła z pod pióra Syrokomli.

Poeta czerpnął natchnienie z innego źródła jak miał zwyczaj czerpać dotychczas.

W Ozanama dziele: O poetach franciszkańskich we Włoszech napotkał nieporównanego wdzięku i prostoty temat: „Pewnego wieczora, mówi legenda, gdy święty Franciszek wzruszony był aż do łez śpiewem słowika, uczuł się natchnionym śpiewem na śpiew, i do późnej nocy wywodził z nim naprzemian chwałę boską. Taż legenda dodaje, iż święty pierwszy ustał, za co przyznał zwycięstwo ptakowi.“

Tę walkę muzyczną człowieka z ptakiem, przywdział Syrokomla w bogate formy liryczne; ustępy niektóre tchną wdziękiem słodkopłynnym i skromną prostotą. Szczególniej w śpiewie Franciszka w ostatnich wierszach tracił nawet o szczytność.

Kocham Cię Boże, całą istotą!  
 Tłumne uczucia piersi mi gniotą,  
 Tysiące hymnów szumi w méj głowie;  
 Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wysłowie!  
 Najwyższa pieśń, gdy w proch się korzę,  
 Jęcząc ze łzami: kocham Cię Boże!.....

Niepodobna było wznioślej oddać téj wal-ki—człowiek tylko w ten sposób mógł ją prze-grać. Wszakże po tryumfalnym dośpiewku słowika, wypadało, zdaniem mojem już skoń-czyć, a nie wyprowadzać chóru rycerzy i min-strelów śpiewających pieśni światowe, którym Franciszek wtoruje i wielbi cuda swój ojczy-zny rozkosznej Italii, mieszając reminiscencye burzliwej młodości. Słabe to, powszednie i niepotrzebne. Oprócz tego znajduję parę miejsc rażących niezrozumieniem owéj miło-ści św. Franciszka dla stworzeń boskich jak gołąbki, owieczki, pszczołki, kwiatki; on je kochał jako dzieła boże, co mu symbolicznie przypominały tajemnice wiary, lub służyły za przykład dla uczniów; on rozumiał ich język, przestawał z niemi, rozkazywał im, bo zbo-żony jak Adam przed upadkiem osiągnął pier-wotną władzę nad całą naturą. Należało go zostawić z tém, bo to była rzeczywistość cudu

świętości. Następny wierszyk Karoliny Pro-niewskiej: Trzy promienie ducha gładkim ry-mem opiewa trzy niebios córki: poezję, muzy-kę i malarstwo — materya estetyczno dydak-tyczna krojem Deotymy oddana w mowie wiązanej.

Z powieści czytamy Piastunkę przez Ada-ma Pługa. Są to „relikwie z poczciwej prze-szłości“ jak tytuł twierdzi, ale napisane dla niepoczciwej teraźniejszości, która jakoś nie może się poznać na tych ckliwo-sentymental-nych ideałach w siermięgach i chodakach od-grywających w tej powieści rolę, jaką od wie-ka wieków odgrywał stan wyższy, wykształ-cony moralnie i towarzysko, to jest szlache-cki. — W świecie powieściarskim inny teraz obrot i porządek rzeczy nastaje; jestto pora Saturnaliów. Zrabowana i zniszczona ogniem rodzina dzierżawcy doznaje od włościan opie-ki, a nawet pieniędzy pomocy, gdy tymcza-sem żaden z obywateli sąsiadów nie chce na-wet słyszeć o rodzinie dotkniętej nieszczęściem. Co więcej plenipotent dziedzica wpada po tej katastrofie i domaga się brutalsko raty dzier-żawnej u złożonej niemocą dzierżawczyni, gro-zi wyrzuceniem jej i t. d... — Nie przeczę, na



świecie różne bywają przypadki i różne trafiają się potwory, więc i podobny wypadek mógł się zapewne przytrafić; ale podając taką osobliwość nie należało zamykać się w ogólnikach powieści, tylko wyraźnie napisać gdzie to, komu i jak, zdarzyło się, a wtenczas policylibyśmy tę awanturę do tych fenomenalnych zjawisk, jak ciełę o dwóch głowach, lub wół o jednym oku. Gdy zaś wypadek ten podał p. Pług w formie poetycznej fikcyi, przeto nie możemy inaczej przypuszczać, tylko, że tak dzieje się w rzeczywistości, to jest: że wszyscy chłopci gotowi są do najszczytniejszych poświęceń się, gdy idzie o niesienie bliźniemu ratunku i odwrotnie; że zatwardziałe, egoizmem stoczone serce szlachty nie poczuwa się nigdy do żadnego obowiązku względem bliźniego, jeszcze szlachcica i sąsiada.

Kto zestawia z umysłu takie kontrasty, musi koniecznie przyzwolić na powyższą konkluzję. Nie ruszałbym nawet tego artykułu p. Pługa, bo nie zasługuje ze względu sztuki pisania i kompozycyi na wzmiankę—ale spotkawszy się z nedorzeczną tendencją i to obok artykułów wprost przeciwnej dążności, pomyślałem sobie; tak igrać nie godzi się, bo jeżeli

czujemy zdrową prawdę, zgodną z duchem i historią narodu, jeżeli mamy przekonanie, że jest zbawienną, że ją podzielają umysły wykształcone i obywatelskie, to podobne baniakulki służą tylko do podsycania zarozumiałości głów spaczonych, którym się zdaje, że niwelacja społeczna jest najdoskonalszą formą człowieczeństwa.

Pociesznie to przechodzić z tych nizin umysłowych, z tego materyalizmu duchowego do artykułu P. Trentowskiego tryszczącego nauką i rozumem, ogarniającego Boga, naturę człowieka i człowieczeństwo. Są to ułamki, snąc większych rozmiarów dzieła, ale ułamki pozwalające schwycić niektóre ogniwa myśli filozofa. Aby krótkimi słowy wyrazić o co mu idzie, powiem, że mówi o Rodzinie i wskazuje jej cele, a te są: odzyskanie raj u na ziemi. Od upadku bowiem Adama i Ewy tyle wieków ubiegło, a działanie, grzechu pierworodnego równie jest silne jak na początku. — Człowiek się mnoży, a mnoży jak trawa i piasek, a iluż to odzyskać umiało raj utracony i żyć w błogosławieństwie Bożem, sporządzając wyższe warstwy? Oto ledwo jedna tysięczna część jest téj śmietany, a 999 części znaj-

duje się wciąż za bramami Edenu, i zostaje na stopniu zwierzęcości i tworzy „kwaśne motłochu mleko.“

„Okropny to stan czerni! — mówi autor, leniwa, ciężka, ospała, lubi próżniactwo, a jeżeli nie kij, to żołądek własny zniewala ją do przebrzydłej pracy. Idzie więc do roboty, ale na przekór chęci, a zgrzytając zębami i złorzeczając światu, klnąc zgoła samemu Bogu, o którym nie ma dostatecznej wiedzy i nauki. Nadmiar w jadłach i napoju, przesyta zwierzęcy, to zbawienie jej na ziemi... Cierpiąc głód i pragnienie, patrzeć musi jak inni jedzą, piją, zbytkują. O jakież to piekło dla niej i t. d. Cóż czern — pyta dalej: zmysłowość godząca wciąż na zaspokojenie, które wciąż przed nią ucieka; wielki wyjaw pierwotnego grzechu; złe żywe, dolne i pogardliwe człowieczeństwo ciała. — Ona, czasów wszech, mianowicie naszych bolączka najstraszniejsza.“ Trudno zaprzeczyć, że czern jest taką, jaką ją maluje autor, zwłaszcza, gdy się wyłamie z karbów odwiecznej organizacji społecznej, gdy się rozhula i rozbestwi na głos apostołów swoich, których nazwał przespołecznicami czyli ludowcami.

P. Trentowski twierdzi, że takie jest usposobienie czerni na zachodzie; ale, że u nas nieco odmienne — ale czy lepsze?— jako żywo? W tym względzie zrobił sobie niepotrzebny skrupuł, bo czernń od bieguna do bieguna wszędzie jest jedna i ta sama, odkąd staje się czernią.

Kto tedy poczuje w sobie dostojność człowieka, Bożość, kto chce przestać być dwunożnym bydłem, powinien wszystkimi siłami wydobyć się z bagnisk czerni i dostać się do bram raju, czyli na archanielskich skrzydłach wpaść do wyższych warstw społeczeństwa, jak zaś to osiągnąć? oto trzema widome mi potęgami: bogactwem, oświatą i władzą.

Zdaje mi się, że człowiek z natury ma usposobienie piąć się coraz wyżej po stopniach hierarchii społecznej, bogacić się i przewodzić nad drugimi, że w nim podsycać téj namiętności nie potrzeba, bo w cóżby się obróciła daleko wznioślejsza idea ewangeliczna przyrzekająca ubóstwu przestającemu na skromnym dóbr ziemskich udziale, łatwiejszy przystęp do nieba, niż bogaczom i potentatom świata?

Zresztą ta Bożoobrazowość do której P. T. dociągać nam każe, brzmi dość podejrzanie

dla nas przywykłych słyszeć katechizmowe wykłady.

Gdyby Bóg wymagał po nas, żebyśmy raj mieli na ziemi i sami zamienili się w Bogów, niepotrzebnieby nam wskazywał przyszłe życie i kazał szukać za grobem zbawienia, kiedy możnaby je osiągnąć po tej stronie grobu.

Strona religijnych wyobrażeń p. T. niezmiernie wątpliwą jest wartości; jakaś w nich mieszanina panteizmu, deizmu, protestantyzmu pociągnięta pokostem wyrażen się używanych w katolickim kościele. Czytając też niektóre wyborne jego pomysły, szczególnie, gdy kreśli stan idei społecznych, żał zbiera, że jeniałny talent nie poznał się dotąd na prostocie, jasności, wielkości i głębokości najpopularniejszej książki na świecie, wyjąwszy między filozofami, to jest na katechizmie.

W Berlinie słyzył niedawnym czasem znakomity protestancki teolog Dr. Schleiermacher, zwolennik panteistycznej filozofii Hegla, do tego stopnia umiał pogodzić chrześcijańskie ideje ze swą filozoficzną szkołą, że o nim mówiono powszechnie, jako jest ze wszech miar prawowiernym teologiem ewangelickiego wyznania, wyjąwszy tej maleńkiej różnicy, że

w Boga nie wierzy. Od czasu atoli jak Straus, również doktor protestanckiej teologii, również heglista, wydał swe osławione dzieło o życiu Jezusa, w którym dowodził, że Jezus nigdy nie żył na świecie i jest tylko mithem Bogaczłowieka, jak go sobie panteistyczna filozofia wyobraża, — weszło w Niemczech w modę filozofować, niby to po chrześcijańsku — z pojęcia panteistycznego — a zatem ateistycznego; co na jedno wychodzi; albowiem ta dusza świata, to wszechbóstwo jest niczém inném, tylko zaprzeczeniem trójosobowego Boga i postawieniem natomiast człowieka, jako najwyższy szczyt wszystkiego, co istnieje; który przeto człowiek w swém udoskonaleniu staje się Bogiem, a więc Bogiem-człowiekiem; staje się synem bożym, gdyż tu dusza świata w nim się poznaje, rozumie i zwierciedli, jak ojciec w swym synu.

Tak tylko sobie można wytłumaczyć wyrażenie się p. Trentowskiego; Boga obrazowość.

Taki Bóg-człowiek, choćby nim był sam nieboszczyk Hegel, lub p. T. — zastąpić nam ma Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu, czy tam istniał, czy nie istniał, wolno być

w wyobraźni ludów ideałem panteistycznego Boga - człowieka, przynajmniej na tak długo, póki go jakiś najdoskonalszy nowszych czasów Zbawiciel zastąpić nie zdoła...

Zbożajcie, woła ustawnie p. T. Zbożajcie rodzinę, za pomocą jój członków; Bożością własną utrzymujcie świętej ziemi naszej Bożość! A zatem podług tej rady musimy się starać zostać Bogami, lub jak przedtém w Chowaniu powiedział: „Bóstwo in potentia, przemieniać w Bóstwo in actu.“ Przez jego filozofię wiedzie droga do tej apoteozy; a „zbożenie powszechne“ nazywa „Królestwem Bożem“ na ziemi.

Tu znowu napozór bardzo po chrześcijańsku przemawia, że do tego jedyną drogą wyzwolenie się z grzechu pierworodnego. Ale cóż nazywa grzechem pierworodnym? Oto stan ubóstwa i prostactwa. Kto się więc wydobył z tego stanu pracą i sławą, kto zrobił majątek, przyszedł do władzy, już „zbożał“ i zdobył sobie „niebo“ na ziemi.

„Praca, cierpienie i śmierć, mówi p. T. — na które ród ludzki był wskazany, stały się też rychło sposobami do odzyskania rajy i drogą do Królestwa Bożego na ziemi. Są one albo-

wiem darem Bożym, a krynicą z niebios, z której wysączają się dla rodu ludzkiego: bogactwo, oświata i władza.“ — Tak więc budując na bogactwie, oświacie i władzy odzyskanie raju i królestwo Boże, niech sobie raczy przypomnieć, że dawno przed nim szatan kusząc Chrystusa na puszczy, wykładał mu kubek w kubek tę samą teorię, ale jak zmyty poszedł z odprawą. Tak samo, jak mówi p. T. o rodzinie, tak mówi i o małżeństwie. Jedna myśl, jedna dążność tu wytknięta: stworzyć sobie niebo na ziemi. Dla panteisty niema przecież gdzieindziej nieba. Wprawdzie natrąca o nieśmiertelności; ale niech nikt nie mniema, żeby pod tém uznawał nieśmiertelność własnej osoby, to się bowiem odnosi tylko do nieśmiertelności ogółu, to jest rodu ludzkiego, dla którego indywiduum czyli szczegół winien się poświęcać; bo jeśli nie zginie, to go czeka niebo, czyli: majątek, sława i władza; a jak zginie, to przepadło! Ogół zawsze na tém zyskuje.

Czy się p. T. zdaje, że my tak chciwi jesteśmy tych tam z Wittembergu nowostek, że niemi zaprawiać musi każdy zdrowy, rozumny pomysł, jaki w jego jasno-pojmującej głowie



się zrodzi? — Czy sądzi, że go bardziej admirować będziemy, kiedy postawi się w sprzeczności z tém, co kościół naucza, a my wierzymy? Jeżeli tak jest, to mogę mu zaręczyć że się mocno myli.

Są u nas, jak zwykle między ludźmi: obojętni w materyach religijnych, są racjonalisci rządzący się tak zwanym zdrowym rozsądkiem który im wystarcza do potrzeb materyalnych są duchowce, co uznają niby katolicyzm, i nie chcą formy kościoła; są może jakie inne jeszcze odcienia, nie wiem; to jednak pewna, że ta doktryna pychy, którą pragnie wdmuchać w głowy nasze, nie znajdzie adeptów choćby nawet w spuściznie wziął lutnię po naszym Adamie i zagrział hymnem zaczynającym się apostrofą: „Boże obrazowości podaj mi skrzydła!“

Bądź jak bądź, kwestye dotknięte w Tece przez p. Trentowskiego nie są bez wagi, z téj miary, że mogą rozbudzić umysły czujniejsze i światlejsze, do zastanowienia się nad niemi; jest bowiem w nich pewna dzielność, którą wstrząsa i ocuca.

Następny artykuł: kwestye żywotne jest tłumaczeniem z rosyjskiego. Artykuł ten na-

pisany przez Mikołaja Pirogowa, traktuje o wychowaniu młodzieży. Wiele tam ustępów podlega dyskusji, a przynajmniej wymagałoby spokojnego rozwinięcia, lecz trzeba pamiętać, że burza z piorunami i deszczem potrzebną jest, aby odświeżać omdlewającą z pragnienia i duszności naturę.

Kończy zbiór ten monografia Mińska, skreślona piórem W. Syrokomli, następnie wyborna rzecz: o Ziemianach podług dawnych praw litewskich przez M. Malinowskiego. Rozprawa ta ma więcej niż literacko-historyczną wartość, bo ocaliła tysiące może rodzin litewskich od smutnej doli. Ś. p. Turkuł mianowany ministrem sekretarzem stanu królestwa, zasiadał w radzie państwa, i był przedstawicielem elementu polskiego. Przy urządzeniu nowych stosunków społecznych, musiano w tej radzie, na każdym kroku zapytywać przeszłości i jeden tylko Turkuł chciał i umiał odpowiadać prawdziwie i dowodnie. Wtenczas to z ogromnymi trudnościami musieli walczyć potomkowie sztabsoficierów, urzędników ziemskich nieobowiązkowych i woźnych, w osiągnięciu służących sobie praw do szlachectwa. Turkuł wsparty rozprawą Malinowskiego i in-

nych uczonych, wyjaśnił prawdziwe znaczenie uchwalonych w tym przedmiocie ustaw, i rodowość ich utrzymał, przez co stał się dobroczyńcą ogromnej liczby osób.

Z taką pomocą piór jak p. Malinowskiego, Balińskiego, Odyńca, Syrokomli, Kirkora i t. d. Teką może się wyrobić na doskonały organ swojej prowincyi, czego jój z serca życzę.

---

## XVI.

### WALKA REALIZMU Z IDEALIZMEM.

#### Pamiętniki i romanse.

---

Dzienniki mają zwyczaj podawać spis książek wydanych, spis mniej więcej dokładny z podniesieniem ważniejszych dzieł, z lekką wzmianką o tych, co się mniej ważnemi zdawały, i z przemilczeniem wielu, bądź gwoili niewiadomości o ich wyjściu, bądź z niemożności wzmiankowania o nich. Jestto więc pod względem statystyki ruchu księgarskiego a razem bibliografii, niedostateczny wykaz, równie jak pod względem ocenienia ducha literatury i kierunków jój, bo omówienie mniej

więcej pochlebne o jednej lub drugiej książce, nie daje jeszcze ogólnych i ostatecznych wypadków.

Co do ostatniego, trudność niemała, a nawet niepodobieństwo sądzić *eo instante*, o znaczeniu i wpływie książek świeżo przechodzących w ręce publiczności, gdy tylko czas, mniej więcej długi, przynosi świadectwo i potwierdza wpływ i znaczenie.

Wziętość książki mająca źródło często w nazwisku autora, w trafnej aluzji do bieżących zdarzeń i zajęć, albo niekiedy i w krytyce sprzymierzonej z autorem i jego opiniami, nie rozstrzyga sądu bez apellacyi, bo jeśli interes chwili przeminie, opinia zbankrutuje, książka na wziętości traci, wychodzi z obiegu i idzie zapełniać pułki bibliotek, tego cmentarza sławy pisarskiej.

U nas, spędzonych z pola sławy życia, mało kto nie rzuca tego nazwiska w tę urnę, którą geniusz nieśmiertelności ma postawić kiedyś na mogile wieków. Nazwiska te są zazwyczaj przyczepione do jakiej książki, nawet artykułu i ulotnego wierszyka. Piśmiennictwo więc stało się tą łodzią, w której Charon przewozi na Elizejskie pola. Ztąd natłok niezmierny;

coraz nowe następują nazwiska i pseudonazwiska; powstaje ścisł, tłum napiera na tłum, słyhać głosy dopominające się swego miejsca i znaczenia, — ale to jeszcze nie daje przekonania, żeby na tém miała dużo zyskiwać istotna literatura narodu. Bibliografia może grube spisywać tomy — gdy tymczasem z tego posiewu na umysłowej niwie ledwie setne zejdzie ziarno i wyda w potomności owoc.

Cóż znaczy to pragnienie rozgłosu, to kołatanie do bram nieśmiertelności, kiedy wiemy jak smak, język, obyczaj, wyobrażenia, zmieniają się nagle i ciągle. — Czyż my sami jesteśmy tém dzisiaj, czém byliśmy przed pięćdziesiąt laty; czyliż pochód wieku nie zrobił zmiany w każdym z nas? Wiersze Felińskiego, Stanisława Potockiego lub Kropińskiego proza, mająż jeszcze ten urok jaki miały swojego czasu? — Nie krytyka to zabija autorów, ale czas; co miało wziętość w jednej epoce, niema jej w drugiej. Złem tego nazwać nie można, ale prawem konieczności, bo niema na to lekarstwa. Iluż to pysznych autorów rozsiadających się po szafach bibliotek, skurczyło się, jak ów talizmaniczny balzakowy jaszczur do

tak małej objętości, że dziś ledwo służą na oznaczenie swego czasu, lub pewnej daty w historii literatury?

Aczkolwiek sława autorska jest tak przechodną, wypadają wnosić, że nic nie trzeba robić, aby ją zdobyć? Bynajmniej; po dobrze spędzonym i zapełnionym życiu, słodko pomyśleć, że pamięć nasza przeżyje krócej lub dłużej w miarę zasług i prac złożonych dla dobra bliźnich.

Uwagi te o marności sławy autorskiej przyszły mi na widok tych sążnistych spisów bibliograficznych świadczących o corocznej produkcji pisarskiej, która z każdym rokiem wzmagą się u nas i służą dla wielu, co lubią na cyfrach opierać swoje wnioski i twierdzenia, za dowód postępu w oświacie i kulturze.

Rzemieślnicza płodność a twórczość zapładniająca, nie są synonimami.

Do tej ostatniej kategorii stanowiącej właściwe duchowe bogactwo narodu, ileż to dzieł wydanych w ciągu roku moglibyśmy sumienie odesłać?

Ile i które? odpowiedź kłopotliwa, bo uprzedzająca wyrok czasu — co jednakże nie przeszkadza, żeby nie można było na polu

naukowych poszukiwań, wytknąć wiele prac posuwających różne gałęzie umiejętności do tego szczebla, na jakim gdzieindziej stoją. — Poczet ich niedługi, lecz znaczący. Dość tu wspomnieć z uszanowaniem przyjęte dzieło A. Z. Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, a zasługujące, aby rozbiór onegoż i ocenie, dokonane było przez jakiego głębokiego znawcę praw dawnych i historyka, na co zawsze dość czasu, aby tylko sąd wypadł dojrzały: *Fizyologia* Dra Majera wniosła światło do tej gałęzi poczynającej się u nas umiejętności, zdobywając i porządkując tę masę doświadczeń, jakie w tym przedmiocie dokonano gdzieindziej.

W historii, Szajnocha wydał dalszy ciąg *Historycznych Szkiców*, w których wiele zawiłości, błędów lub opuszczeń wyjaśnia, prostuje, wyprowadza. Sąto przygotowawcze roboty, cegiełki dla przyszłego historyka, lecz napisane z tym artyzmem, że nietylko samego badacza dziejów, ale i zwykłego czytelnika zajmować mogą. Bartoszewicz opisywał *Kościół warszawskie*, więcej jednak zrobił i dał, jak zwykły dawać teksty do ilustracyi. Pamiętnikowa literatura była jednak najliczniej-



szą — szczególnie czasy schyłku 18go a początku 19 wieku zostały skreślone w tych drobniejszych rozmiarach domowego życia, które często więcej mogą powiedzieć niż sama historia sfer oficjalnych. Kraszewski wydał i zapewne ostatnią rękę przyłożył do Pamiętników Duklana Ochockiego, Bukara i Chrzęszczewskiego. — Praca ta wymowną jest protestacją przeciw pamiętnikom Bartłomieja Michałowskiego, wyrzuconym jakby na urąganie téj przeszłości, którą przywykliśmy tradycyjnie szanować. Jednakowoż porównywając te dwa pamiętniki, nierzadko napotyka się w nich to samo zdanie o charakterze osób, te same szczegóły faktów ważniejszych; tylko punkt, z którego wszystko widzi i ocenia pan Bartłomiej, jest częstokroć tak sprzeczny z sumieniem narodu, a tak swoim cynizmem obrażający uczucie, że możnaby pismo jego nazwać wyznaniem wiary odstępcy, alé bez skruchy i zgryzoty, bo dworującego i z przekąsem nauczającego: to była wasza prawdziwa droga, a nie tamta, którą poszliście na zgubę. — Krytyka bez względu potępiła ten objaw samobójczy; w tém tylko chybili niektórzy, że zbyt wzgardliwie traktowali

talent pisarski autora umiejący się niekiedy utrzymać na takich wysokościach prawdy historycznej i moralnej, do jakich innym dosięgnąć nie zawsze się uda, co tém przykrzejsze, że tuż obok miejsc nacechowanych głębokością sądu i znajomością natury ludzkiej, otwierają się przepaści prawdziwego moralnego upadku.

Ochockiego pamiętniki nie są fikcją obrachowaną na cel pewien, ale rzetelną relacją wołyńskiego szlachcica, który ma ten wysoki przymiot, że się dość otwarcie ze swego życia spowiada, a tém samém uchyla zasłony i pokazuje społeczeństwo, że tak powiem w negliżu. — Jednakowoż zdaniem mojem mógł był szanowny wydawca bez żadnego skrupułu wyrzucić przynajmniej z połowę miłośnych przygód pana Duklana; nicbyśmy na tém nie stracili, bo takie przygody nie są charakterystyką pewnego czasu, ale niestety! wszystkich czasów, a zgorzenie zawsze będzie zgorzeniem, choćby nosiło cechę poważnej starożytności. Szczególniej cały ten romans z podżyłą i otyłą Podkomorzyną, niepotrzebnie szpeci karty téj wzruszającej i bolesnej epoki, a rzuca wcale niepochlebny cień na pana Du-

klana; nic bowiem nie nie znam wżgardliw-  
szego w rodzaju męzkim, jak młodzieńca zo-  
stającego na żołdzie starój nierządnicy, a cheł-  
piącego się, że pieniędzmi tak zarobionemi  
utrzymywał młodą—aktorkę. Podobne wy-  
znanie zrobione w gronie światowych i hula-  
szczych kawalerów przez którego z nich, nie-  
zawodnie pozbawiłoby go szacunku nawet  
w opinii rozpustników; cóż dopiero powie-  
dzieć o wrażeniu, jakie podobne wyznanie spra-  
wić może na czytelnikach i czytelniczkach  
nieobeznanych z tradycjami najwyższej kor-  
rupcyi moralnej. Ta uwaga powinna była za-  
stanowić wydawcę i odjąć mu wszelki skru-  
puł w wykreśleniu nieprzyzwoitych ustępów;  
a byłby przez tę ostrożność ułatwił poznanie  
pamiętników Ochockiego nawet i tym osobom,  
co z niedowierzaniem przystępują do czytania  
płodów dzisiejszej literatury powieściowój, pil-  
nie przestrzegając, aby tylko książki nieska-  
lane żadnym moralnym brudem dostawały się  
do rąk młodzieży.

Osobliwą jego oryginalność znamionuje  
szczególniej ton niefrasobliwy wietrznika, któ-  
ry o wszystkiém co widzi mówi bez ogródki,  
i niewdaje się w moralne obroki, piorunów nie

ciska, następstw nie bada, a tylko używa życia póki sił starczy i grosza w kieszeni. Ten rodzaj opowiadania tak rzadki w pamiętnikach pisanych z dawnych wspomnień, zazwyczaj w wieku dojrzałym z natury swój dydaktycznym i rozumującym, ma niepospolity urok dla czytelnika, bo mu w duszy obudza nawał myśli, że nieledwo większy od nich powstaje nad nimi komentarz. Książka pobudzająca do myślenia zawsze większą ma wartość od tój co wszystko wygada — jest to tajemnica, której jednakowoż tak rzadko trzymają się nasi pisarze i dziwią się, że ich utwory przechodzą bez śladu, jak łódź przemykająca się po powierzchni wody.

W rodzaju pamiętnikowym odnoszącym się do domowych stosunków zakątka Litwy wyszła: *Powieść z czasu mojego czyli Przygody Litewskie*. Niewiadomy autor dzieje domowe oblókł niby w szatę powieści, niby jakiegoś pamiętnika, który podaje wiele szczegółów familijnych. Opowiada po prostu, ale niekiedy wpada w przewlekłość napelnioną komunałami: „że chciwość w zbieraniu majątku, bez względu na środki, nie jest korzystną, i w tym podobne ogólniki, albo też maluje chorobę

Bogusi, niezbędnego kwestarza, którego Chodźko odmalował tak skończenie, że po nim można tylko zrobić bladą kopię. Miejsca te niepospolicie są ekliwe i nudne. Nie wspominałbym o tém, gdyby to nie przechodziło już w manierę naszych pisarzy, którzy nie troszcząc się czy co nowego powiedzą, wywołują wszystkie zaściankowe wspomnienia; mogą one mieć urok dla opowiadającego, gdyż wszelkie wspomnienie z lat młodych ma go samo przez się, ale nie idzie zatém, aby wszystko warto było wspominać i opisywać co się czuło i widziało za młodu, bo przedmiot prawie zawsze się powtarza, jeżeli życie płynęło zwykłym trybem wiejskiego zacisza. Rzucanie się w te drobiazgi powszedniego żywota, ma to jeszcze do siebie, że oddala od większej historii, zacieśnia ramy widokregu, wprowadza ludzi zwyczajnych jakich się codziennie spotyka do sytu. Tym sposobem utwor wyłamuje się od wszelkich wymagań kompozycyi artystycznej, staje się prostem skopiowaniem prozaicznej rzeczywistości, która już razić mocno zaczyna w dzisiejszych utworach, szczególnie formy powieściarskiej. Kto bowiem kopuje społeczeństwo, bierze tém samém na

siebie obowiązku wierności, czyli dokładnego powtórzenia wszystkich jego wad, ułomności, brudów nawet, a chociaż zazwyczaj okraszone to bywa teorią: żeby się poprawić, wprzód trzeba się ujrzeć we właściwem świetle... jednakowoż proceder ten przeciwne daje wręcz wypadki; dusza bowiem ludzka karmiona szkaradami nieczyści się w nich jak w ogniu, ale częstokroć smakuje w złem, a przynajmniej tak się z niem oswaja, że traci wstręt i uważa te niedostatki i ułomności, jakby fatalną konieczność przywiazaną do natury wszystkich społeczeństw tego padołu niedoskonałości.

Jedną z najpilniejszych walk obowiązujących krytykę jest dziś bezsprzecznie walka realistycznych tak zwanych naturalnych dążeń, z dotychczasowym idealistycznym kierunkiem. W piszących nie widać żadnego usiłowania do osiągnięcia w tworcach swych pełnej piękności, ponieważ zatopienie się w realizmie, obudziło wstręt do idealizmu; ztąd najwięcej jest u nich pociągu do szorstkości charakterystyki i drobiazgowości szczegółów; do chwywania portretów i sylwetek zamiast stawiania typowych postaci. Srodze chybiają w tém, że to obrali sobie za cel sztuki, co jest

tylko prostym łącznikiem między ideą a jej uzmysłowieniem, to jest płaski realizm. Mojm zdaniem, nazwałbym to kompromisem poety abdykującego z wysokiego posłannictwa w sferze ideału i ducha, na rzecz zewnętrznego świata w tej smutnej postaci, w jakiej się przedstawia.

(S) Ów Szyllerowski i Mićkiewiczowski rozdwoj między ideałami a niepoetyczną rzeczywistością, zaciera się coraz więcej; z czego wypływa konieczność, że twór poety przestaje być owym barwami tęczy olśnionym obłokiem, do którego rwie się umysł i fantazyja; przeciwnie wlecze się jak trąba powietrzna po ziemi, zmiata śmieciska i wypija kałuże błota. Snadź że stracono poczucie ideału i piękna, oddano wzniosłe za rzeczywiste, i pogodzono się z otaczającą nas powszechnością. Kiedy dla Szyllera ten świat prawie nie istniał, kiedy dla niego wolność żyła tylko w krainie marzeń, piękność kwitła tylko w pieśni, przeczuwał prawie tę epokę w jakiej żyjemy i pisał do Herdera: „Ta przewaga prozy w całym naszym bycie jest tak wielką i wybitną, że duch poetyczny zamiast stać się jej panem, musi się od niej zarazić i paść jej ofiarą. Dla tego

nie widzę innego środka dla poetycznego je-  
niusza, tylko usunąć się z nizin rzeczywisto-  
ści i zamiast niebezpiecznego przymierza, ra-  
czej murem chińskim odgrodzić się od świa-  
ta.“ Zapewne niekażdy miał tyle stanowczej  
odwagi aby z rzeczywistością zerwać jak Szyl-  
ler; wielu wolało żyć z nią w kłótliwém mał-  
żeństwie. Ten i ów zaczął rościć sobie pre-  
tensyę do świata, pragnął ubóstwień hołdów,  
na jakie zdobyć się może tylko prawdziwa mi-  
łość, lecz gdy poznał, że służył tylko za sprzęt  
zbytkowy, którym się przechwalał egoizm to-  
warzyski, zamykał się w sobie, trawił żółć,  
wyrzekał, że go nie poznano, zużyto i naduży-  
to i gardząc światem, stawiał ołtarze własnej  
pysze czerpiąc przedmioty natchnień z tego  
co się w nim działo. Od tej egoistycznej poe-  
zyi, którą nas niestety dość długo nudzono,  
przeszliśmy niby poprawiając się, lecz już po-  
zbawieni ideału, w świat zewnętrzny robiąc  
sobie jakby powinność sumienia zdejmowania  
zeń najwierniejszych kopii, ma się rozumieć,  
że tu mówię o najniższym stopniu realizmu,  
który lubi tylko szpetną, trywialną i bezmyśl-  
ną przedstawiać rzeczywistość, czyli taką, ja-  
ka często zjawia się oczom naszym na scenie



i na kartach romansów. Realizm bowiem spotęgowany wysokim uczuciem i pojęciem pięknoty, to szczyt poezyi, która bez niego byłaby pustą, fatygującą mrzonką, abstrakcją nie mającą w sobie nic ludzkiego, ziemskiego, — zatem obraną z życia.

Wszakże po tym rozbracie z ideałem, który jak wygnane bóstwo opuścił pierś poety, trzeba było brak wewnętrznego ognia i poczucia doskonałego piękna zastąpić jakim innym surrogatem — znaleziono go w tak nazwanej *sztuce*.

Przypomnijmy tylko sobie, czy przed laty kilkunastu słyszeliśmy ten wyraz *sztuka*, *artyzm*, *artyści*, powtarzany tak często, jak za dni dzisiejszych. Wyraz ten brzmi we wszystkich ustach i pismach używany nawet *à propos des botes*. Tymczasem nigdy może jeszcze pojęcie sztuki nie było bardziej pomieszane i skrzywione. I tak, kiedy jedni utrzymują radzi, że tradycya jest jedynym i wszechwładnym prawidłem, że dla nas, cośmy przyszli za późno nic już nie okroiło się z pierwotnych sił twórczych, z czego wynika, że dla artysty pozostał tylko wybór wzoru do naśladowania i nic więcej; to znowu drudzy jednym sko-

kiem rzucają się w przeciwną ostateczność, i twierdzą, iż natchnienie nie potrzebuje studyów; że wyobraźnia jest przymiotem samowładnym, mogącym panować bez wykazania się długim szeregiem przodków, i bez znoszenia się z innemi władzami umysłu. Największa znowu liczba, bo przeważna w dzisiejszém piśmiennictwie; jednych i drugich ma sobie za ba i bardzo, a uśmiechając się litośnie na wszystkie systemata nie przypuszcza tych trapiących myśli do głowy, i sztukę traktuje jak rzemiosło lub towar, powtarzając sobie: najlepsza to sztuka co najwięcej grosza przynosi. Tym sposobom sztuka źle pojmowana przez niektóre umysły, często z najlepszą wiarą, doznaje rozmyślnój poniewierki przez tłum piśmienny.

Połączyć nowość z doskonałością — oto cały cel sztuki — a tymczasem mimo powszechnego hasła: Sztuka i sztukmistrze! jakże nam trudno spotykać się z czém nowém i z czém doskonałym; — sądzę nawet, że jakby umyślnie pisarze nasi obierają ten rodzaj, który ich do niczego nie obowiązuje, w którym wszelka mierność bardzo przyzwoite może zajmować

stanowisko. Rozumiem tu formę powieści i romansu, prozą czy wierszem wszystko jedno.

Wytłumaczę się z tego wyraźniej. Wiadomo, że romans jako dzieło sztuki, może obejmować w sobie wszystkie rodzaje literatury; ramy jego bowiem są tak obszerne, że w nich śmiało rozpościera się najbujniejsza fantazyja artysty. Słowem ta nieograniczoność i nieokreślność powieściowego rodzaju, jakkolwiek sprzyja swobodzie tworzenia, tak z drugiej strony napotyka niebezpieczne szkopuły. Gdzie się bowiem romans почина, a gdzie kończy? pytanie to nie da się rozwiązać; jeżeli malowidło życia rzeczywistego i świata przeważa w nim, to znowu fantastyczność i cudowność także w nim miejsce swoje znachodzą. Nikt też ile wiem nie kuśił się spisować kodexu poetycznego dla romansu, w którym mieści się każdy rodzaj literatury, od epei do epigramu, od dramatu do mglistych rojeń metafizyki.

Korzystając z tego przywileju, romans opowiadał wszystkie rodzaje, i służył za środek do przeprowadzania w tej formie każdej idei, każdej opinii, jaka zaświeci w głowie autora. — Ten zwrot, tak namacalny w naszych czasach,

stał się przyczyną poniżenia tego rodzaju literatury.

Jaki taki przynosząc swoją opinię i doktrynę, dobiera sobie sceneryę, wyszukuje odpowiednie figury i każe im ruszać się na rozkaz, a raczej za pociągnięciem sznurka; zupełnie jak w jasełkach. Kompozycja taka stosowana i przykrawywana do mającej się przeprowadzić idei, najczęściej bywa chyboną; z téj przyczyny, że jeśli ten i ów nie podziela owéj zasady lub opinii, tém samém zmuszony bywa odmówić tak zdarzeniom, jak osobom dramatu wszelkiego podobieństwa z rzetelną prawdą życia. Nawzajem zwolennik opinii autora, więcej znajduje pociechy, że jego opinia popartą została, niż się interesuje artystycznym przeprowadzeniem jéj i mniej mu bije serce dla tych postaci urojonych, gdy on sam może się ma za większego jeszcze bohatera, gdyby mu w rzeczywistości nastroczyło się takie pole jak w romansie.

Ten fałszywy proceder używany przez romansopisarzy, przyprawia ten rodzaj o coraz większe bankructwo, zwłaszcza, gdy wyobrażenie ich moralne i wewnętrzne dążenie do ideału piękna, nie jest na téj wysokości, aby

założenie przeprowadzić ze ścisłą konsekwencją we wszystkich częściach i do samego końca. — Cóż mi z tego, że ktoś bardzo budująca, lub wysoce filozoficzną ideę zamierzył podać w formie powieści, kiedy w wykonaniu najczęściej chybi, podobnie jak ten syn Dumasowy, w swojej *Dame aux Camélias*. Główny jego pomysł zamyka się w zdaniu: że raz uронiony honor nie da się przez skruchę odzyskać — że dawniejsze życie mści się, przeskadzając powrotu na dobrą drogę. — Bardzo dobrze! lecz myśl ta, tak tam jest zagłuszona ponętami opisami brudnego żywota Loretek, autor tak sobie w tém smakuje, że jego cały morał wygląda jak niepotrzebna przyczepka. Wziąłem ten przykład z autora bardzo wziętego i naśladowanego, który jest prototypem rodzaju. Dlaczego zaś między naszymi pisarzami powieści nie szukałem przykładu? Oto, że ci, co piszą krojem francuzkich romansów — a jest ich bardzo wielu — pozbawieni są wybitnych cech; tak dobre jak złe, powleczone jest u nich pewną mglistą warstwą pochodzącą z braku odwagi, muszą więc modyfikować się, by nie zrazić opinii

poważnej większości; podkopują się jak krety, nie śmiejąc otwarcie w bój wystąpić.

Poetycznym duchem i talentem obdarzony artysta inaczej tworzy — jego coś musi silnie tknąć w rzeczywistym świecie, ovladnąć go, zlać się z jego istotą wewnętrzną, napełnić wszystkie marzenia i sny, przejść w krew nieledwo — i przetrawiwszy się ogniem najgłębszego uczucia, wyjść w skończonej, harmonijnej całości, z twórczej piersi.

Harmonia i całość! to sęk! to zadanie każdej kreacyi. — Całość i jedność — to alfa i omęga powieściowej kompozycyi.

Umiejętność analizuje czyli rozbiera, sztuka uogólnia. Jakież jest cel romansu? Nie zasadza się on na wzbudzeniu interesu dla dykcji, na wzruszeniu czytelnika przez potrącenie najdelikatniejszych fibr serca? Owóż jeżeli romans chce porwać moją uwagę, niechże ją przywiąże do jednego punktu. Rozstrzeliwać sympatyę, to samo jest co ją niszczyć. Ogół natury przedstawia cudowną harmonią — toż i dzieło sztuki powinno być takim, czyli harmonijném, i w tym właśnie względzie naśladować naturę.

Tak pojmuję romans, tak każdą kreację,

i dlatego widzę tyle uchybień w dzisiejszych naszych powieściach pozszywanych z obrazków, które są jakby mozolnie pozwołczone argumenta, dla poparcia tendencyjnej idei, będącej głównym założeniem, mającego się dowieść zagadnienia.

Dlatego to romans się zbłąkał, że chciał aż nazbyt granice swego królestwa rozszerzyć. Prostych opowiadaczy tego, co ich tchnęło i wstrzęsło w istocie, co się zidealizowało w poetycznym natchnieniu, rzadko się napotyka; za to pretensjonalnych nauczycieli wykładających teorie swoje pod figurami — aż do sytu. Osoby ich sztucznie uorganizowane tak się wygadają ze wszystkiego czém są, czego chcą i czém być mogą, że czytelnik nie potrzebując już myśleć o nich, daje im odprawę na wieki. Idą więc w zapomnienie na skład, jak jasełkowe lalki.

W steku powieści naszych ileż to jest, pozwalamy zapytać się, takich postaci coby miały swój żywotny i gruntowny organizm? krom Paska, tego zapłodniela licznie sypiących się tomów, braci Strawińskich żyjących kontrastem, szczytnego księdza Robaka, kwestarza Chodźkowskiego i ostatniego z Siekierzyń-

skich, wyłączając *Panie Kochanku* który jest wyjątkowym oryginałem—zgoła oprócz tych kilku figur, niemogących nam być odebranymi przez żadną literaturę — nie widzę nawet usiłowania, aby nowsze kreacye chciały się wznieść do tej wysokości: owszem powieść wpadłszy na niewłaściwe stopy, coraz więcej rezygnuje z niezbędnych warunków poetycznej kreacyi.

Uwagi te powiedziane ogólnie, nie zaczepiają powieści i romansów jakie ukazały się w upłynionym roku z przyczyny, że w tej gałęzi naszego piśmiennictwa nie zaszła jeszcze żadna odmiana. — Powieści piszą się jednym trybem, aby jak najwięcej tomów napisać. — Gdyby choć jeden zaświecił był nowością pomysłu i wykonania, byłbym go wspomniał, lecz wszystko to są z małym wyjątkiem dzieci ojców, do których się nie chcą przyznać, że w nich płynie krew Sandów, Dumasów i t. p.

KONIEC.





# SPIS ARTYKUŁÓW

## tomu drugiego.

---

	Strona
I Bohaterstwo i Gminność . . . . .	1
II Tradycje Sztuki. — Tragedya i tragiczność. — Znaczenie Odprawy Posłów Greckich Kochanowskiego . . . . .	26
III Humorystyka i Poezye Felicyana . . . . .	59
IV Literatury północne — Eichhoff, Maciejowski p. Pruszkową . . . . .	81
V Wędrowki zagraniczne i Szkice z wędrowki po Ukrainie Tadeusza Padalicy. . . . .	110
VI Charakter Poezyi ukraińskiej i Poemata Al. Grozy . . . . .	138
VII Przejście z cywilizacji staropolskiej do Nowożytnej — Pamiętniki Ewy Felińskiej . . . . .	169
VIII Bogactwo fantazyi w romansie — Powieść Jana Potockiego . . . . .	197

IX	Monografie historyczne i Archeologia — Cmentarz Powązkowski i Wzory Sztuki średniowiecznej . . . . .	229
X	Sztuka Polska i Sztuki Piękne w Pol- sce — Słownik Malarzów Rastawie- ckiego i Pieśń Ludu Kolberga. . . . .	252
XI	Poezya Chrześcianańska i Dantyszek . . . . .	284
XII	Tajemnice tłumaczeń, przekłady gre- ckich poetów i hymnów kościelnych. . . . .	315
XIII	Fałszywy Pomnik i Archeologiczne zabawki . . . . .	340
XIV	Improwizowana literatura i podróże historyczne Niemcewicza. . . . .	361
XV	Pisma Peryodyczne i Teka Wileńska. . . . .	393
XVI	Walka Realizmu z Idealizmem. Pa- miętniki i Romanse. . . . .	419

---



DZIEŁA NAKŁADOWE I KOMMISSOWE  
KSIĘGARNI I SKŁADU MUZYCZNEGO  
**Gustawa Gebethner i Spółki**  
W WARSZAWIE.

---

- Mittelstaedt J. Zarysy Ekonomii politycznej, zgodne z religią chrześcijańską, zastosowane do gospodarstwa wiejskiego. Kop. 75.
- Serwatowski Walerjan X. Pierworys systematu filozofii ze stanowiska chrześcijańskiego pojętej. Kraków, 60 kop.
- Siemieński Lucyan. Mimoza, powieść sentymentalna, Kop. 30.
- Skarga X. Piotr. Gospodarstwo duchowne. Modlitwy wydane na-  
przód w Krakowie, w drukarni Łazarzowej 1601 r., po-  
wtórnie w Krakowie 1606 r., wydanie na zwyczajnym pa-  
pierze k. 30, na welinie k. 60.
- Śmigiełska Józefa. Nie zawsze ten zbiera, kto sieje, powieść.  
Kop. 60.
- Sobieszczański M. F. Wycieczka archeologiczna w niektóre stro-  
ny gub. Radomskiej. Rsr. 1 kop. 50.
- Teka Wileńska, wydawana przez Jana ze Śliwina. Rok 1 zeszyt  
1—6, Rsr. 6.
- \*Wasilewski Edmund, poezje, Rsr. 1.
- Wolne żarty, świstki humorystyczno-artystyczne, wydawane  
przez bocianów polskich, serja I, II, III. Każda po Rsr. 1  
kop. 80.
-














This book should be returned to  
the Library on or before the last date  
stamped below.

A fine is incurred by retaining it  
beyond the specified time.

Please return promptly.

Widener Library



3 2044 095 004 545